

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/451**

**1985**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**ROZMOWA Z JÉANE J. KIRKPATRICK**

**TRÓJGŁOS O JÓZEFIE CZAPSKIM**

W. St. GIEŁŻYŃSKI: **BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ**

L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI**

J. W. GADOMSKI: **PROMIENIOWANIE**

**WOLNEGO SŁOWA**



# SPIS RZECZY

<i>Trójętós o Józefie Czapskim:</i>		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Twórcza siła</i> .....	3
Konstanty A. Jeleński:	<i>Dar Józefa Czapskiego</i> .....	6
Wojciech Karpiński:	<i>Portrety i olśnienia</i> .....	10
Wojciech Stefan Giełżyński:	<i>Budowanie Niepodległej</i> .....	15
Sławomir Mrozek:	<i>Pozdrowienia od</i> .....	39
Sławomir Mrozek:	<i>Krótki rozmowa...</i> .....	41
<b>W I E R S Z E</b>		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Bóg jest</i> .....	43
Jacek Trznadel:	<i>Księga morderców</i> .....	43
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Leopold Unger:	<i>Widzane z Brukseli</i> .....	49
Witold Ryser-Szymański:	<i>Początek końca</i> .....	62
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (7)</i> .....	67
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	72
<b>K R A J</b>		
Obserwator:	<i>Rok ubiegły, dwa ostatnie miesiące i najbliższe pięć lat</i> .....	77
Józef Wojciech Gadomski:	<i>Promieniowanie wolnego słowa</i> .....	83
—	<i>Komunikat Prokuratury Generalnej</i> ..	99
Redaktor:	<i>„Emisariusze”</i> .....	99
<b>S A Ś I E D Z I</b>		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	101
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	106
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	109
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
—	<i>Edward Puacz</i> .....	113
<b>K S I A Ź K I</b>		
Marek Ciesielczyk:	<i>Komunizm jako najwyższy stopień totalitaryzmu</i> .....	115
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Wielki kpiarz Josef Skvorecký</i> .....	123
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Czytamy (4)</i> .....	127
Piotr Wandycz:	<i>Świadomość narodowa w Polsce</i> .....	130
—	<i>Zbigniew Herbert</i> .....	134
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	135
<b>Z OSTATNIEJ CHWILI</b>		
Robert Kostrzewa:	<i>Rozmowa z Jeane J. Kirkpatrick</i> ....	137
<b>P O L E M I K I</b>		
Jerzy Boniecki:	<i>Jałowe dyskusje</i> .....	149
Marek Turbacz:	<i>Kościół a komunizm w Polsce</i> .....	151
Józef Szrett:	<i>Kościół a państwo</i> .....	159
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki amerykańska i francuska</i> .....	164
◆		
S. Boss, M. Kleczyńska:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	170
14 podpisów:	<i>List-oświadczenie</i> .....	171
Zdzisław Jagodziński:	<i>List do Redakcji</i> .....	171
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	173
—	<i>Sprostowanie</i> .....	174

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1985

INSTYTUT  LITERACKI



## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 20-ty — \$ 58,00 .....	F. 577,00
F.H., (USA), po raz 18-ty — \$ 10,00 .....	F. 101,60
Grono Przyjaciół i Kongres Polonii Amerykańskiej, Oddział w Ann Arbor, MI (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Franciszka Nowaka, zmarłego 22 października 1984 r. w Warszawie (nadesłał A.L. Dolata) — \$ 110,00 .....	F.1.094,50
Maria Halstaed, Santa Barbara, CA (USA), po raz 7-my — \$ 215,00 .....	F.2.139,25
Stanisława Jaklicz, Paryż .....	F. 500,00
Jacek Kwaśniewski, Monachium — DM 10,00 .....	F. 30,50
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 8-my .....	F. 535,00
Prof. Jadwiga Maurer, Lawrence, KS (USA) — dla uczczenia pamięci Józefa Mackiewicza — \$ 50,00 .....	F. 497,50
Stanisław Merlo, Wavre (Belgia) — w drugą rocznicę zgonu, dla uczczenia pamięci ks. kanonika Leopolda Chomskiego, Wikariusza Generalnego przy biskupie Katedry św. Stanisława w Wilnie (a w „Dolinie Issy” Czesława Miłosza „ks. Chomika, prefekta gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie) .....	F. 100,00
Alina Starczewska i Jerzy Kozioł, Arlington, MA (USA) — \$ 100,00 .....	F. 995,00
P. A. Waroczewski, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 21-szy — \$ c. 50,00 .....	F. 360,00
Norbert Żaba, Sztokholm — zamiast życzeń wielkanocnych — Krs 100,00 .....	F. 107,00
Anonimowo z USA — \$ 48,00 .....	F. 477,50
Anonimowo z Lugano, po raz 16-ty .....	F. 84,72

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Bazylei na „Solidarność” w Polsce .....	F. 200,00
Bezimiennie z Thonex (Szwajcaria) na „Solidarność” w Polsce .....	F. 200,00
Komitet Pomocy „Solidarności”/Pomost w Cleveland, OH (USA) sumę zebraną w czasie prosolidarnościowej demonstracji, zorganizowanej przed występem „Mazowsza” — \$ 287,16 .....	F.2.857,25
National Association of Letter Carriers (Amerykański Związek Zawodowy Listonoszy), Oddział N° 290 w Santa Barbara, CA (USA) — \$ 25,00 .....	F. 248,75
Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość — Solidarność” w Calgary, Alta (Kanada) przekazuje na pomoc dla podziemnych struktur „Solidarności” sumy zebrane: w kościele polskim po mszy św. pamięci ks. J. Popiełuszki 17. 12. 1984 — \$ c. 97,50 i 27. 01. 1985 r. po mszy św. w intencji Ojczyzny — \$ c. 100,75; 5. 01. 1985 roku za obsługę szatni po przedstawieniu „Jasełka — Betleem (Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)	

## Trójętł o Józefie Czapskim

Józef Czapski wkracza w dziewięćdziesiąty rok życia. Staraniem O. Pallotynów odbył się 18 marca w kościele St Pierre du Gros Caillou w Paryżu wieczór poświęcony Czapskiemu, na którym o znakomitym malarzu i pisarzu mówili Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty A. Jeleński i Wojciech Karpiński. Drukujemy poniżej ich trójętł.

Kultura, z którą Czapski związany jest od początków jej istnienia, składa Jubilatowi i Przyjacielowi najserdeczniejsze życzenia zdrowia i dalszej owocnej pracy.

## TWÓRCZA SIŁA

Poznałem Czapskiego w Campobasso na krótko przed bitwą pod Monte Cassino, a więc chyba w kwietniu 1944. Nie pamiętam już, po co wyskoczyłem na pół dnia z Venafro, gdzie znajdowała się nasza artyleria, na tyły do Campobasso, gdzie wyznaczono miejsce postoju kilku biurom czy ekspozyturom biur Korpusu. Nie pamiętam też, jak doszło do mojego spotkania z Czapskim, pamiętam tylko nasz wieczorny spacer po ulicach zaciemnionego miasta. Rozmawialiśmy o nadchodzącej bitwie. I oczywiście o naszych przeżyciach „na nieludzkiej ziemi”, w „innym świecie”. Miało jeszcze upłynąć pięć lat do ukazania się jego książki; i siedem do ukazania się mojej. Wróciłem późną nocą do mojej baterii podniecony, przejęty. W wieczornym spacerze w ciemnościach przyfrontowego miasta włoskiego,



P. 9786 Chm. Arch.



w spacerze przerywanym wciąż przystawaniem jakby dla dobitniejszego zaakcentowania tego co każdy z nas mówił, odzywały się co chwila wspólne nuty rzadkiego wówczas spojrzenia na doświadczenie sowieckie.

Po kampanii włoskiej skierowano mnie do Rzymu, do redakcji *Orła Białego*. W Rzymie odnowiliśmy znajomość, która szybko zamieniła się w przyjaźń. Często zachodziłem do hotelowego pokoju Czapskiego, nie raz zastawałem go tam na rozmowach z Jerzym Giedroyciem. Nie jest przedmiotem mojego dzisiejszego wystąpienia na wieczorze poświęconym Czapskiemu współpraca tych dwóch niezwykłych ludzi, która z Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu uczyniła rozdział nie mniej wcale ważny od naszych działań bojowych. Zamierzam mówić wyłącznie o pisarstwie Czapskiego. Ścisłej: o jego pisarstwie związanym z pobytam w ZSSR.

W tamtym okresie rzymskim daleko było jeszcze do książki *Na nieludzkiej ziemi*, stał on pod znakiem małej książki *Wspomnienia starobielskie*. Wyszła w roku 1944 po polsku nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu i w rok później — z moim słowem wstępnym — po francusku w serii *Témoignages*. Mam ją przed sobą, biorę ją po tylu latach do rąk z takim samym wzruszeniem jak niegdyś. Sześćdziesięciostronicowy tomik z rysunkiem cerkiewki na okładce, zamknięty autoportretem jenieckim autora. Do czego wydał mi się wtedy i wydaje dalej podobny? We *Wspomnieniach starobielskich* Czapski opisuje książeczkę bibulek do papierosów, na których swoje wiersze obozowe utrwał poeta krakowski Lech Piwowar, zamordowany potem w Katyniu. Taką delikatną i kruchą książeczką bibułkową były i są dla mnie same *Wspomnienia starobielskie*, pisane z maksymalną zwięzłością, ograniczone do rzeczy esencjalnych, rzadko i nieśmiało dające folię własnym uczuciom, pomyślane przede wszystkim jako świadectwo. Świadectwo, które podczas burzy wyrzuca się w butelce za burtę do morza, z nadzieją że zostanie wyłowione, odczytane i zrozumiane. Można też, pamiętając datę wydania *Wspomnień starobielskich*, użyć innego porównania: był to nasz pierwszy „gryps” przemycony zza krat i drutów kolczastych „nieludzkiej ziemi”.

Po książeczce książka, wielka nie tylko objętościowo. Przeczytałem ostatnio na nowo *Na nieludzkiej ziemi*, zastanawiając się, na czym polega piękno tej książki. Myślę, że na wyrzeczeniu się wszelkich pokus elaboracji literackiej. Przemawia tu wprost Czapski, jakim go znamy: uważny, chłonny, wrażliwy na ludzkie cierpienie, starający się zapamiętać dokładnie cokolwiek dane mu jest usłyszeć i zobaczyć, zachłannie niemal otwarty na bieżącą

chwile, lecz równocześnie zakorzeniony mocno w przeszłości, „dźwigający za sobą — jak to sam określa — muł własnego życia, a także drogi skarb wspomnień dawniejszych o ludziach którzy odeszli, o chwilach które nie wróca”. Czapski o czujnym zawsze oku malarskim. Czapski gorący patriota, organicznie wyzuty z jakichkolwiek ciągów nacjonalistycznych czy szowinistycznych. Czapski głęboko wierzący chrześcijanin. Czapski rozkochany w poezji polskiej. Czapski ukształtowany tyleż przez kulturę zachodnioeuropejską, co przez kulturę rosyjską. Wszystko to w *Na nieludzkiej ziemi* obraca się wokół osi poszukiwań zaginionych kolegów i rodzin armii polskiej w ZSSR z taką konwersacyjno-narracyjną bezpośredniością, tak wciąż pulsuje w modulacji głosu raczej niż stylu, że często książka robi wrażenie mówionej na żywo przez autora do słuchaczy-czytelników.

„W miarę pisania *Na nieludzkiej ziemi* — wyznaje Czapski w przedmowie — nie słabła we mnie, ale narastała świadomość tragicznej przeciwstawności Polski i Rosji, naszych koncepcji, naszych dróg historycznych. Narastało poczucie śmiertelnego zagrożenia Polski”. Czujemy to wraz z Czapskim wyraźnie. Czujemy jednak także coś więcej. Wspomniałem na początku, że podczas mojego pierwszego spotkania z Czapskim w Campobasso związało mnie z nim natychmiast rzadkie wtedy u nas spojrzenie na doświadczenie sowieckie. W znakomitej większości Polacy wyszli w wojsku lub z wojskiem z ZSSR, z obcego „domu niewoli”, żeby posłużyć się tytułem książki Marty Rudzkiej czyli Beaty Obertyńskiej, złorzecząc „nieludzkiej ziemi”, nie chcąc pamiętać że zostali tam inni ludzie, równie uciskani i zdręczani mieszkańcy imperium, obywatele — jeśli wolno ich w ogóle tak nazwać — państwa opartego na cywilizacji więziennej. *Strana gospod, strana rabow* — kraj panów, kraj niewolników. Przeklinało się sowieckich panów i mimochodem, niekiedy nawet z odcieniem wyższości i pogardy, przymykało się oczy na los sowieckich „wiecznych niewolników”. Nie ma ani śladu takiej ślepoty i małoduszności w postawie Czapskiego. „Nie — wybucha on naraz w rozdziale o Buzułuku — tego nikt nie może zrozumieć, musi przyjść genialny pisarz, obserwator, nowy Tołstoj, czy nowy Proust, rosyjski czy polski, który by mógł opisać to co w Rosji jest wszędzie, co chwila, co zdradza nagle w życiu zwykłym, powszednim, jeden gest nikły, jedno spojrzenie niezapomniane. Nie trudne warunki, nie głód, to wszystko jest mniej ważne w porównaniu z tym zdławieniem człowieka, z niemymi spojrzeniami ludzi, wśród których nie ma prawie takiego, który by nie miał kogoś najbliższego w obozach na północy”. Przyszli w końcu, bo musieli przyjść, pisarze przyzywani przez Czapskiego. Pasternak, Sołże-



nicy, Nadieżda Mandelsztam, Grossman. Achmatowa, która na pytanie starej kobiety w ogonku przed więzieniem „Potrafił pan opisać?” odpowiada jednym słowem: „Potrafię”. Gdy wyda kiedyś owoce — a wierzę, że wyda — nasza dążność do porozumienia z „wiecznymi niewolnikami” na Wschodzie, gdy bardziej ludzka stanie się „ziemia nieludzka”, będzie na niej usłyszany i w pełni doceniony polski głos Czapskiego.

Prowadzi mnie to, na zakończenie już, do innego fragmentu *Na nieludzkiej ziemi*, szczególnie mi bliskiego. W Taszkencie tłumaczy Czapski na gorąco ewakuowanym tam pisarzom rosyjskim — była wśród nich także Achmatowa — list Norwida do Władysława Zamoyskiego z roku 1864. „Kto patriotyzm zamieni na wyłączność, jak to Polacy pojmują, a pojmują jedynie przez prześladowania Mikołaja i przez ucisk cenzury mikołajewskiej, ten musi koniecznie z Ojczyzny zrobić sektę i skończyć fanatyzmem!! — oto co się dziś dzieje!”. Ale „Ojczyzna nie jest to sekta”, a „patriotyzm jest to siła twórcza, a nie siła wypojedynienia się i zeschnięcia”. Niegdyś „myśleliśmy, że narodowość zależy na sile apropiacji, nie zaś na sile wyłączności purytańskiej. Dlatego to, bijąc Tatarów, podgalano czupryny po tatarsku, i bito Tatarów, i noszono się z tatarską na koniu. Mówiono także po łacinie, po włosku i po hiszpańsku w epokach najwięcej narodowych-polskich! — ale to nie była sekta: był to naród!”.

Myślę że Czapski był zawsze i pozostał, w szczęściu i nie-szczęściu, spadkobiercą tej polskiej „siły twórczej”, do której Norwid wdychał na paryskim bruku emigracyjnym.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## DAR JÓZEFA CZAPSKIEGO

Dzięki szczęśliwemu doprawdy zbiegowi okoliczności dzisiaj wieczór, od dawna planowany przez księży Pallotynów, poprzedza zaledwie o trzy dni otwarcie, w czwartek 21 marca, nowej, paryskiej Biennale malarstwa w olbrzymiej hali kompleksu La Villette, na którą Józef Czapski został zaproszony z dziesięcioma obrazami.

Jedenaście lat temu, pisząc o pięknej monografii poświęconej Czapskiemu przez Murielle Gagnebin, zapytywałem dlaczego nie był on jeszcze wówczas uznany w skali światowej za jednego z wielkich malarzy naszych czasów.

Paryska Biennale młodych malarzy została założona w roku

1959 — jej pierwszym laureatem był Jan Lebenstein. Ale jej prestiż światowy nie przetrwał roku 1968 i od paru już lat tutejszy *establishment* artystyczny zastanawiał się nad formułą, mającą zapewnić Paryżowi rangę równą Biennale weneckiej czy manifestacji *Documenta* w Kassel. Zaproszono w tym celu kustoszów muzeów sztuki nowoczesnej z krajów o największym znaczeniu na światowym rynku artystycznym — Niemiec, Włoch i Stanów Zjednoczonych. Pierwszą ich radą było znieść granicę wieku i zaprosić starych mistrzów na równi ze wschodzącymi gwiazdami. W toku dyskusji niemiecki gość rzucił nazwisko Czapskiego. „*Czapski, Czapski, qui est Czapski?*” zakłopotali się awangardowi eksperci francuscy. „Jak to, macie tu wielkiego malarza i nawet o tym nie wiecie?”. Główny francuski komisarz wystawy przyjechał do Maisons-Laffitte, żeby wybrać trzy obrazy Czapskiego. Wyjechał, prosząc by wystawił ich dziesięć. Stanowi to konsekrację formalną, którą można porównać w zakresie sztuk plastycznych z przełomowymi chwilami odkrycia przez Zachód Gombrowicza czy Miłozsa.

Myślę, że wszyscy udamy się na tę Biennale i ułatwia mi to dzisiejsze zadanie. Spośród polskich twórców najwięcej tekstów poświęciłem właśnie Miłozzowi (pierwszy 40 lat temu), Gombrowiczowi (pierwszy 35 lat temu) i Czapskiemu (pierwszy 25 lat temu). Niech Państwo nie oczekują ode mnie uczonego opisu malarskiej drogi Czapskiego, której ostatnia faza, rozpoczęta parę lat temu, jest nadal w twórczym rozwoju. Uczyniła to świetnie ostatnio Joanna Pollakówna w szkicu zatytułowanym „Olsnienie i medytacje — o malarstwie Józefa Czapskiego” w bieżącym numerze *Zeszytów literackich* (zima 1985). Radzę Państwu przeczytać ten wnikliwy tekst, jedyny który obejmuje jego twórczość z ostatnich kilku lat, o której Pollakówna pisze, że „wyzwoliła ona w malarskim myśleniu Czapskiego te najwyższe możliwości, które, od dawna utajone, spełniły się teraz w serii znakomitych, czystych i skupionych obrazów”. Wolę dziś zaproponować inne podejście do obrazów Czapskiego, jako świetnej lekcji pozwalającej rozróżnić między rzeczywistością, na którą się patrzy i rzeczywistością, którą się widzi. Nic w tym nowego, sam język na to wskazuje. „*On ne voit rien quand on se contente de regarder*”, pisał Rousseau z górą dwieście lat temu w „*Nowej Heloizie*”. Bracia Goncourt przed stu laty piszą z punktu widzenia twórcy: „*Apprendre à voir, c'est le plus long apprentissage de tous les arts*”.

Czapski zaczął malować z górą 60 lat temu, w chwili gdy spojrzenie malarskie należało kontrolować dogmatycznie, równomiernie rozkładając na płaszczyźnie obrazu barwne plamy wyrów-



nywające się walorowo. Jego koledzy kapiści jak ryby pływali w tęczowym pryzmacie kolorów. Czapski, mimo teorii, która czerń usunęła z palety, potrzebował linii cienia, który by nie był niebieski. Minęło jednak wiele lat zanim czerń (dla teoretyka heretycka) narzuciła się malarzowi tak silnie, by brutalną nieraz krechą określić sylwetki, podkreślić wyraz obrazu. Kapiści zarzucali Czapskiemu brak jednolitego stylu, a sam Czapski długo myślał (a bodajże jeszcze dłużej pisał) że to, co jego spojrzenie przemienia w wizję, należy do czystej estetyki: zachwyty czerwona plamą letniej sukni, zaskoczenie niespodziewanym odbiciem w szybie wagonu. Świat Czapskiego — podziemne korytarze metra i stacji kolejowych, ciemne kawiarnie, sale teatralne, galerie malarstwa i muzea, gdzie sylwetki zwiedzających równie są ważne jak obrazy na sztalugach, narzuca się nam w jego obrazach tak silnie, że niweczy sztuczny podział na „formę” i „treść”. Styl Czapskiego — to wierność dochowana pierwotnej wizji, przeciwieństwo łatwej stylizacji. Często, włócząc się po Paryżu, staje jak wryty rozpoznając od razu: „to Czapski”. Nie wchodzi tu w grę żal, że nie jestem w tej chwili z Józkiem, że nie otworzy swego zeszytu oprawionego w szare płótno, w którym zapisy myśli nagłych, wklejone artykuły i listy, szkice notowane na gorąco waloryzują się wzajemnie, stanowiąc uroczą i jednolitą całość: zarazem jedyny w swoim rodzaju dziennik i najwierniejszy autoportret. Nie, wzruszenie jakie odczuwam wywołuje sama wizja, nie myśl o hipotetycznym obrazie Czapskiego wywołanym tą wizją. Czapskiemu bowiem zawdzięczam, że na ten wycinek rzeczywistości nie patrzę z roztargnieniem — że lekcja jego malarstwa pozwoliła mi go ujrzeć i zobaczyć. Sztuka zatem — a z pewnością sztuka Czapskiego — jest w pierwszym rzędzie maszyną wrażenio-twórczą. Wiedział o tym Proust, który pisał: „Kobiety przechodzą ulicą, odmienne od tych które chodziły po niej dawniej, gdyż są to Renoiry, te same Renoiry, w których kiedyś nie umieliśmy rozpoznać kobiet”.

Pisałem ten tekst w trakcie odczytywania „Daru” Władimira Nabokowa, ostatniej jego powieści napisanej po rosyjsku. Jej dziesięć pierwszych stron zajmuje opis krótkiej przechadzki bohatera z domu, gdzie właśnie wynajął pokój pod numerem siódmym Traunbergerstrasse w Berlinie 1 kwietnia 192... Pod domem stał furgon firmy transportowej, bardzo długi i bardzo żółty, doczepiony do również żółtego ciągnika. „Wzdłuż furgonu — pisze Nabokow — ciągnęła się nazwa firmy, w niebieskich literach wysokości metra, z których każda, łącznie z kwadratową kropką rzucała w prawo cień czarnej farby, nieuczciwą próbę przejścia w trzeci wymiar”.

Przechodząc przez jezdnię w stronę narożnej apteki „odwró-

cił głowę, zmuszony do tego odblaskiem, który uderzył go w skroń rykoszetem. Ujrzał, z tym uśmiechem którym witamy tęczę czy różę, romb oślepiająco białego nieba wyładowanego z furgonu — komodę z lustrem, przesytytym — jak ekran filmowy — odbiciem kryształowo jasnym gałęzi kołyszących się nie jak na drzewie, a po ludzku, z niepewnym wahaniem tych, którzy nieśli to niebo, te gałęzie, szybujące fasady kamienic”.

Kupiwszy w aptece migdałowe mydło, Fiodor Godunow Czerdyncew powraca do domu: „Chodnik był pusty tym razem, z wyjątkiem trzech niebieskich krzesel, jakby ustawionych przez dzieci. Wewnątrz furgonu mały brązowy fortepian leżał na plecach, związany tak, że nie mógł się podnieść, jego trzy metalowe żelówki sterczały sztywno w powietrzu”.

I oto wreszcie podłużny pokój i czekająca nań cierpliwie walizka: „Zatrzymał się przez chwilę nieruchomo przy oknie. W zsiadłym mleku nieba otwierały się raz po raz opalizujące kręgi, tam gdzie przesunęło się ślepe słońce, a w replice na szarym dachu furgonu wątle cienie lipowych gałązek starały się daremnie osiągnąć kontury, rozpluwając się przed samą materializacją. Dom naprzeciwko był do połowy otoczony rusztowaniem, a ceglana część jego fasady obrośnięta bluszczem łącznie z oknami. Na drugim krańcu ścieżki wzdłuż podwórza zauważył czarną jamę piwnicy z węglem. Sam w sobie widok, będący, jak pokój, samodzielnym bytem; ale teraz pojawił się pośrednik i widok stał się widokiem z tego pokoju i żadnym innym”.

Co za wizualny połów z kilkuminutowej przechadzki! Ale również cztery jak najbardziej prawdopodobne obrazy Józefa Czapskiego: długi, jaskrawo żółty furgon z niebiesko-czarnym napisem przyczepiony do również żółtego ciągnika; komoda z lustrem odzwierciedlającym niebo niesiona przez tragarzy; uwięziony sznurami fortepian na plecach w czarnej jamie furgonu; widok z okna własnego pokoju. Przyszło mi wówczas na myśl, że tytuł powieści Nabokowa odnosi się do daru widzenia, do tych chwil, w których blask i urok rzeczywistości powszedniej, banalnej, może nawet brzydkiej dla tych, którzy nie widzą a tylko patrzą, napełniają czułością do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne. Coś podobnego ma na myśli Proust, opisując swe *moments bienheureux*, błogosławione chwile, zawsze spowodowane zmysłowym doznaniem: czy będzie nim smak legendarnej magdalenki, nierówny układ kamienia na dziedzińcu Hotel de Guermantes, dźwięk srebra w sąsiednim pokoju, czy widoki bliźniaczych wież kościelnych w Martinville, trzech drzew w Hudimesnil, krzaku głogu w kwiatkach koło Balbec.

Kochany Józku! Jest nas wielu, którym Twój dar wizji, uwiecz-



niony w *znakach* Twego malarstwa, pomógł rozpoznać inne *znaki*, zawarte w otaczającej nas rzeczywistości, przemawiające do przeczcucia kielkującego w półmroku zmysłów, mimowolnej pamięci, wyobraźni. Twoje dzieło jest cennym drogowskazem do nieuchwytnych chwil uprzywilejowanych naszego życia. Za ten Twój dar, w przededniu Twoich imienin, gorąco Ci dziękuję.

Konstanty A. JELEŃSKI

## PORTRETY I OLŚNIENIA

Ktokolwiek zetknął się z Józefem Czapskim, uderzony zostaje wielością jego wcieleń i jedynością duchowej i fizycznej sylwetki. Malarz, pisarz, świadek epoki, żołnierz, kwestarz. Cały w pionie, o ostrych rysach, ekspresyjnych gestach, czasem ujmująco niezgrabnych, podkreślających tok opowieści, jakby wielki ptak zabłąkany przy stoliku kawiarni, na wystawowych salach, u siebie na górcie domu „Kultury”. Po chwili to otaczający świat wydaje się niezgrabny, bądź znika z pola widzenia, a jego gesty i słowa stapiają się z treścią, z sylwetką, z wysoką tonacją głosu. Tworzą pełny portret raptownie zobaczonej (odsłoniętej) osobowości zarazem niezwyklej, naturalnej i uchwytniej.

Ta wielość w jedności fascynuje, ale nieraz utrudnia obiektywne spojrzenie na dzieło. Po zetknięciu z Czapskim, po kilku rozmowach z nim, gdy nagle zapala się i w błyskawicznym skrócie ukazuje wydarzenia, ludzi, obrazy, książki, po usłyszeniu jego głosu, tak dosłownie ożywczego, słyszymy przedłużenie tego głosu i tych gestów w jego artykułach, widzimy odbicie tej sylwetki na jego płótnach. Czy silnie obecna osobowość autora nie przesłania dzieła? Czy wolno mówić o pisarstwie Józefa Czapskiego jako o pewnej całości autonomicznej i czy zwłaszcza może się o niej wypowiedzieć ktoś, komu bliskie są również inne dziedziny jego twórczości, kto podlega promiennemu oddziaływaniu człowieka, pełnego człowieka? Jakkolwiek niebezpieczne i nudne są tego typu metodologiczne spekulacje, w tym konkretnym wypadku zmuszony jestem do szukania odpowiedzi twierdzącej. Czytałem bowiem jego eseje i usłyszałem w nich wyraźnie jego głos, zanim zobaczyłem jego obrazy, zanim go poznałem.

Nie potrafię określić dokładnej daty mego spotkania z pisarstwem Czapskiego. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem

sobie, że często myślę o sztuce jego językiem, że malarze, o których wspominał, stali mi się szczególnie bliscy. Bonnard i Sou-tine, Cézanne i Morandi kojarzyli się z pewną postawą wobec sztuki, szerzej — z pewnym wyostrzeniem wrażliwości. Służyli mi za alfabet wyobraźni. Pozwalali myśleć o malarstwie, ponieważ zdołałem ich dostrzec przez pryzmat pisarstwa Czapskiego. Jego słowo okazywało się pośrednikiem. Czy nie jest to podejście do sztuki skażone literackością? Jak można czerpać wiedzę o malarstwie z esejów kogoś, kto z całą namiętnością opowiada się za programem czystego malarstwa i piętnuje właśnie grzech literackości? Nie interesowały mnie te paradoksy, albo też nie umiałem ich rozwikłać, owładnięty siłą perswazyjną tekstów Czapskiego.

Współczesne i dawniejsze malarstwo europejskie oglądałem przez jego szkice. Śledziłem jego artykuły w *Kulturze*. Później zdobyłem „Oko”. Chłonałem portrety malarzy. Szukałem w nich autoportretu Czapskiego, jego postaci i jego twórczości ukazanej przez odbicia w jego oczach cudzych dokonań artystycznych. Były to teksty osobiste, o tonacji łatwo rozpoznawalnej, mocno naznaczone osobowością autora, a jednocześnie o zadziwiającej władzy ewokacji. Potrafiły ożywiać ludzi i obrazy. Nie myślałem, czytając, o technice pisarskiej, ulegałem jej. Miałem uczucie, że otwiera się przede mną nie świat technik spekulacji, lecz rzeczywistość duchowa ukazana przez pryzmat temperamentu. Tego szukałem na oślep w lekturach: głosu, który mówiłby do mnie o sprawach realnych. To zapewne fikcyjność otaczającego słowa oficjalnego wyostrzyła moją wrażliwość na głos brzmiący autentycznie. Usłyszałem go u kilku pisarzy emigracyjnych. Miałem wyzwajające poczucie obcowania z żywymi ludźmi obdarzonymi swobodnym językiem. Jaka zmiana i jaka ulga w zestawieniu z większością pisarzy krajowych! Wsłuchiwałem się z uwagą w ton wierszy Miłosza, w „Dzienniki” Gombrowicza, w eseje Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego, Jeleńskiego, Wata. Wyraźnie dobiegł do mnie ten żywy głos z tekstów Józefa Czapskiego.

Dziś mógłbym, patrząc wstecz na jego pisarstwo, wyodrębnić walki o czystość plastycznego widzenia (artykuły, monografia o Pankiewiczu); okres rosyjski, wizyjno-kontemplacyjny (szkice o technice pracy twórczej, błyskawiczne zapisy krajobrazów), ale przede wszystkim aktywistyczny („Wspomnienia starobielskie” i „Na nieludzkiej ziemi”); wreszcie drugi okres paryski, publicystyka, podróże, powrót do malarstwa, portrety bliskich mu twórców, oceny i rewizje ocen („Oko”, „Patrząc”, „Tumult i widma”). To przecież tylko schematyczne podziały; nawet w odniesieniu do tematyki malarskiej nie oddają sprawiedliwości pisarskim umiejętnościom Czapskiego. Już w pierwszych szkicach potrafił



ukazać sylwetkę malarza i zasugerować tonację jego dzieła. Zaskakujący punkt widzenia, błyskawiczny skrót, kilka linii, kontrast kolorów, umiejętność syntezy. Wydaje mi się, że jako pisarz wcześniej osiągnął to mistrzostwo i tę swobodę widzenia, które jako malarz wyraził w pełni późnymi płótnami.

W malarstwie przywiązywał większą wagę do programów, czuł się związany dogmatami kapistów, bardziej dbał o czystość widzenia w sensie zgodności z tym, co uznawał za ortodoksję plastyczną. Pisarstwo traktował swobodniej. Pisał, jak mówił, jak oddychał. Może dlatego w słowie łatwiej przychodziło mu odważyć się na skok w nieznaną. Nie obawiał się reguł rzemiosła. Szedł za rytmem wewnętrznego głosu, nie spętany, wolny od doktryn. Nawet teoretyczne teksty Czapskiego dotyczą konkretnie, ożywają wywód osobistym wyznaniem. Uczą patrzeć dając przykład patrzenia.

U kogo jeśli nie u niego mogłem się uczyć mówienia o sztuce? Już książka o Pankiewiczu i przedwojenne artykuły były sygnałem, że oto pojawił się najwybitniejszy polski krytyk sztuki. To określenie niewiele zresztą znaczy, bo z kim go zestawiać, kto miałby być tym drugim? Trzeba by sięgnąć zapewne do Stanisława Witkiewicza ojca i jego książki o Gierymskim. Zostawmy zbędne parantele. Czapski stworzył własny gatunek. Choć w pisaniu o sztuce wyraża się chyba najpełniej, nie da się zamknąć w kategorii krytyka artystycznego ani tym mniej teoretyka sztuki. Jak określić jego miejsce? Sam przychodzi mi z pomocą, gdy trawestując Ciorana wyznaje: „Trzeba by mówić, pisać o dziełach sztuki, jakby historia sztuki nie istniała, na wzór troglodyty olśnionego i przerażonego”. Ta butada wyostrza stanowisko, sugeruje „antyteoretyczną teorię” tam, gdzie właśnie teorie stanowią niebezpieczeństwo. W swym pisarstwie Czapski nie zapomina o historii, posługuje się nią umiejętnie, a jednocześnie potrafi zdobyć się na spojrzenie „olśnionego troglodyty”. Jakby dostrzegał opisywaną scenę po raz pierwszy. Jakby obnażoną dłońią dotykał dzieł i ludzi.

Poszukiwanie olśnionego spojrzenia łączy się u Czapskiego ze zrozumieniem ograniczeń i zamaceń wizji. Chciałby, jak Proust, widzieć jasno w zachwyceniu. Nie ma jednak złudzeń, że będzie to droga łatwa i dająca gwarancje sukcesu. Duchowa energia musi się złączyć z przypadkiem — czyli wytrwałość z talentem. Recept na to złączenie nie ma. Przejmującym opisem tej sytuacji jest szkic „Mój Londyn”, pozbawiona patosu opowieść o początkach drogi twórczej. W tamtych latach paryskich wydawało mu się, że stoi przed murem oddzielającym go od sztuki. Był dzień jego urodzin. Odwiedzili go bliscy przyjaciele, w których sądził, że wierzyli. Pokazał im ostatnie płótna, owoc intensywnej pracy, i jak

mniemał, znak pewnego postępu, jakby furtka w owym murze. „Widzisz, to argument na rzecz tego, o czym dyskutowaliśmy po drodze” — rzekł jeden z przyjaciół do drugiego. Zaczęli rozmawiać o innych sprawach. Po godzinie wrócili do dyskusji z tramwaju. Jeden z nich, Waliszewski, twierdził wówczas, że dla wielu świat malarstwa pozostaje na zawsze zamknięty mimo pracy i najlepszych chęci. Czapski nie dał znać po sobie, że skojarzył fragmenty rozmowy. Był to cios. A jednocześnie zrozumiał, że nadal będzie usiłował przebijać ścianę ciemności, choćby miało mu się to nigdy nie udać. Poczuli, że jest na malarstwo skazany. Po tym wieczorze przysłyły inne kryzysy i katastrofy. Zachorował na tyfus. Choroba przyniosła oderwanie od zmarłych. Na rekonwalescencję wyjechał do Anglii. Pewnego dnia, jeszcze osłabiony, wyruszył do londyńskiej National Gallery. Bez specjalnego wrażenia oglądał obrazy. W odległej sali dostrzegł małe płótno Corota. Doznał olśnienia. Jakby w ciemnym pokoju otworzyły się drzwi na światło. Mimo wytrwałych studiów i kurczowych wysiłków, by dotrzeć do widzenia, widział dotąd tak mało. Teraz skurcz go opuścił, zobaczył malarstwo.

„Mój Londyn” zapisuje moment olśnienia, gdy rozluźnieniu ulegają mechanizmy kontroli, a uwaga staje się wyostrzona. Pióro łączy się z wrażliwością, widzi i pozwala innym widzieć. Świadectwem olśnienia, wizerunkiem swobodnym i trafnym, jest wiele naszkicowanych przez Czapskiego sylwetek. Błyskawiczny portret Crevela w „Oku” utrwala słowem chwilę zachwyconego spojrzenia. „Znałem Crevela i nie zapomnę spaceru z nim w Ogrodzie Luksemburskim. Zachowałem po nim wspomnienie wielkiego uroku i delikatności: *ces feuilles sont comme des plumes* — powiedział głaszcząc młode liście kasztanów. Widzę jego rękę na tle zieleni w szary, jesienny, dżdżysty dzień. I ja widzę tę rękę i ten dzień. Widzę Waliszewskiego, jakim go Czapski zobaczył w krakowskiej Akademii: „Szcupła postać, głowa, którą nerwowo zarzucał odgarniając ciemne kosmyki długich włosów, blada twarz o zielonkawej cerze, prawie sinej, gdy mu było zimno — jeszcze ją pudrował dla 'elegancji', oczy wielkie, szeroko rozwarte, ich wyraz, ciągła wibracja, gorączkowy blask. Te oczy były dla mnie pierwszym w życiu przykładem, jakim źródłem niestających doznań i wrażeń mogą być one dla malarza. Jacek Malczewski spotkał kiedyś Waliszewskiego biegnącego po schodach gmachu Akademii — zatrzymał go, przyjrzał mu się uważnie i powiedział: 'ale oczy, bracie, to malarza'. By określić moje wrażenie wobec jego ówczesnych prac, nie znajduję innego słowa jak olśnienie”.

Czapski potrafi znaleźć inne słowa, wpisać w nurt czasu zatrzymaną chwilę. Ileż jego błyskawicznych portretów utkwiło



na zawsze w mojej wyobraźni! Waliszewski w wytartym szarym palcie na wsi kieleckiej, w polu gdzieś za Kocmyrzowem, opowiada o Gauguinie i Van Goghu, o tragicznym konflikcie w Arles. Prawie ślepy Vuillard na pierwszej wystawie kapistów maca ręką obrazy, które mu się podobają i zakupuje parę płócien. Młody Malraux w salonie Daniela Halévy mówi bez przerwy o nadchodzącej rewolucji, blada twarz anioła zagłady, nerwowy gest poprawianych włosów, papieros w ustach. De Staël, wygnaniec, biedak, miotający się po świecie, asceta abstrakcji i jej triumfator, nagłe uznanie dla jego malarstwa i śmiertelny skok z okna pracowni w Antibes. Remizow, zasłuchany w głos rosyjskiej mowy, kaligrafuje swoje opowieści w mieszkanku na *rju Bualjo*. Lechoń, spotkany w deszczowym Nowym Jorku na Madison Avenue, woła tubalnym głosem: „Co się Pan zajmuje *Kulturą* — rzuc Pan to, ja się takimi sprawami zajmowałem i siedem metrów kiszki mi wycięto”.

Wśród tych portretów trzeba wspomnieć jeden, powracający ze szczególną siłą, jakby wcielenie marzeń, pokus, niepokojów i najwyższych uniesień — portret Bonnarda. Czapski wyczuł w nim brata, artystę jak on wymykającego się szkołom i programom. „Raj utracony”, szkic napisany po śmierci Bonnarda, to jeden z najpiękniejszych znanych mi tekstów o sztuce. Tekst żywy, namiętny, stronniczy, rozdarty w konkluzjach: wojna stworzyła przepaść między rajem Bonnard a rzeczywistością. Czapski później wracać będzie do tej problematyki i w sposób bardziej złożony ukaże relacje między słonecznością sztuki a bólem życia. Szkic o Bonnardzie jest przede wszystkim portretem malarza, świadectwem olśnienia jego sztuką. Bonnard na moment przed wernisażem wpadał do galerii. Miał kieszenie pełne tubek z farbami i w ostatniej chwili poprawiał płótna. Kiedyś chciano go aresztować w Galerii Luksemburskiej: strażnik zobaczył mężczyznę, który wciąż podbiegał do jednego z obrazów i palcem rozmazywał farby. To Bonnard po dwudziestu latach robił korektę swego dzieła. Jego żona nigdy nie mogła mieć pewności, czy nie wbiegnie nagle do łazienki i nie naszkicuje jej aktu. Z tych notatek powstawały najpiękniejsze płótna, nad którymi pracował latami.

W jednym ze szkiców przytacza Czapski wizytę Pankiewicza i Bonnard w Luwrze. „Stanęli przed 'Betsabe' Rembrandta i nagle Bonnard wybuchł śmiechem. 'Czego się śmiesz' — pyta Pankiewicz. 'Bo cóż można zrobić innego — odpowiada Bonnard — co można powiedzieć wobec takiego arcydzieła!'”. Pisarstwo Czapskiego stanowi dowód, że o chwilach olśnienia można mówić.

Wojciech KARPINSKI

## Budowanie Niepodległej

WALCZYĆ NAWET BEZ NADZIEI\*

### Wyrostki

To te wyrostki wywalczyły Niepodległą.

Daremnie ich mitygowali ojcowie, naznaczeni stygmatem kłeski styczniowej. Próżno wzywali synów, by wyrzekli się narodowych mrzonek i spojrzeli na Wschód, na niezmierzone połacie Rosji, zapraszające badaczy, kupców, inżynierów, kuszące złotem i rublami.

Wyrostki knuły przeciw władzy i cichaczem, w kościołach albo na leśnych polanach, składały przysięgi, od których serce łomotało, że całe życie poświęcą Ojczyźnie.

To wśród wyrostków rodziły się nocne Polaków rozmowy — co robić, by odzyskać niepodległość?

Niektórzy strzelali z rewolwerów i konstruowali bomby, zwane piekielnymi machinami. Na przykład Ignacy Mościcki, później Prezydent Rzeczypospolitej. Co prawda te bomby na ogół nie wybuchały albo kieroszowały samych zamachowców.

Wieszano wyrostków. Goniono na Sybir. Który był śmielszy, ambitniejszy — nie ominął „powinności więziennej”. Masowo wypędzano ze szkół i z uniwersytetu, który zresztą był rosyjski. Tysiące wyrostków znalazło się na emigracji, skąd powracali, by dalej jątrzyć, by zdobytą wiedzę nie na budowanie obracać, ale przekuwać w programy rewolucyjne.

Kwiecień 1883. W Żyrardowie pierwszy na ziemiach polskich

\* Fragment książki pt. „Budowanie Niepodległej”, która ukaże się w „Bibliotece Kultury” w najbliższym czasie.



wielki, spontaniczny strajk. Kozacy tłuką i aresztują włóknarzy. Przed aresztem robotnicy próbują odbić swoich. Padają strzały. Dziewiętnasto-, siedemnasto- i piętnastolatek: pierwszych trzech zabitych podczas strajku robotniczego. Styczeń 1906. W Warszawie i Lublinie bez sądu rozstrzelano dziesięciu buntowników od 15 do 20 roku życia, wbrew zakazowi tracenienia nieletnich.

Można spierać się, czy w dziele odrodzenia Polski większa była zasługa romantyków czy pozytywistów; tych, co walczyli, czy tych, co zakładali spółdzielnie. Toczyły się i do dziś toczą polemiki — i będą one trwały, gdyż każde pokolenie stara się wyłuskać z przeszłych doświadczeń wskazania, które współbrzmia z jego nastrojami i odpowiadają nowej sytuacji historycznej.

Niewątpliwie każdy nurt ideowy miał jakiś wkład w to odrodzenie. Największy był tych jednak, których zwano zrazu „narodowcami”; oni stworzyli PPS i już jako „socjaliści” byli jądrem ruchu niepodległościowego, któremu przewodził Józef Piłsudski. Ich główni rywale, których narodowcami nazwano później (a wtedy określano jako „ludowców” albo „patriotów”), przeszli zawiłą drogę myślenia politycznego: w pierw szykowali się do powstania, później optowali za lojalizmem i ugodą, lecz gdy wizja wyzwolenia zaczęła się ucieleśniać — wielu z nich, szczególnie młodszych, doszłusowało w szeregi bojowców Sprawy. Jeszcze inni chcieli od razu wyswobodzić całą ludzkość, a Polaków przy okazji; to „internacjoniści”, którzy się później mianowali „socjaldemokratami”, by wreszcie się stać komunistami. (Nazwy nurtów politycznych wymieniały się jak figury przy rozsadzie w szachach). I z nich wielu miało wkład w odrodzenie Polski — ci mianowicie, którzy przeszli na patriotyczną stronę; jednak spora część pozostała wyłącznie przy wierze w rewolucję socjalną i ostro sprzeciwiała się budowaniu Niepodległej.

Były i pomniejsze strużki ideowe: ludowcy — zaraniarze, którzy z ciemnoty i niemocy wydobywali tych, co „żywią i bronią”, różnobarwni mistycy, czerpiący natchnienie z głównych treści chrześcijaństwa (albowiem instytucjonalny Kościół nie należał wtedy do awangardy patriotycznej), a wreszcie „bracia z Wielkiego Wschodu” — masoni. Jedynie wśród tych ostatnich nie było nastolatków ani młodzieńców po dwudziestce.

W innych orientacjach ideowych ton nadawały nieodpowiedzialne, rozwydrzone wyrostki. Wbrew społeczeństwu, sparaliżowanemu apatią, wyrwali się do walki, ujmując w swoje ręce „bez żadnej kontroli społeczeństwa starszych całą niemal reprezentację ideową narodu i całą walkę o lepsze jutro” — jak żalił się endecki pisarz Zdzisław Dębicki. Potępiano ich i ośmieszano; dworowano, że idą z motyką na słońce, że kuszą się o niemożliwe. Z pasją czynili to mądrzy, racjonalnie myślący pozytywiści, a szcze-

gólnie ich prorok Aleksander Świętochowski. Bolesław Prus książką „Dzieci” próbował odwieść ich od straceniowej walki. Ale nawet ugodowcom nie przychodziło wtenczas do głowy aberracyjne hasło: młodzież trzymać z dala od polityki! Konflikt dotyczył tylko kwestii: JAK politykę uprawiać?

JAK UPRAWIANO POLITYKĘ, która ostatecznie przyniosła wolność, opowiada ta książka. To znaczy — jakie dylematy stały przed pokoleniem niepodległościowym? Jak o nich dyskutowano? Jakie stosowano środki walki, tej codziennej i tej na śmierć i życie?

Przedtem trzeba zarysować tło, na którym przyszło działać wyrostkom w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku.

Polacy pełzali wówczas w odrętwieniu, w bagienku defetyzmu, któremu sankcję moralną dawało pozytywistyczne „dorabiamy się”. Klęska powstania styczniowego wytrąciła z narodu co setnego mniej więcej obywatela, sumując wszystkie rodzaje strat, w tym zsyłki i deportacje. Był to oczywiście kwiat młodzieży patriotycznej i wybór najtępszych umysłów. Każdy przegrany zryw narodowy w młodych uderza najmocniej. „Bito w cyrkulach — pisał Józef Grabiec-Dąbrowski. — Kozacy i policjanci tłukli publiczność batami za łada powodem”.

Najdotkliwsze jednak było złamanie narodowej odporności, determinacji, morale.

Nie rysowała się żadna wizja zaradzenia Złu. Nie wolno było nawet uskarżać się publicznie, bo policja i cenzura działały wzorowo; wystarczyło, że ktoś złym okiem spojrzął na patrol policyjny, czyli *nagrubił głazami* — a wędrował do aresztu.

Elżbieta Kaczyńska zestawiała długą listę popowstaniowych restrykcji. Nie wolno było gromadzić się w mieszkaniach prywatnych. Nie wolno było nikogo odwiedzać bez zameldowania się stróżowi. Na pogrzeby, które odbywały się pod nadzorem tajniaków, należało zdobyć talon; wydawano je, odpłatnie, od 10 do 60 rubli. Na Litwie ogłoszono takse za złapanie ukrywających się powstańców: 30 rubli za dowódcę, 10 rubli za oficera, 5 rubli za szlachcica, 3 ruble za wojskowego, po rublu za podejrzanego chłopca lub Żyda. Rubel — to była wtedy dobra dniówka. Zaprowadzono odpowiedzialność zbiorową: właściciela domu za czyny lokatorów, szlachcica za chłopów, rodziców za dzieci, świadka zamachu — za zamach, jeśli nie schwytano sprawcy. Należało natomiast — do tego przymuszano — słać wiernopoddańcze adresy do cara, z podziękowaniem za wszystko, co uczynił dla Polaków, z prośbami o przebaczenie, z zapewnieniami o pragnieniu wiernej służby. Namiestnik Teodor Berg obiecał pełną amnestię dla tych, co skryli się lub uciekli za granicę — jeśli ujawnią się



władzom. Skorzystało z jego łaskawości 514 osób, z których 88 od razu postawiono pod sąd.

W społeczeństwie masowo rodziło się poczucie moralnego zgnojenia. Formowała się haniebna filozofia życiowa, że skoro niczego nie wolno, poza bogaceniem się, tedy wolno się bogacić na nic nie bacząc, na żadne skrupuły etyczne, choćby i kosztem zatraty godności, choćby i depreczając cudze życie. Namiastką ideologii stał się egoizm, traktowany jako zrozumiała sama przez się postawa realistyczna. Kto zapomniał, że jest Polakiem, mógł się nawet nieźle urządzać, powtarzając głupawe haselko, że Tu i Teraz nic się nie da zdziałać.

Życie polityczne Kongresówki było w stanie hibernacji. Tradycje powstańcze, od rozbiorów przekazywane z pokolenia na pokolenie, teraz wyganiano z serc. Kilkanaście lat postyczniowych to jedyny okres zaborowy, w którym przytłaczająca większość narodu uznawała, że *Finis Poloniae* jest wyrokiem nieodwracalnym.

Jest rok 1878. Dorasta młodzież, która w dniach klęski powstańczej leżała w kołyskach. Postacie bohaterskie, przez starszych odsuwane jak zły sen, przykuwają imaginację „nie tylko młodzieży akademickiej — pisał Ludwik Krzywicki — ale nawet wyrostków, nawet malców”. Kiełkują tajne kółka młodzieży — oświatowe, samokształceniowe, socjalistyczne. Ci pierwsi socjaliści są garstką oryginałów, nieźle sportretowanych w „Lalce”; są wśród nich abnegaci i dandysi, są tacy, co to i do wypitki, i do wybitki. Są dziwacy. Szymon Dikstajń, znany później teoretyk (zapowiadał się na geniusza, na uniwersytet dostał się mając 14 lat!) trzymał dla ozdoby pokoju, w fotelu, szkielet młodej dziewczyny. Jedyni Polacy, którzy podówczas snuli myśli światoburcze, nie pasowali do stereotypu partyjniaka-aparatczyka.

Do jednego z takich kółek wstąpił Józek Bejte (Beuth?) ze zbiedniałej rodziny szlacheckiej, która — jak tyle innych po powstaniu — rozstała się z karabelą na rzecz młotka, wsiątkła w proletariat fabryczny. Jako trzynastoletni chłopak podjął pracę w warsztacie, tyrał od 8-ej rano do 9-tej wieczór. Wkrótce nawiązał kontakty z socjalistami, chodził na tajne spotkania, roznosił listy i zakazane książki zagraniczne; bibuły jeszcze nie drukowano. W kwietniu 1879 roku wpadł i powędrował do sławnego X Pawilonu Cytadeli.

Wyrostek był nieznośny. Ze wszystkich drwił, nie mógł wysiedzieć na pryczy, denerwował statecznego, już 32-letniego współwięźnia, Józefa Szczepańskiego. 12 lipca Józek wdał się w pyskówkę z wartownikiem. Gdy ten kazał mu zejść z parapetu, Józef nie posłuchał i rzucił weń ułamkiem siatki drucianej. (Strażnik, nazwiskiem Kleszczewnikow, zeznawał potem oczywiście, że

to była butelka). Rozeźlony żołnierz oddał strzał, trafił prosto w głowę.

Józef Bejte, lat 17. „Pierwsza krwawa ofiara w dziejach polskiego socjalizmu” — napisał Adam Próchnik, historyk i działacz PPS.

Zwłoki Józka pogrzebano na Powązkach, nocą, w tajemnicy, żeby nie doszło do antypaństwowego zbiegowiska.

Po X Pawilonie tragedia rozniosła się natychmiast i spowodowała dalszą sekwencję zdarzeń. Maria Hildt (niepełnoletnia, istna furia podziemia, wkrótce zesłana na Sybir, gdzie zmarła) dała współwięźniom hasło do protestu. Ogarnęła ich wściekłość i desperacja; zdemolowano cele, wybito szyby. Do celi 34, w której miotali się Stanisław Landy, lat 23, student weterynarii i Wacław Sieroszewski, lat 19, uczeń szkoły kolejowej, wszedł sam generał Ulrych, komendant Cytadeli. Wacek rzucił weń szczapą, wyrwaną z futryny. Buntowników skopano i skatowano, szarpano za włosy, skrępowano — i bito dalej.

Zaczęła działać maszynka wymiaru sprawiedliwości.

Działała zaskakująco.

Sprawę więźniów, którzy dopuścili się dewastacji mienia rządowego oraz stawili czynny opór funkcjonariuszom sił porządku, okrutny carat — umorzył. Najbardziej czynnych w proteście przeniesiono (z dwoma wyjątkami) do innych więzień, a ciężące na nich oskarżenie o działalność wywrotową rozpatrywano w trybie administracyjnym.

Tymi wyjątkami byli Sieroszewski i Landy. Oni napadli samego Generała! Za takie znieważenie mundurów wysokiego dygnitarza kodeks przewidywał karę śmierci.

Ale generał Ulrych zeznał, wbrew prawdzie, że ciężki przedmiot wcale weń nie trafił. Carscy oficerowie umieli zachować się bardziej niż uczciwie: szlachetnie.

Przewodniczący sądu wojskowego płk Czerkasow ani razu nie przerwał mowy obrończej mec. Turkiewiczza, który grzmiał:

„A więc ta żandarmeria, która rzuciwszy się na oskarżonych pozwoliła sobie bić ich i rwać im włosy, przez co wyraźnie naruszyła ich godność ludzką — jest w porządku, a ci, którzy w poczuciu człowieczeństwa i dla samoobrony się opierali — są oskarżeni!”

Do postawy generała i pułkownika nie dostosował się jednak oberpolimajster Buturlin; do generalnego gubernatora, hr. Pawła Kotzebue złożył zażalenie na sędziego, iż ten nie wziął w obronę niesłusznie oskarżanej żandarmerii i że wpuścił na salę rozpraw osoby o nieprawomyślnych poglądach, w tym rodziny podsądnych.



Wyrok zapadł surowy. Landy został skazany na 12 lat ciężkich robót, Sieroszewski na 8 lat twierdzy. Jednak hr. Kotzebue, który nie lubił żandarmów, złagodził sentencję, zastąpił katorgę — osiedleniem w odległych miejscowościach Syberii. Tam Sieroszewski studiował życie Jakutów, napisał na ich temat cenne prace, a do kraju wrócił już jako znany pisarz. W Polsce niepodległej ten rozbestwiony wyrostek został prezesem Związku Literatów Polskich i Polskiej Akademii Literatury.

(W sto trzy lata później analogiczny proces w Kwidzynie miał zupełnie inny przebieg; świadkowie i sąd też zachowywali się inaczej).

Tu trzeba oddać sprawiedliwość komunistom (czyli „internacjonalistom” wtedy). Pod wodzą Ludwika Waryńskiego założyli w 1882 roku Międzynarodową Socjalno-Rewolucyjną Partię „Proletaryat”, zbierając kilka setek członków efemerycznych kółek i „gmin” socjalistycznych oraz wichrzących studentów. „Proletaryat” pierwszy po Powstaniu Styczniowym ośmielił się walczyć z caratem, chociaż odżegnywał się od patriotyzmu, od celów narodowych; stał na stanowisku rewolucji klasowej. Zapoczątkował akcję terrorystyczną. Początki jej przypominały dziecięce zabawy. Cwiczoneo się w operowaniu nożem, bo nie było ani jednego rewolweru; tajemnie próbowano je wyprodukować w fabryce Mizerskiego, ale pękały — natomiast sztyletów i sztambajz do obrony trochę tam wykuto. Trenowano rzuty piłką, żeby umieć miotać bomby. Buszowano po tajemnych lochach pod Starym Miastem, próbując odszukać legendarne przejście do Zamku. A kiedy rzeczywiście podjęto zamachy — ugodziły one wyłącznie w zdrajców i szpiclów. Niepełnoletni tkacz Jan Pietrusiński z wyroku sądu partyjnego zabił domniemanego szpiega Helszera w Zgierzu; niestety, była to pomyłka. O rok starszy — lat 21 — szewc Michał Ossowski dopadł w tramwaju konnym na Bagateli i zabił konduktora, prowokatora Skrzypczyńskiego. Obu zamachowców powieszono na stokach Cytadeli, wraz z niewiele starszym Stanisławem Kunickim i seniorem ruchu, czterdziestoletnim Piotrem Bardowskim. Pietrusiński przed egzekucją zwierzał się, że najbardziej mu smutno, bo nigdy jeszcze nie kochał kobiety i nie może sobie wyobrazić tego uczucia.

W ostatnim słowie Ossowski powiedział:

„Sądzicie, być może, sędziowie, że robotnicy dlatego przystępują do ruchu socjalistycznego, że pociągnięci zostali przez inteligencję. Ja stanowczo protestuję przeciwko takiemu zdaniu. My, robotnicy, doskonale to odczuwamy, że walka toczy się za nasze interesy; my wkładamy w nią całą naszą energię i gotowi jesteśmy nieść brzemień odpowiedzialności za to, co przez nas zrobione

zostało. Dlatego więc niesprawiedliwością z waszej strony będzie, jeżeli w wyroku jakkolwiek różnicę między robotnikami a inteligencją przeprowadzicie”.

Przywódca partii, inteligent Ludwik Waryński, skazany na 16 lat katorgi w twierdzy Szlisselburskiej (w której zmarł), tak mówił przed sądem:

„Sympatie robotników po naszej znajdują się stronie. Dumni jesteśmy świadomością, że rzucone przez nas ziarno głęboko spadło i puściło korzenie. Wśród robotników wielu było słabych, którzy uchylili czoła przed siłą i zdradzili swą sprawę, lecz bądźcie przekonani, sędziowie, że w chwili stanowczej nawet ci słabi i zahukani ludzie staną po naszej stronie”.

Takie słowa w sto lat później mogliby bez zmiany powtórzyć oskarżeni przed sądami, strzegącymi ustroju, który tamci idealizowali.

Kiedy 190 proletariatszyków znalazło się w więzieniach albo na zesłaniu — i co rok wpadało następnych kilkudziesięciu — ster rozproszonej organizacji, która wciąż na nowo odradzała się w podziemiu, przejmują coraz to młodszy spiskowcy. Tacy, co początkowo spełniali zadania poboczne, organizowali pomoc dla uwięzionych i ich rodzin, czasem przynosili grypsy i bibułę. Teraz to oni, drugi rzut, potem trzeci — nieomal dzieci jeszcze — kierują robotą polityczną: odwiedzają z prelekcjami kółka robotnicze, rozpowszechniają wywrotową literaturę przerzucaną „zza kordonu”, sami uruchamiają na Siennej 91 tajną drukarnię, zakładają szwalnię i introligatornię, z których dochód (niestety, nie było go) miał zasilać Kasę Oporu, a wreszcie 2 marca 1885 roku na Placu Zamkowym włączają się w pierwszą uliczną manifestację dwustu bezrobotnych. 146 z nich aresztowano.

Przesiane resztki proletariatszyków skupiły się wokół nowego przywódcy Komitetu Centralnego, pięknej panny, nauczycielki, wyrostka w spódnicy: Marii Bohuszewiczówny. Miała wtedy już 19 lat! Była szlachcianką z Białorusi, córką powstańca styczniowego, a po kądzieli prawnuczką rodzonej siostry Tadeusza Kościuszki. Krzywicki zauważył, że stosunek najbliższej kompanii — to znaczy członków KC — do Bohuszewiczówny był podobny, jak żyrodystów do pani Roland: kochali się w niej, lub ściślej — adorowali ją. W jej mieszkaniu na Złotej 26 roiło się od rozognionej młodzieży. Czas spędzano przyjemnie, między planem obalenia caratu a programem światowej rewolucji poniektórzy smalili do Marii cholewki, ona jednak nie zwracała uwagi na zalotników. Do głupstw nie miała głowy. Pod jej kierownictwem partia znacznie rozbudowała organizacje prowincjonalne, ona cho-



wała w sekretarzyku cały centralny sekretariat, pisała agitacyjne odezwy i pogadanki.

29 września 1885 roku policja zrobiła nalot na drukarnię. Po nitce do kłębka zgarnięto kolejny sztab proletariaczyków — ogółem 55 osób. X Pawilon zagęścił się jeszcze bardziej. Za swoje spiski zapłacili łącznie setkami lat Sybiru, wielu życiem. Maria Bohuszewiczówna, skazana na 5 lat zsyłki, zmarła po drodze w Krasnojarsku.

Pamięć po pięknej rewolucjonistce przetrwała w wierszu, jaki na jej cześć, na Sybirze, napisał Sieroszewski:

... Tyś skupiła w swym sercu wszystkie nasze cnoty,  
Jak kryształ, co rozsiane w powietrzu promienie  
Zbiera w punkt jeden drobny, ale palący i złoty;  
Nie ma Ciebie... umarłaś... znikłaś i nie wrócisz!...  
Ty nasza przodowniczo, orlico Ty nasza!...  
Już okrzykiem bojowym męstwa nie ocucisz...

Na jej cześć pseudonim „Marian Bohusz” przybrał — zakonany na zabój — Józef Karol Potocki, nieprzeciętny intelektualista i działacz socjalistyczny (ale krytyczny wobec doktryny Marksa), który później związał się z narodowym *Głosem* i zasłynął jako publicysta, idol warszawskiej młodzieży. Żył jak anachoreta. Wszystkim, co zarobił, dzielił się z przyjaciółmi. Głosił, że twórcze idee, a nie tylko przemiany społeczno-gospodarcze, porywają masy ludzkie do wielkich czynów; jako jeden z przykładów podawał dzieje Islamu. Zrażony do narodowców, coraz układniejszych wobec caratu, odsunął się od nich, redagował własne piśmiemko *Walka*, usiłując syntetyzować idee socjalistyczne i narodowe. Był osamotniony, schorowany. Opuścili go ci, dla których kilka lat wcześniej był wzorem. Na koniec — przepadł bez śladu. Nikt nigdy nie wyjaśnił, co się z nim stało, gdzie i kiedy zmarł. Jedyny po nim trwały ślad na kartach „Ludzi bezdomnych”, w pamiętniku Joasi. Dla Żeromskiego pozostał Bohusz jednym z tych, co całym swym życiem torowali drogę do niepodległej Polski.

W asyście Bohuszewiczówny kręcił się także szesnastoletni gołowąs, który miał na imię Edek, ale nazywano go „Tloczkiem”, albowiem wciskał się wszędzie, pożerany tyleż ambicją, co pasją społecznikowską. Wiedziano, że drukuje artykuły w ludowym piśmie *Zorza*: cykl „Pogadanki o rzeczach pożytecznych”, zdradzający czytanie w Darwinie, Spencerze, Taine’em, a nawet w Marksie. Już jako piętnastolatek był gwiazdą tej gazety, która skądinąd nie należała do wybitnych. Ale Bohuszewiczówna, bądź co bądź o trzy lata starsza, z pobłażaniem patrzyła na młokosa;

uważała, że za wcześniej na jego spiskowe wtajemniczenie. Musi rok-dwa poczekać, trzeba mu się przyjrzeć.

Wyrostek, Edward Abramowski, za niewiele lat stał się jednym z tych, którzy „nasycili sobą pokolenie” — jak napisał jego wielbiciel Żeromski, i stworzył „piękną naukę o człowieku” — jak napisała zafascynowana nim Maria Dąbrowska.

Wkrótce po nim jako czołowy ideolog PPS miał zasłynąć dwiętnastoletni maturzysta, Kazimierz Kelles-Krauz.

Jeszcze nie raz będzie w tej książce mowa o rozwichrzonych i nieodpowiedzialnych wyrostkach, które budowały Polskę nie tylko tym, czego dokonały w wieku dojrzałym, ale przede wszystkim tym, co zdziałały właśnie w szczenięcych latach. Jeden z 16-letnich organizatorów strajku uczniowskiego w 1905 roku tak (wedle relacji Stefana Drzewieckiego) mówił na uczniowskim zebraniu:

„Wiemy, że na razie nie osiągniemy dla siebie pomyślniejszego losu. Wiemy, że się narażamy bez nadziei zwycięstwa. Wiemy, że idziemy na stracenie, że się marnujemy. Nie przybieramy pozy bohaterów, nie rozpoczynamy walki z najazdem, jak nasi ojcowie, nie zginiemy śmiercią bohaterską. Wiemy, że nas wypędzą, że nas oddadzą w żołdacy, że pójdziemy do głębokiej Rosji — i to wiemy, że stamtąd wrócimy złamani, może znieprawieni, że będziemy pisarzami gminnymi, pomocnikami fabrycznymi, może agentami tajnej policji. Ale wiemy, że walka, którą rozpoczynamy, owocna będzie dla naszych następców...”

Takie wyrostki broniły potem Lwowa. Tylko, że wtedy zwano ich Orłętami.

*Czy wychodzić na ulicę?*

Moment, w którym kurator Aleksander Apuchtin dostał po pysku, zapoczątkował nową epokę w życiu politycznym młodzieży; zaczęła się faza wyżu nastrojów niepodległościowych. Często drobny incydent porusza lawinę. Teoretycy zwą takie zjawisko „detonatorem”.

Apuchtin nienawidzono. Był postrachem nauczycieli, uczniów i studentów, których osaczył siecią szpicliów. Szkolni peddle, jak zwano woźnych, mieli obowiązek przetrząsać internaty, zaglądać do uczniowskich kuferków, śledzić pozaszkolne życie młodzieży. Apuchtin zapędzał młodzież do cerkwi, gdzie sławiono cara. Lubił powtarzać, że niedługo matki-Polki będą śpiewać dzieciom rosyjskie kołysanki.



Wśród rozbisurmanionych studentów od dawna zmagano się, by go zwabić i zastrzelić — a potem spalić budę, cały ten ruski Uniwersytet Warszawski. Może wysłać mu pocztą wybuchową machinę? Nawet skonstruowano takową; miała jednak rozmiar kufra i nie nadawała się do pocztowej ekspedycji. Skończyło się na tym, że Apuchtina spoliczkował student... rosyjski, nieznanego nikomu Jewgeni Żukowicz. I to nie jest zresztą pewne — może tylko zamierzył się z ciosem? Tak czy inaczej, po tym zdarzeniu, w kwietniu 1883 roku, w letargicznej Warszawie doszło do ulicznych zaburzeń — pierwszych od powstania.

Kiedy wieść o mordobiciu rozniosła się po wydziałach, rozogniona młodzież zgromadziła się na tym co zwykle dziedzińcu, wypełniła IV audytorium, pchała się na korytarze, aby ją jakoś solidaryzować się z Żukowiczem. Kilku przemawiało; zaczęto obmyślać treść oświadczenia; żeby Apuchtinowi dosolić, żeby go wreszcie zabrano. Były i głosy mitygujące, odpowiedzialne: miejcie na względzie własną przyszłość i przyszłość kraju, któremu niepotrzebne są awantury. Spokój, nauka, praca! Paru takich pozytywistów przykładnie wyrzucono, lecz po korytarzach szedł pomruk mieszany. Trzymajmy się razem! — wołano, ale szeptało też: nie róbcy głupstw, komu to służy?

Aż rozległ się stukot butów wołyńskiego pułku gwardii. Część studentów rozproszyła się w mig, wsiąkła, pochowała, ale ponad dwustu wytrzymało w audytorium. Tych wygarniano po jednym, spisywano — pod eskortą z nasadzonymi sztykami wyprowadzano za bramę przy Oboźnej — i puszczano. Wtapiali się w tłum ciekawskich. Narada: co robić? Ktoś dał hasło: do domu, jutro normalnie na uniwersytet.

Ale nazajutrz, gdy zaczęli się gromadzić przed bramą główną, zaszarżowała konna żandarmeria. Przycwałowali ułani. Za nimi dońscy kozacy. Piechota. Gwardia wołyńska. Władza urządziła demonstrację siły — ile to bitnych jednostek strzeże ładu i porządku!

Jeszcze nikogo nie zgarnięto do suk-kibitek, choć demonstracja spęczniała nawet, mimo koncentracji bagnatów, szabel i nahałek. Warszawska publika nabrała otuchy i ścisnęła dłonie swym studenciakom.

Po paru godzinach oczyszczono ulice, bez pałowania, wystarczył sam widok zwartych rot. Jeszcze wystarczył.

Odbył się sąd profesorski. Na rok do trzech lat relegowano z uczelni i wydalono z Warszawy 133 studentów. Jednym z nich był Ludwik Krzywicki, który pozostawił dokładny opis tej Apuchtinady lub „schodki apuchtinowskiej”. W kilka dni później, na skutek nowej instrukcji z Petersburga, policja — wbrew obietnicom profesorów — zaczęła wyłapywać najciężej obwinionych.

„Słowo honoru nie może mieć praktycznego zastosowania” — wyjaśnił rektor Błagowieszczeński. Kilkunastu aresztowano i wywieziono do Rosji, kilkunastu wymknęło się do Galicji. Szczęściem rychło ogłoszono amnestię, z okazji koronacji Aleksandra III. Ale nie wszyscy mogli kontynuować studia.

Efekt, jak na jeden akt rękoczyn, może się wydać wysoce nieopłacalny. Stu kilkudziesięciu młodych doznało wielkich komplikacji życiowych, niektórzy się zmarnowali. Apuchtin, odznaczony za spoliczkowanie orderem Aleksandra Newskiego, został w Warszawie długie lata.

Takie saldowanie strat jest jednak ślepotą, jeśli się spojrzy z punktu widzenia narodowej zbiorowości. Ona odebrała Apuchtinadę jako „radosną nowinę”. Dokładnie tak napisał do *Kuriera Warszawskiego* Józef Natanson z zasłużonej dla polskośći rodziny bankierskiej, przekazując okrągłą sumkę na jakiś cel szlachetny.

Władze pojęły aluzję i jego też skazały na zesłanie.

Ale natychmiast inni poszli tym samym śladem, zbierając dalsze składki. A w cyrku Cinisellego jeden clown dał w pysk drugiemu, a trzeci z powagą przywiesił mu order — co widownia przyjęła frenetyczną owacją (clownów wydalono za granicę). T. T. Jeż napisał zaś z emigracji: „Czemuż to tych gości nieproszonych, których na ziemi polskiej cierpieć nie powinniśmy, spotkał w progach naszych w przeciągu lat dwudziestu trzech jeden tylko policzek?”

Miały za nim nastąpić i inne gesty symboliczne. Gesty, za które naród drogo płacił, ale które były niezbędne, by naród odżył.

W pół wieku później, na zjeździe socjologów w 1935 roku, sędziwy prof. Krzywicki wygłosił odczyt, w którym podważał sens swego i swych przyjaciół młodzieńczego zaangażowania. (Taka zmiana optyki często zdarza się ludziom w podeszłym wieku, zachodzi w nich metamorfoza od patriotyzmu ku lojalizmowi). Twierdził, że przez walkę wyzwolenczą naród nasz w każdym pokoleniu wyjął z najcenniejszych jednostek — „rogatych dusz”; ginęli, szli do więzień lub na obczyznę, późno zakładali rodziny, więc mieli mało rogatego potomstwa. Te negatywne procesy selekcyjne osłabiły społeczeństwo.

Prof. Stanisław Ossowski odpowiedział, że pojawianie się „dusz rogatych” nie zależy od jakichś rogatych genów. Na psychikę społeczeństwa wpływa przede wszystkim dziedzictwo kulturowe — w dwojaki sposób. Dziesiątkowanie „rogatych dusz” istotnie zmniejszało ich liczbę, a zatem i wpływ na Polaków, bo spadała intensywność kontaktów społecznych między Polakami rogatymi a bezrogimi: następowało kulturalne wyjąłowanie społecznej atmosfery. Ale zarazem działał przeciw me-



chanizm odwrotny! Te same wydarzenia, które powodowały ubytek „dusz rogatych”, prowadziły do wytwarzania się wzorów, opromienionych aureolą bohaterstwa, przeto na drodze wychowawczej wzbogacały kulturowe dziedzictwo i kształtowały postawy patriotyczne. „I dlatego bojownicy walk ideowych nie potrzebują się trapić — skonstatował Ossowski — że przez ich czyny marnieje rasa grupy społecznej”.

Psychicznym skutkiem przymusu Ossowski poświęcił wiele kart twórczości socjologicznej, ciągle żywej, dającej wyraźne wskazania — jak żyć godnie z pożytkiem dla narodu? Przyznawał, że w warunkach przymusu „skłonności niewolnicze szerzą się nieporównanie łatwiej, niż skłonności bohaterskie”, a typy oportunistyczne mają większe szanse przetrwania; „giętki kręgosłup jest w tych warunkach cechą korzystną dla zachowania gatunku”. Ten proces selekcyjny — twierdził — dotyczy nie tylko cech moralnych, ale i umysłowych: psychice niewolniczej towarzyszy bierność, psychice buntu — samodzielność umysłu.

Jak zatem zniewolone społeczeństwo może przeciwdziałać naciskowi ustroju, któremu jest poddane?

Nie rezygnować z oporu! Pamiętać, że „czyny kierowane względami estetycznymi, poczuciem honoru osobistego lub dbałością o godność grupy społecznej podnoszą jej atrakcyjność, wzbogacają jej kulturę i żywotność”. Jeśli w jakimś zespole ludzi zanika zdolność poświęcenia się dla gestu, jeśli zabraknie ludzi z fasonem, to traci ten zespół doniosły czynnik głębszej więzi uczuciowej. Nie wolno pozwalać, by opresor zmuszał nas do zachowań sprzecznych z przekonaniami, choćby chodziło o gesty z pozoru symboliczne: klaskanie mówcy, z którym się nie zgadzamy, branie udziału w demonstracjach pod obcymi sztandarami, uczestniczenie w fikcyjnych wyborach. Nie wolno pocieszać się, że chodzi przecież tylko o czczą formalność, bez praktycznego znaczenia. Gdy wielokrotnie rezygnujemy pod przymusem z własnej godności — następuje zmiana naszej osobowości. „Łatwe rezygnowanie z oporu w stosunku do narzucanych czynności symbolicznych — pisał Ossowski — nie tylko ruguje czynniki estetyczne z naszej motywacji moralnej, ale wytwarza takie nawyki, które ułatwiają na przyszłość oportunistyczne koncesje w sprawach, gdzie skutki rzeczowe nie podlegają już wątpliwości”.

Dlatego ogromne znaczenie dla psychicznej odporności społeczeństwa mają wartości uroczyste. Na przykład klęska lub sukces narodowy mogą być przedmiotami wspólnych przeżyć, wytwarzają zbiorowy nastrój, szczególnie w okresach nasilenia społecznej łączności.

Apuchtinada wspólny nastrój wytworzyła; ale to był zaledwie pierwszy przeblysłk. Opinia publiczna żyła nim długo, lecz była skrajnie podzielona. Warszawscy studenci nawet po dziesięciu latach nie zapomnieli tej legendy (zwłaszcza, że Apuchtin trwał na stanowisku), konserwatyści krakowscy natomiast z furją zareagowali na pochwałę, jakiej Jeż udzielił spoliczkowaniu. W anonimowej broszurze, która w 1889 roku wyszła w Krakowie, dano mu ostrą odprawę:

„Naród, który by wstąpił na drogę takiej brutalno zwierzęcej, terrorystycznej polityki, dałby o sobie najgorsze świadectwo wobec religii, moralności i cywilizacji, oburzyłby wszystkich przeciw sobie, jak niegdyś Turcy i Mongołowie”.

Krakowiaczek zapomniał, że Turcy i Mongołowie oburzali świat, bo byli najeźdźcami, a nie dlatego, że się przed najeźdźcami bronili...

W oceanie marazmu wciąż jeszcze tonęły jednostkowe odruchy niezgody na carski ucisk. Duch lojalizmu przeżarł nawet duże mas młodzieży. Zrezygnowane społeczeństwo nie myślało o sprzeciwie wobec unifikacji buntowniczego Królestwa Polskiego z resztą ziem caratu i przemianowania go na *Prywislenie*. Nie protestowano przeciwko rugowaniu języka polskiego ze szkół, przeciw zamykaniu kościołów i klasztorów, wypędzaniu zakonników i odcięciu duchowieństwa od Rzymu, który niekiedy był życzliwy Polakom. Przyjmując demonstracyjną pielgrzymkę, Pius IX powiedział: „Powiadam wam — miejcie nadzieję, wytrwałość, odwagę i módlcie się, a ciemiecy wasi runą i Królestwo Polskie powróci”. Lecz słowa otuchy docierały do nielicznych. Przytłaczająca większość godziła się biernie na despotyzm generał-gubernatora Hurki, jeszcze wdzięcząc się przymilnie, jeśli łaskawie przyzwolił na założenie kontuszy bądź rogatywek podczas jakichś maskarad rocznicowych. Zresztą i wśród wychodźstwa, na polskich rautach w Paryżu czy Londynie, kwitło patriotyczne komedianctwo kostiumowe, z nieodłącznym ułanem.

Niezbędny był narodowi jakiś nowy, mocniejszy wstrząs niż Apuchtinada. Trzeba nań było jednak czekać przez całe lata osiemdziesiąte. Powoli odmieniały się społeczne nastroje, a ludzie otrząsali się z letargu. Od styczniowej Apokalipsy minęło ćwierć wieku. Gehenna narodu znowu obruszała młodzież przeciwko ciemiecy i przeciw tym, co kazali cierpieć w pokorze i myśleć o mamonie. Z tajgi nad Jenisejem, z lodowej Kamczatki powracali katorżnicy; mniej znaczyli jako promotorzy czynnego oporu, byli wypaleni, ale sporo — jako budziciele sumień.

Przede wszystkim jednak odżyła myśl polityczna.



Rok 1882 — to początek tragicznej, lecz poruszającej martwą wodę epepei Wielkiego Proletariatu.

Rok 1887 — to powstanie Ligi Polskiej na emigracji.

Oba te wydarzenia, choć genetycznie tak odmienne, wręcz sprzeczne w intencjach ideowych, zapoczątkowały ożywienie nastrojów rewolucyjnych i formowanie nowych obozów politycznych. Do tych zjawisk powrócę w innym rozdziale. Chwilowo przedstawiam jedynie zewnętrzne oznaki patriotycznej ekspresji — a nie ich podłoże programowe. Fałszywa jest wprawdzie myśl Marksa, że „Każdy krok rzeczywistego ruchu jest ważniejszy niż tuzin programów”, ale jest faktem, że gesty oporu — nawet przegrane i kosztowne — mają dla ruchu ogromne znaczenie mobilizacyjne.

Oba nurty — robotniczy i studencki — spektakularne akcje podjęły u progu lat dziewięćdziesiątych. Ten pierwszy był wówczas zorganizowany w wątlm, zdziesiątkowanym aresztowaniami II Proletariacie i w Związku Robotników Polskich, ten drugi w kilku ugrupowaniach, wśród których przodował narodowy ZET — Związek Młodzieży Polskiej.

Zaczęli robotnicy. W lutym 1890 roku CK „Proletariatu” — na apel paryskiego kongresu Międzynarodówki, która zresztą na Polaków nie liczyła — postanowił dołączyć się do urządzanych pierwszy raz w świecie obchodów 1 Maja. Do Warszawy przedostał się z Paryża „nielegalnik” Stanisław Padlewski, spotkał się z Marcinem Kasprzakiem, Stanisławą Motzówną i Bolesławem A. Jędrzejowskim — „Bają”, później wybitnym działaczem PPS i piśmudczykiem. U szewca Snarskiego, róg Marszałkowskiej i Chmielnej, wydrukowano pierwszomajową odezwę autorstwa „Baja”, którą roznoszono wprost do mieszkań robotniczych. Szanse rysowały się mizernie: grupkę działaczy dwóch partii można było policzyć na palcach obu rąk, a w Warszawie jeszcze nigdy nie udało się skłonić robotników do masowego wystąpienia, nawet za czasów Wielkiego Proletariatu, który był organizacją dużą i sprawną. Żandarmeria, wyniuchawszy co się święci, zaczęła profilaktyczne aresztowania, ale nie udało się jej przerwać agitacji. Nie poskutkowało też dane fabrykom polecenie, by zapisano nazwiska robotników nieobecnych 1 Maja w pracy. W Warszawie zastrajkowało 8 tysięcy robotników. Wiele drobnych warsztatów stanęło zupełnie. W warsztatach kolejowych do pracy nie stawiało się czterystu, u Ortweina — stu pięćdziesięciu robotników. Odświętnie ubrani gromadkami chodzili po Warszawie, śpiewając: „Niech się wali, niech się pali”. W całym Cesarstwie Wszechrosji jedynym miastem, które świętowało na apel Międzynarodówki, była Warszawa.

ZET-owcy przeszli do czynu następnej wiosny. No, nie były

to od razu czyny imponujące. Gdy do Warszawy, na zaproszenie gubernatorowej Hurkowej, zjechał rosyjski teatr pana Korsza, nieodpowiedzialni studenci rozlali śmierzącą asafetydę i w sukniach kilku dam wypalili dziury kwasem siarkowym. W Teatrze Wielkim rzucano do aktorów-Rosjan zgniłymi jajami, natomiast w „Rozmaitościach” studenci zasypywali kwiatami artystów polskich, witali ich owacyjnie, bez końca wywoływali swoich ulubieńców: Czakównę, Trapszównę, Marczelkę, Rapackiego, Frenkla i Leszczyńskiego. Trwałość form wyrażania uczuć narodowych jest zdumiewająca.

Ośmieleni własną odwagą, studenci poważyli się na ambitniejsze przedsięwzięcie: po długich latach zapomnienia o obchodach Trzeciego Maja, w setną rocznicę Konstytucji, wezwali naród do uroczystego świętowania. Odwykłe od rzykanctwa społeczeństwo przyjęło apel jękiem. Pisał korespondent socjalistycznego *Przedświtu* w Londynie: „Zarówno burżuazja jak i szlachta polska, wylękniona, spieszyła do władz rządowych, by wspólnie coś uradzić przeciw rozbrzykaney młodzieży”. Uradzono, że gazety dadzą odpór. Nadgorliwa prasa warszawska — wbrew opinii cenzury, od której odwołano się do Petersburga — zamieściła jednobrzmiący artykuł, w którym czytano z ulgą:

„Pewna ilość spokojnych i pracą zajętych mieszkańców miasta naszego otrzymała z niewiadomego źródła pochodzące proklamacje, w których spod pseudo-patriotycznej powłoki wyziera niegodna chęć jątżenia jednych warstw ludności przeciw drugim. Gdyby nawet jakaś garstka obałamuczonych nie wiadomo skąd idącymi podmuchami jednostek, o gorącej krwi a słabych głowach, popchnąć się dała niespodzianie do jakowychś ekscesów, byłby to wypadek nader smutny. Społeczeństwo nasze pragnie przede wszystkim żyć i w spokoju nad swym rozwojem pracować, a tych, którzy by ten spokój i tę pracę zakłócić usiłowali, potępiłoby z pewnością”.

Ciekawe, jak trwała jest stylistyka oficjalnej propagandy.

Urządowy *Warszawskij Dniownik* uderzył w ton ostrzejszy:

„Czasy sentymentów i ustępstw dawno już minęły. Sławetna Konstytucja 3 Maja 1791 roku była ostatnim nożem, który dobił umierającą Polskę. Gdyby Polacy byli zdrowi na umyśle, nie święciliby tego dnia, ale by go przeklinali”. Na zakończenie zdanie o całkiem współczesnym brzmieniu: „Władze są tak silne, że niczego obawiać się nie potrzebują”.

Mimo tej buty urzędnicy rosyjscy przed 3 Maja tłumnie wyjeżdżali z Warszawy. W krytycznym dniu, który zbiegł się z



pierwszym dniem Wielkiej Nocy starego stylu, ulice... opustoszały. Lojaliści zaszli się w domach. Jedynie w katedrze św. Jana zebrała się setka studentów i gimnazjalistów. Po mszy młodzież ruszyła do Ogrodu Botanicznego i kwiatami ozdobiła ruiny kapliczki, upamiętniającej Konstytucję. Przed wieczorem tłum zgęstniał i urosł stos kwiatów, chociaż do kapliczki dopuszczano na raz tylko po dwie osoby.

„Oberpolicmajster Klejgels, w asyście komisarza, przypatrywał się tej spokojnej demonstracji, bacząc tylko, by zbyt wiele osób nie gromadziło się przed pomnikiem. W ogóle policja zachowywała się z rezerwą. Dopiero gdy powracający tłum, dążąc do katedry, znalazł się przed Zamkiem, oberpolicmajster wezwał do rozejścia się, grożąc użyciem siły zbrojnej. I rzeczywiście zjawiała się secina kozaków. Tymczasem część pochodu skierowała się przez plac Teatralny do Saskiego ogrodu, gdzie ją zamknięto i dokonano licznych aresztowań (...). Student Brauliński odebrał sobie w celi życie”.

Powyższy opis pochodzi z broszury Witolda Giełżyńskiego „Obchody Trzeciego Maja”. Teofil Lenartowicz zaś poświęcił taką strofę wydarzeniu:

*Studenci, obojętni na więzy i zgony  
Stają, jak roślinności młody gaj zielony  
Pod zimne ostrze kosa, bez cienia obawy...  
Chwała Wam, syny mojej rodzinnej Warszawy!*

Manifestacja trzeciomałowa spowodowała aresztowanie 118 osób, licząc wraz z zatrzymanymi na pogrzebie Braulińskiego (inne źródła: „Burdzyńskiego”), który stał się okazją do kolejnej demonstracji na Powązkach, rozpedzonej przez oddziały płk. Agapiejewa; za to zwycięstwo awansował on na generała. Aresztantów potraktowano dość łagodnie, tylko 24 — wśród nich Stanisław Wojciechowski, potem Prezydent RP — dostało wyroki od miesiąca do sześciu za udział w demonstracji „w stuletnią rocznicę byłej konstytucji byłej Polski”. Ostrzej, bo zesłaniami, ukarano niepoprawnych, którzy wybili medale pamiątkowe, a także prof. Mieczynskiego, który w dwa lata później ośmielił się rzucić bukietem fijołków na zwaliska kapliczki w Botanicznym. Władza pokazała oblicze pobłażliwe dla tych, co zgrzeszyli po raz pierwszy, ale nieubłagane dla zatwardzielców. Ani jedna taktyka, ani droga nie zapobiegła wzrostowi temperatury podgrzanych już nastrojów. Z młodzieży zaczęły opadać pęta strachu, gdy wbrew katastrofizmowi starszych znalazły się rogate dusze, znaleźli się Polacy z fasonem, którzy pokazali, że można, że należy ryzykować dla Sprawy.

Redaktorów tych trzech warszawskich pism, które zamieściły ów artykuł przeciw manifestacjom, odwiedziły dwuosobowe delegacje studenckie w celu „czynnego znieważenia”, czyli obicia gęby.

W innych zaborach Trzeci Maja odświętowano w setną rocznicę bez przeszkód. Ogromne tłumy w Krakowie, we Lwowie, nawet w małych miasteczkach galicyjskich. Pod Prusakami, gdzie rygor był znacznie ostrzejszy, święcono ten dzień w Poznaniu, Gnieźnie, Grudziądzu, Strzelnie, Trzemesznie, a nawet w Gdańsku.

Rozgłos, jakiego nabrała warszawska demonstracja trzeciomałowa — maleńka, ale uliczna — przesłonił świętowanie pierwszomałowe, które w tymże roku podjęli robotnicy. I to w liczbie stukrotnie większej, niż studentów i inteligencji zebrało się w Ogrodzie Botanicznym! II Proletariat agitował broszurą Edwarda Abramowskiego, Związek Robotników Polskich — broszurą Józefa Becka (ojca sanacyjnego ministra spraw zagranicznych, też Józefa). „W sercach naszych wrzało — relacjonował Adolf Kiełza, uczestnik wydarzeń. — Robotnicy wtedy mniemali, że takich demonstracji jeszcze kilka lub kilkanaście, a stary świat despotyzmu i wyzysku kapitalistycznego runie”. Proletariat Warszawy, mimo pogroźek fabrykantów, majstrów i policjantów, świętował masowo, do pracy nie stawiało się kilkanaście tysięcy robocizny, w tym wyrobnice igły z magazynów mód i fabryki koronek Szlenkiera. W Łodzi pozostali w domach prawie wszyscy włókniarze od Poznańskiego, najbrutalniejszego z wyzyskiwaczy. W Żyrardowie strajk miał charakter powszechny, trwał 4 dni, ogarnął 9 tysięcy robotników. Tutaj strzelano, padły śmiertelne ofiary, a 574 buntowników zredukowano i odesłano ciupasem do miejsc urodzenia.

Znane są teksty niektórych ulotek, pisanych odręcznie i rozklejanych w Zakładach Żyrardowskich. Oto jedna z nich:

„Bracia drodzy!!! Nadszedł czas, aby się wydobyć ze szponów mniemanych Chlebodawców, ssących z nas ostatnią kroplę krwi, a co gorsza, znieważających nasze żony i córki potem i złudnym uciemieniem, z czego się później naśmiewają. Ach więc teraz, drodzy Bracia i Siostry, Zaklinam was na Boga i rany Zbawcy świata, byście z dniem pierwszego Maja rb. nie poszli od rana do pracy chociaż ze trzy dni, a czas ten przepędzili spokojnie bez żadnych zaczepki na ulicy. Wszak przez to nie pomrzesz, a działając w ten sposób dojdziem do upragnionego celu, czego z całego serca naszej Braci życzę, co daj Boże! Amen! Po przeczytaniu oddaj drugim!”.



Nie był ten agitator materialistą, lecz instynkt klasowy miał rozbudzony jak trzeba.

Rywalizacja między Pierwszym a Trzecim Majem toczyła się ostro. Przemycana prasa galicyjska agitowała, by robotnicy przyłączyli się do obchodów ogólnonarodowych, rezygnując ze swego święta klasowego — a z Genewy, z emigracyjnej siedziby socjalistów-międzynarodowców, nadeszła broszura, w której zawarto zdania godne uwagi:

„Nie żądajcie, ażebyśmy dla dodatnich nawet cieniów przeszłości poświęcali w czymkolwiek nasze obecne stanowisko. Między innymi stanowisko to nasze objawia całemu światu nasze robotnicze święto 1-go Maja, i nie łudźcie się, jakobyście zdołali odwieść nas od niego dlatego, że sami nie tylko nie świętujecie, ale, co najgorsze, przeciwstawiacie nam pamiątkowe święto kapitalistycznego mieszczaństwa (...). My zaś na odwrót, nie odmawiamy nikogo od uczczenia 3-go Maja, jako historycznej pamiątki”.

Pojednawcze akcenty świadczyły, że wśród socjalistów dojrzewają narodowe aspiracje. Za kilkanaście miesięcy miały się one ucieleśnić przez narodziny Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich.

Ale wcześniej przeszła wielka fala aresztowań, które wykrużyły II Proletariat i Związek Robotników Polskich. I odbył się pamiętny 1 Maja 1892 roku. W odezwie Leona Falskiego, tym razem wydrukowanej w Berlinie z podpisem „Socjaliści Polscy” (kryptonim świadczył o umacnianiu się tendencji narodowych), był — obok hasł klasowych — akcent patriotyczny: „Żądamy polskich szkół i polskich sądów”.

1 Maja wypadł w niedzielę. Robotnicy udali się na promenady — do Wilanowa, na Bielany — ale po południu zebrał się pochód w Alejach Ujazdowskich i pomaszerował Nowym Światem, śpiewając pieśni robotnicze. Na rogu Jerozolimskich policja zatarasowała trasę i zwinęła kilkunastu demonstrantów. W sumie jednak dzień minął niemal sielankowo.

W Łodzi natomiast doszło do eksplozji, która dalece wykroczyła poza przewidywania agitatorów. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wylało się na ulice. Zabrakło organizatorów, potrafiących uporządkować tłum, przeto policyjne wtyki zrezygnowały z zachęty demonstrantów do grabienia żydowskich sklepów. Wtedy rotę wojska otworzyły ogień. Padło 217 zabitych i rannych. Nie jest znana dokładna liczba śmiertelnych ofiar, bo wiele trupów wywożono za miasto i grzebano w sekrecie. Jeden z robotarzy napisał wtenczas wiersz, kończący się strofką:

Najeźdźniki z carskiej psiarni  
Dyndać będą na latarni  
Gdy nadejdzie sądny Maj  
W to mi graj!

W 1893 roku swoje istnienie po raz pierwszy zasygnalizowała Polska Partia Socjalistyczna. Niestety, 1 Maja nie wyszedł; partia dopiero organizowała swe komórki, a policja skutecznie dokonała prewencyjnych aresztowań. Zaczęto realizować inny pomysł, nieco ekscentryczny, co gorzej — podsunięty przez prowokatora. Postanowiono w dniu Wianków wypuścić na Wisłę piramidę propagandową, z drewna obciążonego czerwoną materią, z lampkami wewnątrz, z czerwonym sztandarem na czubku i napisami: „Niech żyje Polska Partia Socjalistyczna”, „Precz z rządem samowładczym”, „Niech żyje Polska rewolucyjna”.

Na przystani przy Solcu wynajęto za 4 ruble łódź, zmontowano piramidę, wypłynięto i gdy łódź znalazła się koło mostu Kierbedzia — na oczach tłumu spuszczone na wodę kunsztowną konstrukcję. Po minucie czy dwóch piramida wyrzuciła się, a od brzegu już ruszały dwa wypełnione żandarmami parostatki. Trzech pasażerów aresztowano, a ich dzieło wyłowiono jako *corpus delicti*.

Nie jest pewne, czy ktokolwiek z brzegu odczytał hasła agitpiramidy. Natomiast wieść o aresztowaniu „ludzi na rzece” rozniosła się natychmiast. „Takie to już były czasy — napisał Adam Próchnik — że właśnie represje miały największe znaczenie agitacyjne”.

Z tego punktu widzenia, który nie stracił znaczenia również w czasach późniejszych, akcja się udała. Tajniacy na brzegu aresztowali ośmiu innych PPS-owców. Wkrótce lista ich przedłużyła się do 28. Faktycznie zlikwidowano całą warszawską i żyrardowską siatkę PPS, zawiązywaną od paru miesięcy. Osiemnastu skazano na osiedlenie na Syberii. Niektórych manifest cesarski uwolnił nieco wcześniej, ale Izrael Faterson oświadczył, że z łaski cara nie skorzysta.

Ta demonstracja okazała się chyba zbyt kosztowna. Organizacja warszawska PPS musiała parę lat pracować nad odbudową struktury.

W 1894 roku znowu inicjatywę przejęli studenci z „Kola” uniwersyteckiego, głównie ZET-owcy, proponując uczczenie dwóch kolejnych jubileuszy stuletnich: Racławic i powstania Kilińskiego. Socjaliści-międzynarodowcy nie poparli pomysłu. Argumentowali, że do ludu pracującego trzeba iść z organizacją klasową, z oświatą, z żywym słowem uświadczenia społecznego, a nie z obchodami historycznymi.



W pierwszym terminie nie zdarzyło się prawie nic. Patriotyczne nabożeństwo w stulecie Raclawic zakończyło się — w kościele Świętego Krzyża — normalnym „*Ite missa est*”. Nieco podniecenia wywołała jedynie ulotka, powieszona czyjąś ręką w uniwersyteckiej gablocie. Głosiła, że: „Młodzież warszawska dla sprawiedliwości, równości i wolności walczyć i nadal gotowa”. W młodych czasach ugodowości, gdy rdzeniem filozofii życia było „nie drażnić Rosjan, bo może być jeszcze gorzej”, nawet taka postna strawa wystarczała do ekscytacji.

We wtorek 17 kwietnia, o 10-tej rano, w katedrze św. Jana zebrał się kilkutyśięcny tłum młodzieżowo-inteligencki. Po maszycebowanej w intencji „powrotu do zdrowia ciężko chorego dziecka” — padły okrzyki o sformowanie pochodu. Część publiczności na wszelki wypadek pośpiesznie się oddaliła. Ale ponad tysiąc ruszyło na Szeroki Dunaj, pod dom Kilińskiego i wypełniło ten niewielki plac. Wszyscy odkryli głowy, stali chwilę w milczeniu, zaczęli się rozchodzić. Jedynie kilka setek, do których dołączyło parę grup ciekawskich rzemieślników i straganiarzy, poszło dalej — na Miodową, pod dawny pałac Igelstroma. Ale już na Podwalu, pod cyrkułem policyjnym, pochód został okrążony przez policję i wepchnięty na zamknięte podwórze. Tych, co poszli w rozsypkę, wyłapano indywidualnie i dołączono do dwóch setek zatrzymanych.

Była wśród nich także spora część tych studentów-międzynarodowców, którzy poprzedniego dnia głosowali przeciw demonstracji! Nie wytrzymali, przyszli. Stanisław Koszutski relacjonował:

„Mówiliśmy sobie w oczy, że 'przecież nie pójdziemy, niech sobie narodowcy idą sami, nie można popierać głupstw, które oni urządzają' itp., ale się pewności nie miało, czy się nie pójdzie, choć tak, aby popatrzeć, co się będzie działo. Gdy jednak przyszła chwila manifestacji, czuło się — a uczucie podobne miało wielu kolegów naszego obozu, jak gdyby coś człowieka pchało, czy ciągnęło, by pójść na manifestację (...). Dość, że gdy w dzień manifestacji około 10-tej rano do pokoju, w którym mieszkałem z Tadeuszem Rotarskim, przyrodnikiem i z 'cywilem' Franciszkiem Kuśmierkiem, zapukał kol. Wacław Czaplicki, zastał już Rotarskiego i mnie gotowymi do wyjścia. Chwilę naradzaliśmy się, czy pójść, czy nie pójść, czy to jednak nie będzie zdrada przekonania, jeśli pójdziemy, zdecydowaliśmy wreszcie, że: było — nie było, pójdziemy zobaczyć, co się dzieje”.

A na podwórzu cyrkułu, wśród ujętych w policyjnej łapance, zobaczyli wielu następnych przyjaciół...

Policja tego dnia ograniczyła się do spisania personaliów 253 zatrzymanych *zaczynszczyków*, czyli podjudzaczy. Kim byli, kim się stali w przyszłości owi wichrzyciele, nie szanujący porządku i prawa?

Bolesław Hryniewiecki, rektor UW.

Witold Abramowicz, prezydent Wilna, senator, mistrz loży masonskiej „Wierny Litwin”.

Benedykt Hertz, działacz PPS; bajkopisarz i satyryk.

Zdzisław Dębicki, pisarz i publicysta, narodowiec.

Wacław Kłoczkowski, kontradmirał.

Ryszard Kunicki, poseł z PPS.

Józef Kwiatek, dziennikarz, wybitny działacz PPS.

Leon Supiński, prezes Sądu Najwyższego i Minister Sprawiedliwości, jeden z twórców kooperatywności i masonerii.

Hieronim Mączyński, dyrektor gimnazjum.

Józef K. Potocki, naczelny *Głosu*, lider młodzieży narodowej.

Lucjan Boettcher, profesor politechniki lwowskiej.

Adolf Rondtaler, dyrektor gimnazjum Reja.

Zofia Daszyńska-Golińska, profesor ekonomii, senatorka.

Stanisław Koszutski, komunizujący ekonomista i socjolog.

Władysław Jabłonowski, krytyk literacki, senator z endecji.

Edward Słoiński, znany poeta.

Bolesław Chotomski — jedyny senior! — powstaniec styczniowy.

Poza wymienionymi było wśród zatrzymanych: czterdziestu pięciu przyszytych lekarzy, dwunastu inżynierów, dziewiętnastu prawników, po kilku farmaceutów, literatów, publicystów, nauczycieli, artystów. Większość w trzy dni później aresztowano ponownie, skazano na parę miesięcy więzienia, a następnie na paroletnie osiedlenie w centralnych guberniach Rosji.

Pogrom „kilińszczyzny” był totalny. Jej skutki zdawały się druzgocące. Przeczuli to studenci, którzy w trakcie trzech dni policyjnej paury pomiędzy spisaniem a uwięzieniem na umór zalewali się piwem (kufel 10 groszy), wyśpiewując „*Gaudeamus*”, „O cześć wam panowie magnaci”, tudzież „*Siedziała na lipie*”. Ale najsmutniej wychodziło im „*Czego tęsknisz za chatą*”...

Nie tracili jednak wisielczego humoru. Koszutski wspominał:

„Raz obiliśmy oblicze spotkanego w nocy na ulicy studenta-zpicla (Moskala), pomimo że broniła go policja, to znów w jakiejś restauracyjce na Krakowskim Przedmieściu agitowaliśmy na rzecz rewolucji paru młodych oficerów rosyjskich, porządnie wstawionych, którzy się bardzo do nas czulili, ale z rozpaczą w głosie zapewniali: Nie, panowie, to niemożliwe... Nic się nie może zmienić na lepsze. Świat musi być zawsze taki podły, jak teraz”.



Kolegów, których stójkowi odwozili dryndami do ula, pozdrawiano z markotną fantazją: „Niedługo się zobaczymy”. Faktycznie, zgarnięto wszystkich.

Bilans paru dni euforii był żałosny.

Studenckie „Koło”, od czterech lat centrum polityczne warszawskiej młodzieży, zostało całkowicie rozbite.

W redakcji popularnego *Głosu*, sympatyzującego ze studentami, wyaresztowano wszystkich redaktorów. Marian Bohusz z kilkoma „najgroźniejszymi” znalazł się w X Pawilonie. Pismo na długi zawieszono.

Przez parę lat puls działań ZET-u i Ligi Narodowej był ledwie wyczuwalny po przetrzebieniu najlepszej kadry.

I jeszcze charakterystyczny odprysk represji: arcybiskup Popiel na dwa lata klasztoru skazał ks. Popławskiego, który ośmielił się odprawić tamto nabożeństwo „za zdrowie ciężko chorego dziecka”.

Tyle po stronie „winien” bilansu. Ale po stronie „ma” należało odnotować znacznie więcej.

Fakt, że manifestacja taka się odbyła, wstrząsnęła krajem. Nawet w maleńkich Siedlcach setki osób, w tym gimnazjalna młodzież, ścigały na dworzec, przez który jechały do Rosji pociągi z „kilińszczakami”, aby wręczyć im kwiaty i pomarańcze. Represje odbiły się echem w całej Europie, od dawna skłonnej już zapomnieć o istnieniu „sprawy polskiej”. Roman Dmowski wyznał, w broszurze oceniającej manifestację, że trasa jej celowo prowadziła obok cyrkułu, by aresztowano jak najwięcej, gdyż tylko w ten sposób można było poruszyć opinię kraju i zagranicy. Była to bez wątpienia słuszna decyzja. I słusznie też Dmowski podkreślał, iż „Manifestacje nie powiększą ucisku, bo ucisk spowodowany jest słabością polityczną uciskanego społeczeństwa”.

Ważne były też skutki pośrednie. Deportowani „kilińszczacy” zaktywizowali ośrodki studenckie, polskie i rosyjskie, do których dotarli po amnestii, ogłoszonej po wstąpieniu na tron Mikołaja II: w Kijowie, Dorpacie, Charkowie. Identyczną rolę odegrali we Lwowie i zwłaszcza w Krakowie ci, co zawczasu zbiegli za kordon. Osłabili oni wpływy stańczykowskiej konserwy i lojalistycznych organizacji przykościelnych, wsparli socjalistyczny nurt Ignacego Daszyńskiego.

Bogdan Cywiński w „Rodowodach niepokornych” przypomina korzyści „kilińszczczyzny”, wyliczane przez Dmowskiego: że wzór czynnego oporu przeciwko upokarzającej sytuacji przeorał mentalność i zmusił społeczeństwo do refleksji ideologicznej; że nawiązanie do tradycji roku kościuszkowskiego było lekcją historii narodowej zwłaszcza dla młodzieży oraz ludu miast i wsi; że wycho-

waczy sens tej akcji można streścić w maksymie: „Naród, który chce być wolnym, musi tępić w sobie moralność niewolników”.

Święta prawda. Cywiński przeczytał tylko, że narodowy obóz Dmowskiego nie od razu wyciągnął te trafne wnioski. Kiedy w listopadzie 1894 roku umarł car Aleksander III i polskim społeczeństwem zawładnęły znowu prądy konformistyczne, kiedy liczone na łaskawość nowego Imperatora, kiedy energicznie kontynuowało się stronnictwo realistów, rzucając hasła wiernopoddańczej lojalności — Liga Narodowa milczała. Czekąca na rozwój wydarzeń. Też spodziewała się łaski z Petersburga. Czekąca pięć miesięcy. Dopiero w marcu 1895 roku potępiła ze swych schronisk za kordonem „niedorzeczność i zgubność polityki proponowanej przez stronnictwo ugody”. Natomiast ani chwili nie czekała PPS. W kilka dni po zgonie cara ogłosiła odezwę: „Mikołaj II nie znajdzie w nas pokornych dzieci, wyciągających doń błagalnie dłonie, znajdzie w nas zaciętych wrogów, przygotowujących się do śmiertelnego pojedynku”.

Autorem tej odezwy był redaktor *Robotnika*, Józef Piłsudski.

Uporczywa agitacja tego pisma stale pomnażała zastępy demonstrantów. Oto jak w jego relacji przebiegł 1 Maja 1900 roku:

„W sławną armię rosyjską wstąpił duch wojenny. Dzielni potomkowie Mongołów, Czeremisów, Mordwy i opryczników szykowali się do odważnej walki. W sobotę z muzyką i wyciem defilowały po mieście hordy cesarskie. W koszarach Litewskiego pułku słychać było salwowe wystrzały i ogień rotowy (...) było to wprawianie się do strzelania na komendę do tłumy. Po południu w bocznych ulicach i w podwórzach domów rozstawiono konne oddziały kozaków i piesze pułku Litewskiego. Około 7-mej przy pomniku Mickiewicza i kościele św. Aleksandra stanęli konni żandarmi, kozacy orenburscy i policja. W Aleje wprowadzono rotę pułku Litewskiego i sotnie kozaków, poza tym żandarmi i policja w zdwojonej ilości (...). Około godziny 5-tej przy sprzyjającej pogodzie zaczęły zjawiać się w Alejach gromadki towarzyszy i towarzyszek. Wszyscy ubrani odświętnie, czerwone krawaty rzucają się w oczy, twarze wesołe, rozbawione widokiem nasrożonych pogromców. Około godziny 6-tej w Alejach, według obliczeń policji, zgromadziło się 30 tysięcy osób. Liczba inteligencji i zwykłych spacerowiczów, w porównaniu z rokiem zeszłym, zwiększyła się bardzo wyraźnie (...). Gdy pochód, wstrzymany przez piechotę, cofał się ku Placowi Trzech Krzyży, przypuścili doń szturm kozacy z nahajkami. Najwięcej dostało się zwykłym spacerowiczom. Robotnicy bronili się dobrze — kijami i kamieniami (...). Teraz na ten tłum mieszany natarł pułk Litewski z nastawionymi bagnietami, na skrzydłach wyli kozacy. Z ta-



rasu restauracji Sans-Souci (tzw. Patelnia), dokąd przez balustradę wdarła się część uciekających, posypał się na łby żołdackie grad filiżanek, szklanek, spodków (...). O godzinie 9-tej wieczorem wypuszczono z parku niańki z drobną dżiawą, około 10-tej wprowadzono matki z dziećmi do lat 10, pozostałą publiczność w liczbie 3.000 otoczono kordonem piechoty i popędzono do cytadeli”.

Im więcej zamykano, tym liczniejsi przełamywali strach.

Dziewięć lat wcześniej, w stulecie Konstytucji, w tychże Alejach ledwie się zebrała setka odważnych.

Nadciągała rewolucja.

Wojciech Stefan GIEŁŻYŃSKI\*

\* Wojciech Stefan GIEŁŻYŃSKI, ur. 1930, dziennikarz, publicysta polityczny, reportażysta. Po 1968 przeszedł z *Dokoła świata* do *Współczesności*. W latach 1972-1980 m.in. publicysta *Polityki*. 1981-1982 zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Meritum*. W latach 1980-1982 członek Rady Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W roku 1981 wystąpił z partii.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

## Pozdrowienia od

Cześć, to ja, wasz nieśmiertelny, odwieczny, uniwersalny kretyn.

Bywałem zawsze, bywałem wszędzie. Ale dopiero teraz mam się naprawdę dobrze, jestem pod ochroną i moja przyszłość zapowiada się lepiej niż jakkolwiek moja przeszłość w przeszłości.

Bowiem nastał czas dwóch pewników, w których czuję się tak dobrze jak nigdy przedtem.

Przed wszystkim uznano za pewne, że mnie nie ma. Podobnie jak diabeł, świetnie się czuję w tej mojej ogłoszonej nieegzystencji. Wiadomo, że diabeł, mój kuzyn zresztą, rzadko tylko i niechętnie występuje w swojej własnej postaci, jest mistrzem przebieraństwa i dobrze wie, dlaczego. Powszechne przekonanie, że on nie istnieje, daje mu największą swobodę działania. Dokładnie tak samo przedstawia się moja sprawa. Bądźcie tylko przekonani, że mnie nie ma, moje dzieci, a ja sobie już poradzę.

Że mnie nie ma — ogłoszono nie wprost, ale dla mnie na jedno wychodzi. Że mnie nie ma — wyniknęło z motywów nader szlachetnych i celów nadrzędnych, nikt mnie nie brał w rachubę, ale to i dla mnie lepiej. Moje nie-istnienie jest produktem ubocznym, skutkiem niezamierzonym — podobnie jak w medycynie nowe i bardzo interesujące okazy franczy są niezamierzonym i niepożądanym skutkiem wytepienia franczy tradycyjnej, uodpornienia zarazków na nowe leki. Także ekologia pełna jest podobnych przykładów. Krótko mówiąc, kiedy ogłoszono, że wszyscy ludzie są sobie równi — wyniknęło z tego, że nikt nie jest głupszy od nikogo. Więc albo należało uznać, w imię równości, że wszyscy są tak samo głupi, albo, że wszyscy tak samo mądrzy. Wybór ten nie jest właściwie wyborem, ponieważ obie alterna-



tywy są jednakowo głupie. Jednak w imię zbiorowej miłości własnej wybrano tę drugą.

Drugi pewnik, który dobrze mi robi na zdrowie, to przekonanie, że ideologia — taka, czy inna, chciałoby się powiedzieć, ale nie można, bo zawsze chodzi tylko o jedną ideologię, tę, którą się wybiera jako swoją — samoczynnie zapewnia mądrość osobnikowi, który ją wybiera. A wszystkie one, te ideologie, zgromadzone są w dwie osobne kupy, nazwane „lewicową” i „prawicową”. Dzisiaj nie można już otworzyć gazety, usłyszeć radia, usłyszeć i zobaczyć co gada i pokazuje telewizja, ani też rozmawiać z kimkolwiek, nawet ze sobą samym, żeby wszystko, ale to wszystko — nie było interpretowane tylko jako „lewicowe”, „prawicowe”. Nikt już nie pyta, czy coś mądre jest czy głupie, uczciwe czy nieuczciwe, wysokie czy niskie, małe czy duże, otwarte czy zamknięte, rzadkie czy gęste, miękkie czy twarde, okrągłe czy kanciaste, suche czy lepkie, grzaskie, proste, krzywe, pachnie, śmierdzi, stoi, biegnie, żyje, zdechło, mówi, ryczy, milczy, truje, smakuje, gadzie, ptasie, a może futerkowe? Mój Boże, tyle pytań, można je mnożyć w nieskończoność, bo nieskończenie bogaty jest przecież świat. Ale nie, jest tylko jedno pytanie: „postępowe to, czy niepostępowe”. „Prawicowe to, czy lewicowe”.

Takie zubożenie, takie spłaszczenie, taka pustynia, taka śmierć ludzkiej inteligencji i wrażliwości dokonały się najpierw tam, gdzie dokonała się już ideologia, a potem ruszyły na resztę świata i wszędzie już rozpowszechniają się stopniowo, ale szybko. Pan Mrozek nie czyta *Krasnej Zwizdy*, bo od dawna już umie ją na pamięć. Czyta jeszcze *Internationald Herald Tribune*, ale coraz pobieżniej, bo już wiele z tego, co w tej gazecie znajduje, mógłby wyrecytować jeszcze przed rozpoczęciem lektury. Wiele i coraz więcej, więc nudno mu i coraz nudniej.

A mnie, Wielkiemu Kretynowi, w to graj. Kto się jeszcze o mnie troszczy, kto mnie tropi, kto mnie prześladowa, kiedy tylko „prawicowe”, „lewicowe” jest ważne. Mówi się jeszcze o Wielkim Inkwizytorze, on jeszcze trochę w modzie, ale o Wielkim Kretynie już głucho. Hulam sobie gdzie tylko chcę, dla mnie „lewica” czy „prawica” są jednakowo dobre, jeżeli tylko znajdę jakąś dobrą okazję po którejkolwiek stronie. Czasem tych okazji bywa więcej tu, czasem tam. To zależy od historycznego okresu, czyli od tego gdzie jest władza. Przy tym nie musi to być od razu władza w jej najczystszej postaci, władza polityczna. No i tam, gdzie jest moda, związki mody z władzą są pokrętne, ale niewątpliwe. Tam, gdzie jest modnie zbiega się najliczniej moje potomstwo, moje dzieci, moi mali kretyni, tworząc silną grupę. I przygotowują sabaty, uczyty i rytuały, na których pojawiają się ja, Wielki Kretyn, w całym moim majestacie. Piękne to są orgie.

Mali kretyni, moja ukochana dziatwa, oddają mi wiele przysług. Wiadomo — patrz pewnik numer jeden — że nikt nie jest głupszy od nikogo. Więc kiedy jakiś mały kretyn, w jakiejś z tych niezliczonych dyskusji, które toczą się nieustannie, wygłasza, że w nocy jest jasno, a w dzień ciemno, wypada — bo inaczej nie wypada — podjąć z nim dyskusję i udowodnić, że w nocy jest ciemno, a w dzień jasno. W ten sposób ci, którzy mieliby coś więcej do powiedzenia i na ciekawsze tematy, używają się w takich dyskusjach, głupio przy tym wyglądając, bo każdy, kto udowadnia, że w nocy jest ciemno, a w dzień jasno, musi głupio wyglądać. Natomiast mały kretyn, który całą tę dyskusję zaczął, wcale głupio nie wygląda, przeciwnie, on ma „oryginalną myśl” i jest „interesujący”. Oczywiście byłoby najprościej powiedzieć: „Siedź cicho, mały kretynie”, ale tak za żadne skarby nie można, bo to byłoby naruszeniem „szacunku dla ludzkiej osobowości”.

Tak, te pewniki, numer jeden i numer dwa, to dla mnie dobra rzecz. Ale zdradzę wam najważniejszy sekret mojej potęgi: ja wcale nie jestem istotą, ja jestem esencją. Jestem jak eter, ektoplazma, energia. Dlatego mogę przenikać mury i czaszki, nie ma przede mną obrony. Przepływam, przenikam, zagęszczam się lub rozrzedzam do woli. Warunki historyczne mogą mi sprzyjać, lub nie, ale, z mojej natury, jestem poza historią i poza socjologią, od nich w ostatecznym rachunku niezależny. Słusznie zauważył kiedyś pan Mrozek: „Nie ma takiego mądrego, który by choć raz, co najmniej raz nie pomyślał, nie powiedział, czy nie zachował się głupio. I nie ma takiego głupiego, który by choć raz w życiu nie pomyślał, nie powiedział, czy nie zachował się mądrze”. Brawo, panie Mrozek, brawo. A pan jesteś, jak pan myśli, że pan jesteś kto? No?... Tak, tak, panie Mrozek, wobec tego i na wszelki wypadek najlepiej będzie dla pana jeśli pan zaraz, ale to zaraz, skończy to pisanie.

## Krótką rozmowa

MIEDZY ZACHODNIM LIBERAŁEM POSTĘPOWYM  
A ZWIĄZKIEM RADZIECKIM ZUPEŁNIE JUŻ  
POSTĘPOWYM

*Liberał Postępowy:* O ile można ryzykować uproszczenie, to znacząco zatrzymać się tylko na pewnym stopniu analizy nie uwzględniając wszystkich dostępnych nam danych i nie biorąc



pod uwagę współdziałania tych czynników, które na obecnym poziomie studiów nie są nam znane, można przypuścić, że pańskie zachowanie wobec mnie nacechowane jest ostatnio pewną drażliwością.

*Związek Radziecki:* Ja dałem panu w mordę.

*Liberał Postępowy:* Powstrzymując się od wyciągania zbyt pochopnych wniosków, które mogłyby sprawiać wrażenie, *nota bene* mylnie w tym kontekście, jakobym cofając się przed trudnościami porozumienia na gruncie humanistycznych wartości wspólnych obu stronom dążącym do porozumienia mimo różnic metodologicznych skłaniał się ku pesymizmowi odnośnie możliwości wzajemnego zrozumienia, będącego pierwszym krokiem do porozumienia, które jest niezbędnym warunkiem zbliżenia, żywie nadzieję, że oczekując od pana pewnych kroków zwiększających szanse wzajemnego zaufania, czy też, lub jednocześnie niepodejmowania pewnych kroków, w konsekwencji których mogłoby dojść do tego zaufania podrywania, nie zawiodę się co do niebezpieczeństwa mojego oczekiwania. Aj!

*Związek Radziecki:* Ja panu daję w mordę.

*Liberał Postępowy:* Rozumiejąc skomplikowaną naturę naszych wzajemnych stosunków, na które nie bez wpływu pozostaje historycznie uwarunkowana kompleksowość pańskich reakcji nacechowana jakże usprawiedliwionym poczuciem pokrzywdzenia, osamotnienia i zagrożenia ze strony otoczenia, pragnę pana zapewnić, że mimo pewnej jednostronności naszego obustronnego zrozumienia, które niewątpliwie doprowadzi do pełnego porozumienia, którego brak jest konsekwencją chwilowego nieporozumienia, cieszę się z tego zbliżenia.

*Związek Radziecki:* To ja panu dam w mordę.

KONIEC

Sławomir MROZEK

## Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

### BÓG JEST

*Baranku Boży,  
który gładzisz grzechy świata,  
obdarz nas pokojem.*

Bóg jest, choć często o tym nie wiemy; choć zapomnieliśmy, że jest; choć nie widzimy Jego obecności w naszym zapierającym dech świecie. Bóg jest, moi umiłowani bracia i siostry. Przecież bez Niego nigdy nie wpadlibyśmy na proste zdanie „Nie zabijaj”.

Bóg jest, albowiem jest Szatan.

Szatan jest, więc powinniśmy postępować jakby Bóg był. Jeśli trzeba: niedojeść, niedospać, docierpieć, przyjąć ostatnie namaszczenie zimnej i brudnej rzeki, dążącej do mórz, dzikich jak nieprzebudzone ludzkie serca.

Bóg jest.

Jest.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Jury literackiego konkursu krakowskiego KIK-u i miesięcznika *Znak* wyróżniło zbiór wierszy A. T. Bąkowskiego.

Jacek TRZNADEL

### KSIĘGA MORDERCÓW

I

kto ją napisze?  
oni nie biorą pióra do ręki  
ich jest pałka sznur nóż  
pisząc kłamią



naprawdę mordują  
więc ty ja  
wczuj się w tę przepaść  
lub nie przepaść

przenieś swoje małe zbrodnie  
zaniki uczuć i świadomości  
na poziom wody z wirami

odnieś je do ciała żywego człowieka  
przywiąż mu do nóg worek z kamieniami

zrozumiesz

## II

pod pewnymi względami  
księgi morderców są proste  
opis używania sznura  
knebla pałki  
jeśli nie noża  
broni palnej kanistra z benzyną

księga morderców mówi  
że polowanie na zające  
nauka na szczeniętach i kociętach  
nie dają nic

trzeba ćwiczyć na ludziach  
w głowie najpierw w głowie  
powtarzać zasadę  
że człowiek to rzecz  
okoliczności zostaną przydane  
bowiem motto księgi morderców mówi  
zawsze przypuszczaj że ofiara  
była przestępcą w poprzednim wcieleniu  
i że jesteś ręką sprawiedliwości

## III

księga morderców ostrzega  
zastanów się  
nie każdy nadaje się na mordercę  
to trudniej niż być katem

trzeba ćwiczyć mięśnie twarzy  
zwłaszcza tik z prawej strony  
i języku  
w jękaniu słycać jęki ofiary

dopilnować wysychania uczuć  
zamieniać świat i ludzi w abstrakcję  
by nie dać się zaskoczyć  
świsem kija  
krzykiem bitego  
pluskiem wody  
nocną ciszą  
ucieczką z miejsca zbrodni  
i od siebie

## IV

księga morderców zaleca  
pisuj elegie o ofiarach  
ćwicz się w żalu  
a potem go podepcz  
wiersze spal

na mordercę się dojrzewa  
i prawie nie ma doskonałych  
morderców  
zostaje jakaś część człowieka

nawet amputowana potrafi  
boleć w nocy  
podnosić włosy na głowie

nie wystarczy wtedy  
przypomnieć sobie pomnik  
doskonałego mordercy  
na przykład Feliksa  
wpatrzeć się w oczy bez wyrazu  
uściskać rękę kamienną  
z której deszcze spłukały krew  
i myśleć o wiecznym śnie

## V

księga opisuje



pałac zbrodni  
 tu urzędnicy patrzą z litością  
 na pracowitych wykonawców  
 z palcami lepkiemi od krwi  
 tu zabójstwo jest tylko oddechem  
 a nawet nazywa się  
 marszem ku horyzontom

ceremoniał przewiduje  
 to prawda  
 powitanie w rodzaju  
 trzeba wieszać  
 obyś utopił  
 życzę ci ofiary

ale na ogół panuje nieskazitelna  
 logika zabójstwa  
 i tylko najuczciwsi  
 przyznają w duchu wyższość  
 tym co pracują w terenie  
 i w materiale

## VI

można przeczytać w księdze morderców  
 twoja sława będzie ślepa  
 głucha i niema  
 tylko mordercy stawiają pomniki  
 mordercom  
 nie ma pomnika Robespierre'a

twoja nieludzka doskonałość  
 ma być sama jak kamień  
 ciężki chłodny i gładki  
 zimny

uwiążesz go na szyi ofiary  
 i własnego sumienia

bądź kamień  
 z towarzyszami kamieniami

## VII

czy naprawdę istnieje księga morderców  
 zapięta na klamry trucizny  
 noża pałki i kuli

czy on sam sobie księgą  
 wpisaną w serce  
 umysł i ciało  
 z ryśpisami ofiar

na końcu  
 myśl mordercy  
 biała jak papier  
 pali zapisy  
 dowody  
 morderca znika  
 na wieczność

księga morderców  
 to ciemny popiół po ofiarach

## VIII

ksie e ęga mo or der ców mó ó ó wi  
 nie wiesz kiedy ocierasz się o mordercę  
 w prze e ejściu na a u u li cy

ale mimo to zaufaj śpiewowi słowika  
 nie ubrajać się  
 nie opancerzaj  
 przed drugim człowiekiem

nie broń przed uczuciami  
 nawet strachu

w ten sposób uchronisz się  
 będziesz tylko ofiarą

czeka cię nóż sznur kamienie  
 i pałka  
 wypchnięcie z okna



głęboka rana  
lub w nocy głęboka woda

a teraz  
już nie czytaj mnie  
mówi księga morderców  
zadmuchnij świecę  
ktoś się skrada przebrany  
bez uniformu

Warszawa, styczeń 1985

Jacek TRZNADEL

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DO-  
TYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

### W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki  
w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

#### GŁÓWKA PRACUJE

Był listopadowy brzask. W Hamburgu dniało. Celnicy, choć zaspani, postanowili zbadać nieco dokładniej duży samochód załadowany po dach, którego sylwetka była im jakby znana. Szybko się okazało, że była to 14 podróż tego samochodu w ciągu kilku ostatnich tygodni 1983 roku *ferry boat*'em poprzez Bałtyk z RFN do Szwecji. Ładunek wydał im się dziwny jak na zwyczajny samochód osobowy: były to części do skomplikowanych urządzeń elektronicznych, jadących tranzytem z... Afryki Południowej. Wtedy to po raz pierwszy świat usłyszał nazwisko Ryszarda Mullera, kupca, pośrednika w handlu międzynarodowym. Po raz pierwszy, ale nie ostatni.

W kilka dni później celnicy szwedzcy, działający na zasadzie informacji przekazanych przez CIA (która nie zawsze jest w błędzie), zatrzymali kilka wielkich skrzyń, pochodzących również z Afryki południowej i przeznaczonych legalnie dla ZSSR. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że skrzynie nie są zupełnie legalne, albowiem zawierają towary *made in USA*, objęte wszelkimi istniejącymi zakazami w handlu ze Wschodem. Nadawcą był również Ryszard Muller, adresatem jakaś niewinna na pozór centrala handlowa w Moskwie. W skrzyniach znaleziono m.in. części do komputera VAX/11/782 oraz prawie kompletne oprzyrządowanie do produkcji „chipsów”, elementów elektronicznych niezbędnych dla budowy nowoczesnych mikrokomputerów. Okazało się, że był to już któryś z kolei transport Mullera do Rosji, i że co najmniej trzy razy więcej podobnych ładunków do Rosji już dotarło. Fachowcy obliczyli wówczas, iż jeżeli ZSSR rzeczywiście otrzymał to, co podejrzewają, to w wyniku tylko tej operacji Muller zaoszczędził Rosji 5 lat badań i setki milionów dolarów.

Muller wtedy naturalnie zniknął, ale ślady zostały. Okazało



się mianowicie, że Muller, wówczas 35-letni *businessman*, uszedł w 1975 roku pogoni FBI, która go już wtedy (z dużym opóźnieniem) posądzająca o nielegalny eksport zakazanej technologii. W Europie, gdzie mu nic nie groziło, Muller rozwinął interes. Stworzył sieć około 60 fikcyjnych przedsiębiorstw od Kanady aż po Afrykę południową, żył na szerokiej, można powiedzieć, stopie. Kupił ogromny majątek ziemski pod Hamburgiem, 100 koni wyścigowych stało w stajniach, w garażu — trzy samochody Bentley, Ferrari, Porsche, w porcie stał jacht „Tonga”, ongiś własność księcia Monaco. Muller, obywatel USA, urodzony w Berlinie, krył wszystko paszportem szwajcarskim. Czegoż to nie można osiągnąć dzięki tak nieustannie oplukanym rublom...

Kiedy zainteresowała się Mullerem prasa zachodnia, przeniósł się do Afryki południowej. Dyskrecja zapewniona. Muller bowiem nie miał politycznych uprzedzeń i sprzedawał broń oraz urządzenia przemysłowe również Afryce południowej, objętej przecież także rozmaitymi zakazami. Jego zdolność omijania wszystkich możliwych embargów tak zaimponowała Afrykanom południowym, że nie patrzyli mu na palce i nie reagowali na fakt, iż *gros* interesów Muller robił z bolszewikami. I wzajemnie.

Kiedy w 1983 roku Muller dostał cynk, że zaczyna być gorąco (w przenośni) w Afryce południowej, postanowił przenieść się do Szwecji... Pozornie wybór był trafny, jako że w Szwecji zapuścił on był korzenie już przedtem. Od dawna niektóre firmy szwedzkie, choć bardzo niechętnie polityce *apartheid'u*, nie gardziły usługami pośrednika z Afryki południowej w handlu z ZSSR. Np. duża firma szwedzka ASEA potrzebowała amerykańskich urządzeń komputerowych niezbędnych dla sterowania stalownią, którą dostarczyć miała Sowietom. Cóż kiedy komputer był pod embargiem. Cała transakcja była zagrożona. Ale był także Muller, dla niego to drobiazg: za głupie 750.000 dolarów ASEA otrzymała nielegalnie komputer, stalownia pojechała do ZSSR i wszyscy byli uradowani. Kiedy się wszystko (albo prawie) wydało, ASEA powiedziała, że nie rozumie, że bardzo przeprosza, że o zamówieniu dla Mullera zdecydował jakiś skromny urzędnik, który naturalnie przekroczył swe uprawnienia. I że nigdy więcej.

Bardziej rozmowny był Sven Olaf Haakanson. Po wyspie Mullera Haakanson, który prowadził w Sztokholmie stację tranzytową i ekspediował skrzynie ze sfałszowanymi dokumentami z Afryki południowej do ZSSR, odpowiadał za przestępstwo... podatkowe, bo na nielegalny eksport nie ma paragrafu w ustawodawstwie.

Przy Haakansonie sprawy się jednak nieco skomplikowały. Okazało się bowiem, iż Muller był nie tylko szefem sieci przemytu technologicznego, ale także szefem sieci zwyczajnie, albo nadzwyczajnie szpiegowskiej. Haakanson był tak pewny bezkarności, że zatrzymał u siebie „towary”, których nie zdążył wysłać do klienta w ZSSR. Przy rewizji znaleziono u niego m.in. 6.000 dyskietek komputerowych z zakodowanymi przeważnie informa-

cjami. Jakież było zdziwienie fachowców od dekodażu, kiedy okazało się, że dyskietki dopasowane są do komputera VAX, wysłanego przez Mullera do ZSSR, że pochodzą z firmy Messerschmidt, że zawierają dane techniczne i operacyjne samolotu Tornado, mającego stanowić główny oręż siły powietrznej NATO w latach 1990-tych. Zdziwienie przeszło w zadumę, kiedy okazało się ponadto, że bardzo zbliżone zadanie wykonywał aresztowany właśnie niejaki Manfred Totsch, inżynier-konstruktor u Messerschmidta, od 30 lat szpieg NRD-owski w RFN. Fachowcy zadali sobie pytanie, czy jest możliwe, aby istniał jakikolwiek związek między Mullerem a Rotschem. Ich odpowiedź była negatywna. Moja jest pozytywna. Związek istnieje. Związek Sowiecki. W gmachu KGB w Moskwie.

Ale Muller był już na Wschodzie. Poza placem Dzierżyńskiego, w Moskwie, ma dwie bazy: w hotelu Metropol w Berlinie wschodnim i w Budapeszcie. Nie ma, jak się wydaje, większych kłopotów finansowych. Na jednym tylko z kont, jakie miał w Szwajcarii, a które bank w Zurychu zgodził się ujawnić policji, figurowało 100 milionów dolarów. Jak na mały handelek — nie najgorzej. Coś niecoś z tego musiało zostać. Pod nowym nazwiskiem i pod ochroną paszportu dyplomatycznego jednego z KDL-eli jeździ na nowo po krajach wysokiej technologii. Policja amerykańska rozesłała za nim listy gończe, ale policje zachodnio-europejskie nie mają powodu, aby go zatrzymać, chyba że — jak powiedzieli — złapią go na *flagrant délit*. Poczekają...

Ryszard Muller zasługuje na podziw i szacunek. Poświęcił się mu sporo uwagi nie tylko ze względu na jego osiągnięcia w łamaniu wszystkich możliwych embargów (figuruje on na pierwszym miejscu amerykańskiej listy „niepożądanych pośredników handlowych”, czyli inaczej mówiąc szmuglerów technologii), ale przede wszystkim z uwagi na fakt, iż stanowi on najbardziej kompletny choć indywidualny przykład tego, w jaki sposób ZSSR nadrabia swoje zaległości w dziedzinie technologii w ogóle, a wojskowej w szczególności. Stawka jest ogromna. Chodzi o życie, pieniądze nie grają roli.

## I. NA CZTERY SPOSOBY

Cztery są sposoby w technologicznej ewangelii sowieckiej super-potęgi. Dwa pierwsze są legalne.

### a) Za gotówkę

Normalny zakup za pomocą dewiz, gotówką, jak nie można inaczej, ale lepiej na kredyt. Z reguły chodzi tu o towary tzw. podwójnego użytku. Przez siedem lat trwała budowa w Kamie nad Wołgą kombinatu ciężarówek. Rosjanie dali słowo honoru, że będą one służyć wyłącznie do celów cywilnych, za co Ameryka, Japonia, Europa zachodnia, a przede wszystkim RFN, zapłaciły 1,5 miliarda dolarów. Ciężarówki Kama służą, jak wiado-



mo, cywilom w Afganistanie oraz cywilnej grupie wojsk sowieckich w NRD. „Kamazy” są coraz bliżej RFN, skąd 10 lat temu nadeszły pierwsze maszyny do ich produkcji.

Bardzo cywilna fabryka w Leningradzie zakupiła na Zachodzie, także pod słowem honoru, wyjątkowo precyzyjne maszyny do wytwarzania małych łożysk kulkowych. Dziś odnaleziono je w systemie sterowniczym raket SS-20, wycelowanych w dostawców. Słowo honoru zostało także dane przy zakupie w Japonii i Szwecji dwóch suchych doków do obsługi floty wyłącznie — naturalnie — handlowej. Okazuje się dziś, że służą one wyłącznie do konserwacji i naprawy lotniskowców klasy „Kiew” oraz już są dostosowywane do obsługi jeszcze większych lotniskowców, produkcja których jeszcze się nawet nie zaczęła. Ale się zacznie. Statki oceanograficzne dostarczone przez Zachód, to też już nie jest żadna tajemnica, wypełniają, po niewielkiej adaptacji, misje szpiegowskie, śledzą trasę prób pocisków raketowych, manewry floty, a przede wszystkim służą do tropienia amerykańskich łodzi podwodnych.

To wszystko jednak detale, najważniejsza jest elektronika, na której skupiony jest główny wysiłek „handlowej” ofensywy sowieckiej. Kupują co się da: od komputerów IBM dopuszczonych do eksportu z uwagi na ich względną demodernizację aż po gry elektroniczne dla dzieci, zawierające elementy mikro-elektroniki. Wystarczy powiedzieć, że komputer RYAD jest żywcem zerżnięty z IBM 360 i 370 i to do tego stopnia, że oprzyrządowanie do konserwacji i napraw jest absolutnie identyczne.

#### b) Przez głupotę

Normalny dostęp do źródeł niehandlowych legalnie dostępnych. Ten sposób ma wielką przewagę nad numerem a): jest darmowy. Chodzi tu o to wszystko, co Rosjanie i ich sojusznicy „wyciągają” z normalnej wymiany naukowej, z targów i wystaw itp. Agentom sowieckim udają się nieraz niesłychane chwytły. Np. zupełnie bez wysiłku, w ramach „współpracy naukowej”, w geście przyjaźni, otrzymali wstępne plany budowy ogromnego wojskowego samolotu transportowego C-5A. Tysiąc „przedstawicieli” rozmaitych organizacji naukowych i handlowych przebywa stale w USA wyłącznie w misji pozyskiwania legalną, jeżeli można, drogą tajemnic technologii amerykańskiej. Starają się uzyskać dostęp do instytutów pracujących przede wszystkim w dziedzinie laserów i mikroelektroniki, ich zainteresowania skupione są głównie na małych przedsiębiorstwach bardzo często mających poważne osiągnięcia technologiczne. Jedna z takich ekip naukowych odwiedziła bibliotekę publiczną w stanie Tennessee. Najzupełniej legalnie sfotokopiowali tam, na koszt... biblioteki, raport ekologiczny dotyczący projektu budowy najbardziej nowoczesnej fabryki wojskowych materiałów wybuchowych. Późniejsze śledztwo ujawniło, że raport zawierał taką liczbę detali technicznych,

iz Rosjanie z łatwością mogli na ich podstawie zbudować całą fabrykę.

Minister handlu Baldrige, do którego kompetencji należy ochrona tajemnic technologicznych, czeka od 1982 roku na odpowiedź na swe memorandum w sprawie zbyt szybkiego zdejmowania pieczęci „secret” z dokumentacji technologicznej i wojskowej. Tak było np. ze skromnym dokumentem zatytułowanym „Symulacyjny model procesu dowodzenia, kontroli, łączności i wywiadu armii amerykańskiej”, opracowany na użytek Ministerstwa Obrony. Pan Baldrige kieruje „Państwowym Instytutem Informacji Technicznej”, mającym przeciwdziałać lekkomyślności agend rządowych w tej dziedzinie, ale nie ma środków działania czy presji. Pentagon też dysponuje specjalnym ośrodkiem kontroli zakresu i tempa udostępniania dokumentacji naukowej szerokiemu ogółowi, ale ma za mało ludzi w sztabie, aby móc wszystko co trzeba przeczytać. 11.000 przedsiębiorstw amerykańskich wykonuje zamówienia opłacane z budżetu Ministerstwa Obrony. Dla kontroli ruchu przemysłowego tych produktów, rząd amerykański dysponuje kilkudziesięcioma agentami. W tym samym celu w jednym tylko 1983 roku zjawiło się w USA... 17.000 „gości” z krajów komunistycznych ze Związkiem Sowieckim na czele. W rezultacie Rosjanie mają i wykorzystują darmowy i legalny dostęp do informacji z najnowszej technologii komputerowej i nuklearnej, za którą w normalnym handlu Moskwa musiałaby zapłacić miliony, o ile w ogóle by ją uzyskała.

To samo dotyczy konferencji naukowych, wymiany specjalistów, kolokwiów, seminariów itd., itp. Nikt rozumny nie proponuje naturalnie likwidacji takiej wymiany i kontaktów między naukowcami. Ale niechże przynajmniej zapanuje jasność co do tego, kogo wpuszczamy do naszych laboratoriów. Belg czy Francuz zastanawia się bardzo długo, czy zaprosić do swego salonu sąsiada, z którym mieszka o ścianę od 20 lat, ale jego zakład naukowy nie dopuszcza myśli, aby Monsieur le Professeur z Moskwy czy Charkowa mógł mieć niedobre zamiary nie wobec córki gospodarza, a jego osiągnięć naukowych. Uniwersytety amerykańskie, prywatne zwłaszcza, to znaczy te największe, mają w zasadzie pełną swobodę zapraszania gości z zagranicy. Ale kiedy CIA czy FBI odmówi wizy jakiemuś „naukowcowi” znanemu z pracy w czy dla KGB, podnosi się ogromny szum. „Wolność nauki — powiadają wtedy — została pogwałcona”. A przecież wiadomo, że co najmniej połowa wschodnich „gości” naukowych w USA przyjeżdża w nie naukowych celach. Baldrige zamówił u swoich naukowców raport w sprawie wolnego dostępu do dokumentacji technologicznej. Konkluzja była jednoznaczna. „Oficjalnie dostępna dokumentacja technologiczna — powiada raport — pozwala Rosjanom na zdobycie materiału informacyjnego w takiej ilości i jakości, iż jest on wystarczający dla sprawdzenia jakości ich własnych prac, wyznaczenia planów badań na przyszłość, przyswojenia sobie w sposób tani i prosty niesłychanie kosztownych procesów naukowych i badawczych”. Baldrige pos-



tawił kropkę nad i. Jest to kropka groteskowa. „Nieograniczony dostęp do dokumentacji — stwierdza z gorzkim uśmiechem minister — sprawia iż dzięki wolności nauki w ręce Rosjan wpada dokumentacja, której wielki i kosztowny system kontroli wojskowej stara się równocześnie do ich rąk nie dopuścić”.

Dwa następne sposoby są nielegalne.

#### c) Model Mullera

Pierwszy jest prosty i choć jego realizacja techniczna nieco się komplikuje, nic nie wskazuje, aby miał się ku końcowi. Odwrotnie, tylko cena rośnie. Polega on na obejściu embarga poprzez stworzenie sieci fasadowych przedsiębiorstw handlowych. Komputer, powiedzmy, amerykański, wysyłany jest z USA na lipny adres firmy w kraju nie objętym embargiem. W tym miejscu powstaje problem. Jeżeli urzędnicy w tym kraju, np. w Portugalii, nie są czuli na subtelności celne albo są przekupni itp., wtedy towar jest wysyłany prosto do ZSSR (Bułgarii, NRD itp.). Jeżeli teren jest trudny, to komputer podróżuje nadal, ciągle w sferze nie embargowej, np. jedzie do Austrii, Szwecji lub innego kraju mniej lub bardziej neutralnego i tam szuka jaśniejszych szlaków.

Jest to pomysł genialny. Muller nie jest sam. Znani są tylko ci, naturalnie, którzy wpadli. Ot, np. Werner Bruchhausen, obywatel RFN. Utworzył on sieć 16 małych przedsiębiorstw w Silicon Valley, sercu amerykańskiej technologii, dla prowadzenia tam w sposób na pozór niezależny, a nawet konkurencyjny, handlu artykułami wysokiej technologii i elektroniki. W istocie celem jego był transfer do ZSSR oprzyrządowania niezbędnego dla produkcji półprzewodników, których eksport za kurtyne figuruje na jednym z pierwszych miejsc wszystkich list zakazów i embargów. Handel trwał cztery lata, w ciągu których Bruchhausen dokonał 300 przerzutów poprzez Austrię i Niemcy na Wschód. Kiedy go nakryto, dzięki anonimowi skądinąd, było za późno. Fabryka już produkowała. W ZSSR...

Albo taki Jakub Kelmer, obywatel Izraela. Utworzył on w Hajfie firmę dla celów importu amerykańskich urządzeń gospodarstwa domowego. Dziwne gospodarstwo: chodziło przede wszystkim o oscyloskopy, lasery i inne instrumenty do pomiarów prób m.in. rakietowych. Oscyloskopy nigdy nie dotarły do Izraela, natomiast ślad ich urywał się w Wiedniu. Skąd my to znamy?

Walter Spawr, obywatel amerykański, był — jak to się nawet w USA zdarza — nieuznanym geniuszem. Wynałazł sposób polewania niezbędny dla produkowania jedynych w swoim rodzaju zwierciadeł laserowych. Mniejsza o detale techniczne, i tak nic nie zrozumiemy. Ważne, że to, co dla USA nie wyglądało na genialne odkrycie, dla ZSSR nie miało właściwie ceny. Reszta była prosta. Firma niejakiego Wernera w RFN się tym zajęła. Zwierciadła szły jak woda z Zachodu na Wschód ku radości Sowietów,

którzy nie oszczędzili ani pieniędzy, ani kawioru, zapraszali Spawra i kupowali coraz nowe zwierciadła. Poprzez Wernera w RFN oraz... wprost. Spawr bowiem udoskonalił procedurę: żeby uspić celników, fałszował faktury, podawał cenę 500 dolarów zamiast 40.000, które dostawał, nie mówiąc już o tej, jaką płacili Rosjanie pośrednikom. Rosjanom się spieszyło. Zaproponowali Spawrowi 1,5 miliona dolarów za zainstalowanie w ZSSR całej fabryki. Nie zdążyli. Wszystkim się opłacało, tak że nawet sąd amerykański to zrozumiał. Skazany na 10 lat w pierwszej instancji, Spawr dostał tylko 6 miesięcy w apelacji. Sąd uznał, że Spawr działał jako dynamiczny, ale nie doceniony przez społeczeństwo wynalazca i przedsiębiorca. Sprawy bezpieczeństwa USA nie były poruszane.

Jeszcze dwa tylko przykłady, ale wymowne. „Dattassab” w Szwecji dostarczyła nielegalnie Sowietom amerykański program komputerowy pozostający pod absolutnym embargiem, przeznaczony do kontroli ruchu powietrznego i zdolny do śledzenia trasy samolotów wojskowych. I wreszcie, cierpliwością i pracą, Rosjanie zbudowali u siebie fabrykę „chipsów” w oparciu o części powoli zakupywane poprzez 50 firm działających absolutnie niezależnie w 6 krajach Zachodu.

#### d) Model KGB

No i wreszcie królowa technologicznych osiągnięć sowieckich, czyli szpiegostwo. To jest nielegalny sposób numer dwa. Trudno oczywiście zmierzyć rozmiary zjawiska. W ciągu jednego tylko roku, w jednej tylko Silicon Valley, FBI prowadziła 35 śledztw z tytułu technologicznego szpiegostwa. Nie warto tutaj opisywać wielkich afer z tej branży. Inni to już zrobili i lepiej ode mnie (czytajcie Johna Barrona). Specyfika *Kultury* wymaga jednak, abym wspomniał o dwóch dużych (o małych nie warto) aferach, w których władze z Warszawy odegrały pewną rolę. William Bell, pracownik zakładów samolotowych Hughes'a, otrzymał od polskiego agenta 110.000 dolarów, w zamian za które udostępnił Polsce tajemnice radaru w jaki wyposażone są amerykańskie myśliwce i bombowce oraz sonary z łodzi podwodnych. W drugim wypadku, James Harper, elektronik, dostał od polskiego wywiadu więcej, bo 250.000 dolarów, ale też i towar był pierwsza klasa: chodziło o tajemnice rakiet strategicznych „Minuteman” i obrony USA przeciw rakietom balistycznym. Obaj panowie siedzą, podobnie jak ich polscy partnerzy. Pytanie pierwsze: po co Polsce tajemnice rakiet strategicznych? Pytanie jest głupie, potrzebne są Rosji, wszystkie wywiady pracują dla Moskwy. Pytanie drugie, mądre: ile zapłaciła Rosja Polsce za tajemnice z USA? Jaki jest zysk dla polskiego górnika, który te dolary wypracował?

ZSSR — wszystko jest względne — ponosi spore koszty. W dolarach i w ludziach. W setkach milionów dolarów, albowiem za



przemysł płaci cenę kilka razy wyższą od rynkowej, no i także dlatego, że kupuje każdy śmieć, jeżeli tylko wygląda na technologię, wykupuje na wszelki wypadek pełne wystawy, targi i pokazy nawet zachodniego baracha. W ludziach — co brzmi dumnie — albowiem w samym tylko 1983 roku 140 złapanych szpiegów „dyplomatów” sowieckich i kilkudziesięciu KDL-owskich zostało wydalonych z kilkunastu krajów niekomunistycznego świata, pewna liczba szpiegów, obywatele państw poszkodowanych została aresztowana, pewna ilość, w tej dziedzinie informacji nie są jasne, została wymieniona lub wykupiona. Raport Kongresu amerykańskiego stwierdza krótko, iż szkody poniesione przez wolny świat są „nieobliczalne”. Reszta jest milczeniem...

## II. CZERWONA KSIĄŻECZKA

Ktoś musi naturalnie kierować całą akcją. Gdzieś muszą być ludzie, którzy wiedzą i którzy zajmują się *dispatching*’iem, płataniem i rozplątywaniem nitek sieci najwyższej zorganizowanego rabunku szarych komórek w historii świata, ktoś prowadzi akcję „technologia”, której zadaniem jest wygrać trzecią wojnę światową bez strat własnych.

Trudno odtworzyć system sowieckiego dowodzenia akcją „T”. Na czele piramidy, tuż pod Biurem Politycznym, ale ono jest zawsze i wszędzie, działa Komisja Wojskowo-Przemysłowa, skupiająca przedstawicieli około 12 ministerstw i agend ZSSR związanych z bezpieczeństwem i wojskiem. Ta komisja koordynuje potrzeby i operacje. Podlegają jej wszystkie komórki zajmujące się stroną praktyczną rabunku technologii, a więc KGB, a przede wszystkim jego Departament „T” (nauka, technika, wynalazki itd.), GRU (wywiad wojskowy), Główny Komitet Nauki i Techniki, a w tym VIMI, czyli komisja kontrolująca wykorzystanie w praktyce zdobytych informacji, Akademia Nauk i jej instytuty, niektóre wyspecjalizowane wyłącznie w przyswajaniu cudzych „szarych komórek”, między innymi poprzez bezkarne upowszechnianie wśród zainteresowanych instytucji informacji naukowych i technologicznych czerpanych z ponad 1,5 miliona (!) pism fachowych zakupywanych w... 125 krajach, GKES czyli Komitet Współpracy Naukowej z Zagranicą no i wreszcie Ministerstwo Handlu Zagranicznego i jego niezliczone agendy i centrale, Aero-fłoty, Inturisty oraz, naturalnie, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wraz z jego „dyplomatami” i... dziennikarze.

Większość pracowników wszystkich tych instytucji wysłanych do konkretnych operacji za granicę jest albo na dwóch etatach, albo po prostu zostali przeniesieni z KGB czy GRU. Arkady Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, o którym już pisaliśmy w *Kulturze*, uważa, że 50 % wszystkich sowieckich przedstawicieli za granicą spełnia przede wszystkim misję szpiegowskie. Arkady nie docenia swych byłych szefów...

Dla użytku szpiegów Komisja Wojskowo-Przemysłowa opracowała specjalny podręcznik. Jest to „czerwona książeczka”, nie Mao, a KGB. Formalnie nosi nazwę: „Skoordynowane potrzeby w sprawie technicznych zadań informacyjnych”, a w rzeczywistości zawiera listę życzeń rządu sowieckiego w zakresie kradzieży zagranicznych odkryć i wynalazków. „Życzenia” te wyliczone są w 77 paragrafach 26-ciu rozdziałów technicznych. Rozdział 27 omawia luki w ustawodawstwie krajów zachodnich, umożliwiające szpiegostwo przemysłowe przy minimalnym ryzyku. Pierwszeństwo mają badania nuklearne, lasery, elektronika, komputery, systemy nawigacyjne, radary, no i wszystkie inne rodzaje technologii zbrojeniowej. Pięć podstawowych kryteriów stanowi podstawę wszczęcia podchodów, m.in. ...powaga firmy i jej... wypłacalność. Nic, nawet najbardziej cywilne z pozoru urzędzenia nie są lekceważone. Moskwa np. wie lepiej niż jej wysłannik w RFN, że silnik z niemieckiego traktora nadaje się do czołgu itp.

Nic dziwnego, że „czerwona książeczka”, gruba jak książka telefoniczna średniego miasta, otoczona jest w ambasadach ZSSR niezwykłymi środkami ostrożności. Jest trzymana pod kluczem w specjalnych pomieszczeniach rezydentury KGB, dostęp do niej mają jedynie osoby upoważnione przez rezydenta, czytanie odbywa się pod jego nadzorem, a stronicie są tak zszyte, że nie można ich wyrwać. Książka została wydana i jest firmowana przez „Wydział Współpracy Naukowej i Technicznej z Krajami Kapitalistycznymi i Trzeciego Świata” podległy Państwowemu Komitetowi Nauki i Techniki. „Współpracy”?!

Tylko krótko o właściwej dyplomacji, która poza szpiegostwem służy mimo wszystko jeszcze do innych celów. Równoległe do Genewy i rokowań sowiecko-amerykańskich w dziedzinie rozbrojenia (to inny temat), główny wysiłek p. Gromyki skierowany jest na rozluźnienie amerykańskich restrykcji eksportowych. Chodzi o legalne udostępnienie niektórych przemysłowych urządzeń objętych embargiem. Cena nie gra roli. P. Olmer, amerykański wiceminister handlu, był w styczniu w Moskwie, aby podjąć rozmowy handlowe. P. Alchimov, prezydent Banku ZSSR, dał mu jasno do zrozumienia, że w zamian za otwarcie granic dla technologii Moskwa skłonna jest sprzedać 50.000 Żydów rocznie. Aby zmierzyć gest i hojność sowiecką wystarczy powiedzieć, że w 1984 roku wyjechało z ZSSR mniej niż 1.000 Żydów. Wystarczy także przypomnieć, że liczby tego rządu w „żydowskim kontekście” praktykowane były wyłącznie w okresie *détente*, to znaczy w latach 70-tych, które pozwoliły ZSSR na ogromne przyspieszenie i unowocześnienie dozbrojenia. 50.000 Żydów wyjechało tylko w jednym 1979 roku, kiedy podpisany został układ SALT II, szczytowy moment sowieckiej podwójnej gry, naznaczony najpierw słynnym (brrr) pocałunkiem Carter-Breżniew w Wiedniu, a potem, kilka miesięcy później, inwazją na Afganistan.



## III. ZA TRZY LATA...

Pytanie zasadnicze brzmi: jakie są wyniki tak kolosalnej operacji? Odpowiedź szczegółowa nie jest łatwa, dla mnie w każdym razie. Oddajmy głos fachowcom. Ion Pacepa był generałem i zastępcą szefa kontrwywiadu rumuńskiego. Uciekł na Zachód jeszcze w 1978 roku, ale dopiero niedawno ujawnił część tego, co przyniósł Zachodowi w posagu. Przy pomocy Michaela Leddenna, specjalisty z Instytutu Badań Strategicznych Georgetown w Waszyngtonie, opisał swe doświadczenia na użytek i ku zadumie ludzi zachodnich. Pacepa streścił między innymi wycieczkę Ceausescu na zaproszenie Breżniewa dla odwiedzenia ultratajnego „ośrodka mikroelektronicznego”. Ceausescu opowiadał później, iż mimo, że podobnych centrów nie ma już odwiedzać, m.in. w USA, podobnego skoncentrowania najnowocześniejszej aparatury jeszcze nie widział. „Takich ośrodków — powiedział mu wtedy Breżniew — mamy kilkadziesiąt, a wszystkie ich instalacje pochodzą z Zachodu”.

Co to znaczy w planie konkretnym? Oto jak można by sformułować diagnozę: podczas kiedy w latach 60-tych opóźnienie Rosji w stosunku do Zachodu w dziedzinie mikroelektroniki wynosiło od 10 do 12 lat, dziś, dzięki transferowi technologii, dystans wynosi od 3 do 5 lat i szybko się zmniejsza.

Co z tym fantem zrobić? Jaka jest riposta na rabunek, który tyle kosztuje Zachód w sferze finansowej, ale przede wszystkim obronnej? Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Można jednak powiedzieć, że przede wszystkim trzeba chcieć coś zrobić. I robić razem. Łatwo powiedzieć...

Tuż po wojnie było łatwo: USA dominowały świat, robiły, lub nie, co chciały. Miały monopol na technologię. Ale i wtedy nie ustrzegły się, jak wiadomo, ani przed transferem ani szpiegostwem, wystarczy przypomnieć tajemnice atomowe, sprawy Rosenbergów, Fuxa itp. Potem przyszły lata *détente*, kiedy w ogóle nikt nie myślał o ograniczeniach, zwłaszcza, że jak niektórzy przepowiadali, zalanie Rosji towarami zachodnimi zamieni sowietów w anioły i baranki Boże. Tak się nie stało. Kiedy padł Afganistan, spadł Boeing 747, upadła „Solidarność” itp., sieci transferowe już dawno funkcjonowały, szare komórki pełną parą pracowały na Zachodzie dla Wschodu.

Zachód nie jest bezbronny. Ani ślepy. Od 1949 roku funkcjonuje COCOM, Komisja kontroli eksportu strategicznego na Wschód, która skupia kraje NATO bez Hiszpanii i Islandii (ale jest Japonia). COCOM spełnia pożyteczną rolę, ale jest oczywiście w niewoli interesów krajów członkowskich. Oczka zastawionych przez COCOM sieci zaciskają się lub rozluźniają w zależności od percepcji zagrożenia sowieckiego i nacisku kryzysu, bezrobocia, potrzeby handlu z ZSSR itd.

Stany Zjednoczone postanowiły także bronić się same. Lista MCTL, czyli produktów technologicznych mogących mieć zastosowanie także wojskowe ma 700 stron, jej krytycy uważają, że

jest to spis monstrualnie długi i przesadny, tym bardziej, że tylko w stosunku do 15 % wymienionych towarów USA mają faktyczny monopol, że inaczej mówiąc, Moskwa może 85 % listy kupować gdzie indziej.

To prawda, Waszyngton wziął to pod uwagę. EAA, Export Administration Act, ustawa o kontroli eksportu, daje prezydentowi USA prawo rozciągania ustawodawstwa amerykańskiego na firmy produkujące w innych krajach na licencji amerykańskiej lub w oparciu o części sprowadzone z USA. Operacja „Exodus”, przeprowadzona przez służbę celną w oparciu o tę ustawę, dała pewne wyniki: odkryto drogi przemytu, tak wpadł m.in. Muller, ale w warunkach sojuszu państw demokratycznych sprawa nie jest łatwa.

Sprzeczności są rzeczywiście poważne. Europa zachodnia inaczej patrzy na sprawę handlu Wschód-Zachód niż Stany Zjednoczone. Zachodnia Europa uważa, że handel jest w równym stopniu korzystny dla Wschodu co Zachodu. Jest to rozumowanie nieprawidłowe, ale o tyle nie zaskakujące, że kraje europejskie zależą w większym stopniu od handlu ze Wschodem niż USA. Do tego faktu dorabiana jest jednak cała filozofia. Kraje zachodnioeuropejskie, jak to zostało jasno sformułowane m.in. w dokumentach przygotowanych na ostatnią sesję Zgromadzenia Atlantyckiego, skupiającego parlamentarzystów z krajów NATO, uważają iż nie powinny poprzez ograniczenia handlowe nawet próbować wywoływać kryzysu gospodarczego w ZSSR, jeżeli założyć, że byłoby to w ogóle możliwe. Odwrotnie, uważają one, że kryzys taki nie leży w interesie Zachodu: istnieje bowiem ryzyko, iż ZSSR stać się może bardziej agresywny w okresach trudności gospodarczych. Kraje zachodniej Europy uważają np., że postąpiły trafnie, udzielając ZSSR pomocy w budowie *pipeline* syberyjskiego, jako że pomoc dla Rosji w wykorzystaniu jej zasobów energetycznych wzmocniła bezpieczeństwo Zachodu, odwracając uwagę Moskwy np. od złóż naftowych Zatoki Perskiej. Embargo, które USA chciały nałożyć m.in. na dostawy dla *pipeline*, byłoby, dodają Europejczycy, kosztowniejsze dla Europy niż dla USA. A zresztą, powiadają parlamentarzyści, sankcje gospodarcze nie potrafiły udowodnić swej skuteczności, nie przyniosły zmiany w postępowaniu sowieckim ani w Afganistanie, ani w Polsce. Więcej, parlamentarzyści atlantyccy uważają, że wzmacnianie handlu z krajami zależnymi od Moskwy umacnia ich tendencje niepodległościowe. Przykład Węgier jest często cytowany, podobnie jak lata 70-te w Polsce, kiedy to wzmocnienie kontaktów gospodarczych z Zachodem przyczyniło się do wzmocnienia nastrojów wolnościowych, ukoronowanych pojawieniem się „Solidarności”...

Nie tu i nie teraz czas i miejsce na krytykę tak sformułowanej filozofii politycznej. Nic przecież z tego faktycznie nie wynika dla oceny zjawiska, jakim jest nielegalny transfer technologii na Wschód. Nie wiadomo także, dlaczego ta filozofia miałaby utrudnić, a utrudnia, kontrolę przemytu gospodarczego.



Jest prawdą, że technologia jest jak narkotyk, jej przemytu nie da się w całości powstrzymać. Ale trzeba i można się starać robić to lepiej. Wyniki wykazują, że obecnie starania są niewystarczające. Fatalnie przeprowadzona próba embargo na dostawy dla *pipe-line* zakończyła się fiaskiem i poważnym upadkiem autorytetu USA. Fakt, iż Reagan właśnie wtedy sam zniósł embargo na zboże dla Rosji też nie przekonał nikogo o czystości intencji amerykańskich.

Kraje neutralne, przede wszystkim Austria, ale i Szwecja i Szwajcaria uważają, że zbyt daleko idące ograniczenia handlowe sprzeczne są z ich statutem politycznym. W Austrii, przez którą idą główne szlaki przemytu, dochodzi do sytuacji komicznych. Firma Steyr została odbudowana dzięki planowi Marshalla i dostarcza obecnie Rosjanom urządzeń do produkcji specjalnych gatunków stali, objętych embargiem USA. Kiedy rząd amerykański zaprotestował, odpowiedź brzmiała, że jeżeli Austria nałoży embargo na dostawy do ZSSR, to będzie musiała uczynić to samo w stosunku do... USA. Jeszcze trudniej jest kontrolować dostawców azjatyckich Formozę czy Koreę południową, które są już poważnym producentem nowoczesnej technologii i dysponują sprzętem amerykańskim. USA sporządziły „szarą listę” krajów, gdzie zachodzi ryzyko nielegalnego reeksportu na Wschód, ale skoro lista obejmuje takie kraje jak Austria i Indie, Finlandia i Szwajcaria, Szwecja i Singapur, jej realizm nie jest bezsporny.

#### IV. GWIAZDY W OCZACH

Problem transferu technologii zachodniej na Wschód jest w równym stopniu zagadnieniem politycznym, co gospodarczym. Handel EWG z RWPG stanowi dla Zachodu tylko kilka procent, w USA wynosi poniżej 2% ich handlu zagranicznego. Ale jest to zagadnienie delikatne. Po pierwsze w warunkach kryzysu każdy procent jest ważny, dla RFN np. handel ze Wschodem, nie mówiąc już o NRD, to ponadto argument wyborczy. Po drugie, nieraz spłata długów — np. polskich — wobec banków przede wszystkim zachodniemieckich, także od tego handlu w dużym stopniu zależy. Po trzecie, Amerykanie postępują często nieumiejętnie, a ponadto nieraz pod embargiem technologicznym kryje się zwyczajna konkurencja handlowa. Po czwarte, sami Amerykanie tracą. Caterpillar w USA musiał pod embargo odwołać dostawę kombajnów dla układania *pipe-line*. Japonia natychmiast je dostarczyła.

Do tego dochodzi, a jest to aspekt zasadniczy, różnica w ocenie wagi tego zjawiska między czynnikami rządowymi a handlowymi. Rząd musi uwzględniać elementy bezpieczeństwa, firmy handlowe w krajach demokratycznych mogą sobie bimbać.

Nie powinny. Rosja oczywiście nie jest pozbawiona utalentowanych ludzi. Wysyła Kosmosy i Sojuzy, grozi nam SS-20 i

wszystkimi innymi raketami. Ale nawet najbardziej szczerzy prorok pokoju przez handel nie powinien zapominać, że:

1) ZSSR nie dysponuje rezerwami ludzkimi i materialnymi pozwalającymi jak np. w USA na równoczesny wzrost wydatków w dziedzinie cywilnej i wojskowej. Transfer technologii zachodniej pozwala Kremłowi zaoszczędzić lata badań, miliardy dolarów i w ten sposób łatwiej sprostać dylematowi: armaty czy masło. Jeżeli uwzględnić kolosalny import zboża amerykańskiego, to Kremłowi, wbrew rzeczywistości sowieckiej, udaje się rozwiązać ten dylemat w sensie i armaty i masło. Kwestia, czy i jaki zysk ciągnie z tego Zachód, jest otwarta...

2) Dostawy najnowszej technologii z Zachodu pozwalają Rosji na nadrobienie zacofania systemu bez naprawy sposobu zarządzania. Pozwalają na odraczenie reformy, kompensują ciężar biurokracji, pozwalają władzy na Kremle łatwiej wywinąć się z konieczności, *pardonnez l'expression*, demokratyzacji, utrwalają stabilność i ciągłość aktualnej ekipy kremłowskiej, starej i młodej. Uwierzytelniają w konsekwencji ogłupiające spekulacje niektórych „kolumnistów” z największej prasy amerykańskiej na temat istnienia na Kremle frakcji proamerykańskiej i kampanię przeciw Reaganowi, rzekomo odpowiedzialnemu, przez swoją retorykę, za jej niszczenie. Doszło do tego, że w przededniu konferencji genewskiej duże pismo amerykańskie wezwało Biały Dom do udzielenia poparcia o mierającemu proamerykańskiemu Czernien-ce w jego walce z frakcją proeuropejsko-japońską na tymże Kremle. Kto tu zwariował?

3) Transfer technologii z Zachodu pozwala na szybkie unowocześnienie arsenału sowieckiego. Jest to stwierdzenie smutne w planie wojskowym, ale także finansowym. Oznacza bowiem, że Zachód musi wydawać miliardy dolarów na wymyślenie broni będących w stanie sprostać postępowi wojskowemu ZSSR, do którego to postępu Zachód sam się przyczynił, wysyłając tam niezbędną technologię.

Według Ryszarda Perla, doradcy ministra Obrony USA, w 200 najnowocześniejszych tak zwanych „systemach broni” sowieckiej znajdują się elementy technologiczne ukradzione na Zachodzie. Koszt sprostania zachodnim ulepszeniom arsenału sowieckiego sięga ok. 20 miliardów dolarów rocznie tylko w budżecie wojskowym USA. To nie jest lipa. BBC przeprowadziła wywiad z byłym inżynierem zakładów w Celonogradzie, zamkniętym miasteczku technologicznym niedaleko Moskwy. „Pracowałem przy produkcji systemu prowadzącego w raketach — powiedział. Urządzenie produkcyjne nie istniałoby bez zachodniej technologii. Jeden z najbardziej używanych 'chipsów', dostępny wyłącznie w produkcji wojskowej jest dokładną, jeden do jednego, kopią produktu serii 5474 Texas Instruments. Nawet w naszym wewnętrznym języku używaliśmy nazwy Texas i mieliśmy do dyspozycji pełną księgę obsługi z fabryki w Texasie”.

4) Najważniejsze jednak, że transfer taki zwiększa szanse Moskwy w starciu dwóch światów, o którego wyniku zadecyduje



ostatecznie poziom technologiczny społeczeństwa i jego armii. Rosja bowiem ma zdecydowaną przewagę liczbową w ludziach i sprzęcie, którą Zachód kompensować może jedynie swą przewagą technologiczną, jakością i precyzją swej broni. Jeżeli więc przy utrzymaniu swej przewagi liczbowej ZSSR zlikwiduje lub choćby wydatnie zredukuje swe zacofanie technologiczne, wtedy pozostanie nam już tylko się modlić.

To dlatego właśnie cały wysiłek wszystkich połączonych sił dyplomatów i szpiegów, naukowców i handlarzy ze Wschodu skierowany jest już dziś, od teraz, na arsenał broni kosmicznych, na perspektywę tego, co Reagana nazywa „strategiczną inicjatywą obronną”, a Kreml denuncjuje jako „wojnę gwiazdną”. Nasi kupcy i politycy nie powinni zapominać o roli jaką w starciu „kto—kogo” odegra zachodnia technologia. Inaczej przypomną sobie o tym dopiero kiedy im te gwiazdy zaświecą w oczach...

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 12 marca 1985,  
w dniu otwarcia konferencji w Genewie.

## Początek końca\*

Okres, który się skończy w polityce sowieckiej wraz ze śmiercią Konstantego Czernienki, był przejściem od ustalonej przez Breżniewa tradycji do czegoś nowego, na razie nieznanego. Prowadzenie Breżniewa było prawie we wszystkich dziedzinach życia państwowego dreptaniem na miejscu. Związkiem sowieckim rządziła zbiurokratyzowana partia komunistyczna, której głównym zadaniem w polityce wewnętrznej było sprzeciwianie się wszelkim reformom i zmianom. Ten polityczny zastój trwał lat prawie dwadzieścia. Nastąpiły potem mini-reformy Andropowa, które zapowiadały się jako początek większej przebudowy socjalno-gospodarczej. Nie wywarły one żadnego wpływu, gdyż po 18 miesiącach Andropow umarł. Stara gwardia w Politbiurze — Gromyko, Ustinow, Tichonow (*et consortes* w Komitecie Centralnym) przeprowadziła „wybór” Czernienki na stanowisko sekretarza generalnego, tym samym zapewniając kontynuację starej linii. Okazało się wprawdzie po kilku miesiącach, że Czernienko jest bardzo chory, ale na razie nikomu to nie przeszkadzało. Osobliwością starej polityki było to, że wraz z brakiem jakiegokolwiek poważnej nowej inicjatywy w sprawach wewnętrznych, odznaczała się ona coraz większą, prawie automatyczną agresywnością wobec reszty świata. Teoretyczną podstawą takiego nastawienia

\* Artykuł napisany przed śmiercią Czernienki i wyborem Gorbaczewa.

było przeświadczenie, że pierwszym warunkiem bezpieczeństwa państwa sowieckiego w jego obecnej formie było zwiększenie arsenału nuklearnego, rozbudowa marynarki wojennej i lotnictwa i, co za tym idzie, osiągnięcie parytetu wojennego ze Stanami Zjednoczonymi. Z tego wynikały daleko idące konsekwencje. Pierwszą, najważniejszą z nich było to, że Moskwa, za fasadą *détente*, stopniowo przeszła na pozycję konfrontacji z Ameryką na całym świecie. Tym się tłumaczy aktywność Rosji Sowieckiej w Afryce, okupacja Afganistanu, rozmieszczenie pocisków SS-20 skierowanych na zachodnią Europę i wiele innych posunięć, takich na przykład, jak nieustępliwość w sprawie zwrotu wysp japońskich zajętych przez Sowietów pod koniec drugiej wojny światowej. Względna pasywność Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza podczas urzędowania prezydenta Cartera, i przejawy chwiejności wśród sojuszników Ameryki w Europie Zachodniej nasunęły kierownictwu sowieckiemu myśl, że rozbić NATO i polityczne opowanie Europy Zachodniej pod groźbą wojny jest możliwe. Sprzyjało tej myśli nasilenie tzw. ruchu pokoju, m.in. w Niemczech, Anglii i Holandii. O tej wielkiej sowieckiej ofensywie politycznej, zmontowanej, *nota bene*, częściowo w okresie panowania Andropowa, już pisałem. Odnotowuję tu jeszcze raz, że skończyła się ona całkowitym niepowodzeniem, być może największym niepowodzeniem w historii Związku Sowieckiego.

Porażka ta najwyraźniej wytrąciła kierownictwo sowieckie z równowagi. Przez prawie rok Moskwa dosłownie nie wiedziała, co począć. Był to okres dąsów na cały świat, okres izolacji politycznej, który trwał do chwili, gdy w Moskwie przekonano się, że Ronald Reagan będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych przez dodatkowe cztery lata. Dopiero pod koniec 1984 roku w Moskwie powzięto decyzję zmiany polityki i rozpoczęcia rozmów z Amerykanami. Kierownictwo sowieckie natychmiast zapomniało o nieustannie powtarzanym w ciągu wielu miesięcy żądaniu, aby Ameryka wycofała swoje pociski Cruise i Pershing II, rozmieszczone już w Anglii, w Niemczech Zachodnich i we Włoszech. Zapomniano też czasowo o żądaniu moratorium na eksperymenty z bronią przeciwrakietową w kosmosie. W styczniu bież. roku doszło do spotkania Sekretarza Stanu USA Shultza z ministrem spraw zagranicznych ZSSR Gromyko w Genewie. Postanowiono rozpocząć zasadnicze rozmowy rozbrojeniowe w marcu bież. roku. Polityka sowiecka przeszła na nowe tory.

Można bez przesady powiedzieć, że Reagan i jego polityka zbrojeń są dla kierownictwa sowieckiego prawdziwą katastrofą. W tej chwili nie można nic pewnego stwierdzić na temat amerykańskiej tzw. inicjatywy obrony strategicznej. Czy jest ona możliwa, czy nie — okaże się dopiero po przeprowadzeniu odpowiednich badań i eksperymentów. Ale chodzi o coś więcej. Aktywizacja polityki zagranicznej Białego Domu i zakrojone na niebywałą dotąd skalę zbrojenia amerykańskie dowodzą, że kierownictwo sowieckie nie może już liczyć na pasywność Stanów Zjednoczonych. Amerykanie zrozumieli nareszcie, że planowa-



nie strategiczne musi obejmować całą planetę. Szczególną wagę przywiązuję do słowa „planowanie”. Do niedawnych wydarzeń w Iranie nie można było mówić o planowaniu amerykańskim, bo w Waszyngtonie nie było prawdziwego zrozumienia charakteru polityki sowieckiej. Tylko w warunkach psychologicznej i politycznej sowywności mogła się zdarzyć taka klęska, jak niespodziewany atak japońskiej floty i lotnictwa na amerykańską bazę na Okinawie. To była pierwsza lekcja wielkiej strategii, jaką otrzymali Amerykanie. Zapłacili bardzo drogo za swój brak przygotowania i czujności. Teraz, po Wietnamie, po Iranie, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Po Carterze otworzyła się przed Moskwą perspektywa stałej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi na ziemi i w kosmosie, perspektywa niekończących się zbrojeń i olbrzymich wydatków, na które Związek Sowiecki nie stać. Jest to konfrontacja nie jednostronna, jak za czasów Breżniewa, ale dwustronna. Dawniej Moskwa mogła spokojnie się zbroić, gdy Zachód usiłował żyć normalnym życiem. Polityka Reagana prowadzi do naukowej, technicznej i politycznej mobilizacji przeciwko Sowietom.

Waszyngton wprawdzie mówi, że nowa obrona strategiczna jest właśnie obroną i że usuwa ona konieczność odwetu, bo po prostu uniemożliwi agresję. Stąd wniosek, że groźba wzajemnego zniszczenia (MAD — *mutually assured destruction*) na wypadek wojny zostanie usunięta i że można będzie, po pewnym czasie, w ogóle zrezygnować z broni nuklearnej.

Wszystkie te teorie na razie wiszą w powietrzu, bo nikt nie może być pewny, do czego doprowadzi nowa obrona strategiczna i czy taka obrona jest w ogóle możliwa. Zanim nastąpi chwila, kiedy można będzie zrezygnować z broni nuklearnej — jeśli taka chwila kiedykolwiek nadejdzie — Ameryka tak czy inaczej będzie doskonalić i rozbudowywać swój system obrony w kosmosie. Otóż Moskwie to wszystko zupełnie nie odpowiada, gdyż nie może mieć nadziei wygrania takiego wyścigu. A wyścig musi być, bo uczeni sowieccy już teraz mówią, że nowa strategia może służyć nie tylko do obrony, lecz także do agresji. Stąd powtarzające się nieustannie protesty sowieckie przeciwko „militaryzacji kosmosu”. Podczas swego pobytu we Włoszech i w Hiszpanii, w ostatnich dniach lutego i w pierwszych dniach marca bież. roku, Gromyko w rozmowach z włoskimi i hiszpańskimi ministrami ciągle wskazywał na niebezpieczeństwo, jakie rzekomo przedstawia dla całej Europy, ba, dla całego świata, amerykański projekt obrony strategicznej. Ale sowiecki minister nie powiedział oczywiście ani słowa o tym, że od 10 lat ZSSR robi to samo, tj. usiłuje zmontować swój własny system obrony antybalistycznej. Kierownictwo sowieckie zawsze uważało, że badania i prace eksperymentalne związane z budową takiego systemu nie naruszają umowy podpisanej w 1972 roku. W ostatnich latach zostały zbudowane specjalne stacje radarowe w następujących miejscowościach: Olenogorsk, Pieczora, Stary Szagan, Laki, Puszkino i Krasnojarsk. Przeprowadzono doświadczenia z dwoma pociskami

antyrakietowymi SH-04 i SH-08\*. Nie wiemy w jakim stadium znajduje się budowa obronnego systemu sowieckiego. Gdyby Związkowi Sowieckiemu rzeczywiście udało się zbudować taki system — miałoby to bodajże decydujące znaczenie. Efektywny system obrony sowieckiej przeciw pociskom balistycznym umożliwiłby agresję sowiecką przeciw Ameryce, bo usunąłby niebezpieczeństwo odwetu i tym samym zapewniłby Moskwie zwycięstwo, albo drogę szantażu, przez pierwsze, niespodziewane uderzenie. Taka więc jest ta tajna broń sowiecka, która miała wybawić Moskwę ze wszystkich kłopotów, uratować ją pomimo niepowodzeń gospodarczych i ideologicznych. Ale system obrony widocznie nie jest jeszcze gotowy i tym się tłumaczy alarm w Moskwie i głośnie protesty przeciwko planom Reagana. Moskwa najwyraźniej liczy się z tym, że Ameryka stając teraz do wyścigu, może zbudować system obrony strategicznej szybciej i lepiej i tym samym pozbawić Moskwę tej broni, która miała być jej ostatnim argumentem.

Rozpoczynając rozmowy z Amerykanami, Moskwa widocznie chce zyskać na czasie. Podczas swego spotkania z włoskim ministrem spraw zagranicznych Andreottim w Rzymie 25 lutego, Gromyko powiedział m.in. że „negocjacje w Genewie będą trudne i długie”. Chęć wygrania na czasie tłumaczy się tym, że kierownictwo sowieckie, oprócz prac związanych z planem obrony kosmicznej kontynuuje także rozbudowę swego arsenału nuklearnego. W obecnej chwili — jak zeznał sekretarz Stanu Shultz przed komisją do spraw wojskowych Senatu Stanów Zjednoczonych 26 lutego — specjaliści sowieccy pracują nad budową aż pięciu dodatkowych międzykontynentalnych pocisków (raket) balistycznych. Według podanych przez niego nazw, są to: SS-17, 18 i 19 i całkiem nowe SS-24 i 25. Nie jest to, oczywiście, żadna niespodzianka, bo nikt chyba nie liczył na to, że Sowiety przestaną się zbroić. Ale oprócz tych spraw technicznych, istnieją również poważne przyczyny polityczne, nakazujące prowadzenie rozmów. Poprzednia pozycja, jaką Moskwa zajęła po jednostronnym wycofaniu się z rozmów genewskich w końcu 1983 roku, była nie do utrzymania. Od marca 1984 roku sytuacja była taka: Moskwa odmawiała wszelkich dalszych kontaktów i wysuwała niemożliwe do przyjęcia żądania gdy, równocześnie, Waszyngton stale nawoływał do wznowienia negocjacji rozbrojeniowych. W ten sposób odpowiedzialność za istniejące napięcie wyraźnie spadała na Moskwę. Zgadzać się na rozpoczęcie „nowych” negocjacji, Sowiety wydobyły się z tej bardzo niewygodnej pozycji. Do tego trzeba dodać, że obecna sytuacja na Kremlu nie sprzyja powzięciu jakichkolwiek poważnych decyzji. Czołowy sowiecki specjalista w dziedzinie uzbrojenia, minister spraw wojskowych

\* Szczegóły te są wzięte z artykułu korespondenta dyplomatycznego pisma *Observer* pt.: „Pentagon points to Russia's own Star War Plan”, z dnia 3 marca bież. roku.



marszałek Ustinow zmarł w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Odszedł też szef sztabu generalnego marszałek Ogarkow, najwyraźniej z powodu zasadniczej różnicy zdań, jaka wynikła między nim a grupą rządzącą. O przyczynach usunięcia tego wybitnego oficera z jego wysokiego stanowiska wiemy niewiele. Według pewnych nie bardzo sprecyzowanych wiadomości, konflikt między nim a Kremlem polegał na tym, że Ogarkow za głównego wroga uważał nie Zachód, nie Stany Zjednoczone, lecz Chiny.

Tu dochodzimy do samego sedna polityki sowieckiej. Przed Moskwą stoją dwie przeszkody: Zachód, czyli Ameryka wraz z Europą Zachodnią, i Chiny. Powstaje tu kwestia kolejności, w rozumieniu angielskiego słowa *priority*. Moskwa zdecydowała się na konfrontację najpierw z Ameryką, wierząc widocznie, że Ameryka może po prostu stracić rozpęd, bo zabraknie jej po pewnym czasie poparcia sojuszników i jej własnego społeczeństwa. Chiny tymczasem nie stanowiły bezpośredniego niebezpieczeństwa. Kierownictwo sowieckie być może doszło do tego wniosku, rozpatrując sprawę Chin z czysto wojskowego punktu widzenia. Lecz problem Chin ma obecnie znaczenie głównie polityczne. Chodzi o to, że reformy przeprowadzane w Chinach, porównywane z tym, co się dzieje w Rosji Sowieckiej, do tego stopnia uwidoczniają nieudolność kierownictwa sowieckiego w dziedzinie praktycznej polityki, że dyskredytują je zupełnie. W ciągu ostatnich kilku lat Ten Siao-Ping podjął gruntowną przebudowę ekonomiczną tego olbrzymiego państwa z ludnością liczącą dziś prawie 1.200.000.000 (jeden miliard dwieście milionów) mieszkańców. Na wsi wprowadzono zasadę indywidualnej odpowiedzialności i zwolniono rolników z przymusowego wykonywania robót dla państwa według centralnie ustalonego planu. Można powiedzieć, że centralne planowanie w rolnictwie jest zupełnie skasowane. Kołchoźników już nie ma. Decentralizacja i powrót do swobodnych form działalności gospodarczej są hasłem dnia. Po rolnictwie nowe zasady gospodarowania są obecnie wprowadzane w miastach. Cała działalność ekonomiczna w Chinach stopniowo wymyka się spod kontroli partii. Pod ścisłą kontrolą pozostaje tylko przemysł ciężki i wojenny. Jest to więc przebudowa nie tylko gospodarcza, lecz także społeczna. Żeby doprowadzić ten system do należytej sprawności, trzeba wykształcić lub przekształcić miliony pracowników partyjnych. Ta przebudowa prawdopodobnie zajmie dobrych kilka lub kilkanaście lat. Trzeba też będzie zreorganizować samą partię komunistyczną. Na szczęście po tzw. rewolucji kulturalnej i wszystkich wstrząsach, czystkach i zwrotach, które miały miejsce po niej, partia znajduje się w stanie, że tak powiem, płynnym. Jej obecna przebudowa będzie tylko jeszcze jedną zmianą, którą można będzie przeprowadzić bez większego trudu. Przemawiając podczas uroczystości podpisania umowy dotyczącej zwrotu Chinom angielskiej kolonii Hong-Kong w 1997 roku, Ten Siao-Ping powiedział, że będzie potrzeba 50-ciu lat, by Chiny stały się państwem zupełnie rozwiniętym.

Jest to prawdopodobnie przesada, której celem jest uspokoić Moskwę. Tymczasem Pekin stosuje politykę „otwartych drzwi”, zapraszając kapitalistów zachodnich do udziału w przedsiębiorstwach mieszanych. Zawarta z Anglią umowa gwarantuje utrzymanie w Hong-Kongu swobody handlu i samorządu miejscowego na 50 lat po przekazaniu kolonii Chinom w 1997 roku.

Dotychczasowy przebieg reform wskazuje, że nie trzeba będzie czekać aż tak długo. Już teraz sytuacja na wsi zmieniła się nie do poznania. W ostatnich pięciu latach produkcja pszenicy i ryżu zwiększyła się więcej niż o jedną trzecią. To są ostrożne obliczenia, ale są i inne. 2 lutego bież. roku londyński *Economist* w artykule „Chłopi podnoszą głowy” pisał m.in.: „Chłopi w Chinach podwoili produkcję pszenicy, zwiększając wzrost wydajności swych małych zagród o 12 % rocznie w ciągu ostatnich 7-miu lat”. Od zeszłego roku Chiny przestały importować zboże z Australii i Argentyny i stały się całkowicie samowystarczalne.

Tymczasem w Rosji Sowieckiej kwitną dalej pociski nuklearne. Kwitnie także gigantomania i w dalszym ciągu prowadzona jest gospodarka rabunkowa. Ochrona przyrody stoi na ostatnim miejscu. Ludność Rosji europejskiej kurczy się, a rośnie ludność narodów nierosyjskich, zwłaszcza muzułmanów w Azji Środkowej. Jest tylko trochę przesady w twierdzeniu, że główna podpora reżymu to błąt i wódka, zaś bez żadnej przesady widać, że alkoholizm w ZSSR urósł do rozmiarów prawdziwej klęski narodowej. Od przeszło dwudziestu lat ludność Związku Sowieckiego czeka na reformy. Przez ten czas system tak zeszytniał, że przeprowadzenie reform staje się coraz mniej możliwe.

Witold RYSER-SZYMAŃSKI

## List z Londynu (7)

Wojna o Falklandy skończyła się kilka lat temu, ale opozycja nadal próbuje stworzyć z niej pozycję wypadową do ataku na rząd. Poseł *Labour Party*, Tim Dalyell, za przedmiot swych zainteresowań wybrał argentyński krążownik Belgrano, zatopiony przez brytyjską łódź podwodną, przy stracie ponad 300 marynarzy. Jego zdaniem pani Thatcher jest osobiście odpowiedzialna za ten akt „piractwa”, bo krążownik wracał na swoje wody, był odległy o setki mil morskich od brytyjskiej floty i żadnego zagrożenia sobą nie przedstawiał. Rząd dążył do wojennej rozprawy, była mu ona potrzebna do podbudowy swej zachwianej pozycji politycznej, zatopienie krążownika przekreśliło szanse poko-



jowego planu wysuniętego przez Chile. Jednocześnie rząd nie informował należycie parlamentu, ukrywał przed nim prawdę, prowadził wojnę w sposób arbitralny i niezgodny z wymaganiami demokracji.

Poważne na pozór zarzuty rząd odpierał dosyć łatwo, a jego argumenty trafiały na ogół do większości społeczeństwa, gdy nagle wybuchła sensacja. Tim Dalyell dostał do ręki kapitalny dokument. Clive Ponting, wysoki i dobrze płatny (ponad £ 22.000 rocznie) urzędnik Ministerstwa Obrony, dostarczył mu super-tajny (*Crown Jewell*) raport dotyczący Belgrano.

Było to bardzo poważne przekroczenie przepisów obowiązujących urzędników państwowych. Ponting, będący w bezpośrednim kontakcie z ministrem wojny, przygotowujący mu publiczne wystąpienia, doradzający o czym można mówić w Izbie Gmin a o czym nie — w sposób jaskrawy nadużył jego zaufania. Rząd uznał, że sprawa, nie pierwsza tego rodzaju, może stworzyć niebezpieczny precedens, że prawo dotyczące tajemnic państwowych jest za mało precyzyjne, i oddał sprawę do sądu.

Nikt nie miał wątpliwości, że urzędnik popełnił przestępstwo, i nawet najbardziej lewicowi politycy, zwolennicy przewrotu społecznego, byli przekonani, że zapadnie wyrok skazujący. Jednak po rozprawie sąd przysięgłych powziął jednogłośnie decyzję, że Ponting działał zgodnie ze swym sumieniem, jest więc niewinny.

Po chwilowym osłupieniu opozycja przypuściła w Izbie Gmin furiacki atak na rząd, Tim Dalyell triumfował. A więc nawet sąd uznał, że można być innego zdania niż pani Thatcher, że konserwatyści są groźbą dla demokracji, że nie tylko parlament, ale szerokie masy muszą znać prawdę.

Minister obrony, Michael Heseltine, podjął walkę o uzasadnienie rządowych decyzji i wzburzone fale bardzo szybko opadły. Ponting siedział na galerii i słuchał, jak minister cytował dokumenty, z których na 100 % wynikało, że to właśnie on, Clive Ponting, był prawą ręką ministra w całej sprawie, że to on przygotował *dossier* sprawy zatopienia Belgrano i że on radził, by w Izbie Gmin nie podawać szczegółów operacji, bo mogą być wykorzystane przez Argentczyków.

Sprawa musiała się zakończyć dymisją Pontinga, którą co prędzej złożył. Przyjaciele polityczni znajdą mu pracę, ale jakie przedsiębiorstwo powierzy mu odpowiedzialne stanowisko? Czy po to, by przy pierwszej okazji „jego sumienie” kazało mu sprzedać sekrety handlowe konkurentom?

Wielka Brytania ma opinię kraju, którego społeczeństwo jest wyjątkowo zwarte w okresach kryzysów. Tak było w czasie ubiegłej wojny, a jednak w późniejszych latach okazało się, że sowiecki wywiad dotarł nie tylko do wysoko postawionych osób, należących do elity społeczeństwa, ale sięgnął także do niższych warstw i na początku wojny mnożyły się po fabrykach akty sabotażu, których motywacji policja nie mogła zrozumieć. Zrozumi-

ła, gdy sowiecka Rosja znalazła się w obozie aliantów. Nagle sabotaże ustały. Cóż, ludzie mają sumienie.



W drugiej połowie wojny, gdy zapadła decyzja o podziale Europy na strefy wpływów, zwłaszcza po konferencjach w Teheranie i w Jałcie, zachodnia prasa pełna była ataków na Polskę i na jej stanowisko. Celował w tym angielski *Times*, który nie ominął okazji pochwalenia Sowietów i zaatakowania Polaków za domaganie się ziem, które etnicznie wcale nie są polskie, za brak wdzięczności w stosunku do Rosjan, którzy biją Niemców, za megalomanię narodową.

Minęło jednak 40 lat, przez cały ten okres trwała „zimna wojna” i poglądy się zmieniły. Ten sam *Times*, dnia 4 lutego, w 40-tą rocznicę rozpoczęcia konferencji w Jałcie, opublikował artykuł redakcyjny, pod którym mógłby się podpisać każdy polski patriota. Oto kilka cytatów: „...Dla milionów ludzi Centralnej i Wschodniej Europy Jałta jest trwałym symbolem oddania ich przez Zachód w sowiecką niewolę. Jałta jest powodem ich wszystkich obecnych politycznych tragedii... Polityka zachodnich mocarstw w stosunku do wschodniej Europy w roku 1945 była i moralnie i politycznie błędna. Moralnie, bo kraj, za którego wolność wypowiedzieliśmy wojnę, porzuciliśmy na pastwę Stalina — człowieka odpowiedzialnego wraz z Hitlerem za rozbiór Polski w roku 1939. Politycznie, bo zapłacona cena (nie przez nas, przez innych), nie osiągnęła celu, do którego zmierzaliśmy: nie zapewniła trwałych, konstruktywnych, pokojowych stosunków ze Związkiem Sowieckim... Dlatego nie tylko z poczucia solidarności z uciśnionymi narodami Centralnej i Wschodniej Europy, nie tylko dlatego, że one dzielą z nami wiele zasad, które uznajemy za słuszne, ale z powodu realistycznej oceny, co jest konieczne dla długoletniego pokoju i stabilności w Europie, polityka Zachodu musi być skierowana na przewyżczenie 'Jałty', która oznacza podział Europy spowodowany narzuceniem sowieckiego systemu całej jej połowie...”

40 lat temu tylko 25 posłów Izby Gmin głosowało przeciwko zaakceptowaniu decyzji jałtańskich, teraz ponad 250 położyło swe podpisy pod wnioskiem, by domagać się wykonania obietnic suwerenności i wolnych wyborów, powziętych wówczas na Krymie.



Dnia 8 maja mija 40 lat od kapitulacji Niemiec i zakończenia wojny w Europie. Wielka Brytania jest krajem specjalnie mocno przywiązany do tradycji, nic więc dziwnego, że problem uczczenia zwycięstwa nad Hitlerem stał się przedmiotem rozważań.

Wydawałoby się, że wszystko jest jasne: odniesiono wielkie zwycięstwo, po raz drugi pokonano Niemców, zniszczono okrutny system nazistów. Jedyny problem to wybór najlepszej formy



upamiętnienia tego wydarzenia. A jednak, gdy tylko zaczęła się publiczna dyskusja, okazało się, że problem jest złożony i trudny.

Po pierwszej wojnie światowej były dwie wyraźne strony — zwycięzcy i zwyciężeni, mogła więc odbyć się konferencja pokojowa w Wersalu i do dziś dnia święci się 11 listopada, dzień zawieszenia broni. A teraz? Niemcy, których historia nie zna większej klęski, są obecnie, w swej przytłaczającej większości, jako republika federalna, sojusznikiem swych pogromców. Rosja Sowiecka, która najpierw sprzegła się z Hitlerem a później była sojuszniczką Zachodu, jest teraz jego zaciętym przeciwnikiem. Polska, która pierwsza stawiała opór hitlerowcom i była najwierniejszym aliantem zachodnich demokracji, a więc formalnie, wraz z nimi, odniosła zwycięstwo, w rzeczywistości straciła niezawisłość na rzecz sojusznika własnych sojuszników. W jaki sposób upamiętnić wielkie zwycięstwo w Europie z roku 1945 nie drażniąc Niemców, nie przypominając podwójnej roli Związku Sowieckiego, nie dając się wciągnąć w sowiecką propagandę głoszącą zachodnioniemiecką zmowę i dążenie do rewanzu i nie doprowadzając do rozpaczliwych liczących narodów, którym druga wojna światowa przyniosła niewolę?

Bardzo dobitnie przedstawił ten problem czołowy publicysta *The Sunday Telegraph*, Peregrine Worsthorne: „... Czym więcej myśli się o dniu zwycięstwa, tym mniej widzi się powodów do celebrowania. Hurra-patriota może powiedzieć — kto pana prosił o myślenie o tym? Dlaczego nie świętować brytyjskiego triumfu nad nazistowskimi Niemcami bez popadania w hamletowskie rozważania nad tym wspaniałym zwycięstwem? Jakkolwiek takie stanowisko jest bardzo pociągające, uważam, że należy mu się przeciwstawić. Bo dzień zwycięstwa, jakkolwiek oznacza uwolnienie Zachodniej Europy od hitlerizmu, oznacza także zniewolenie Europy Środkowej przez stalinizm. Jakże więc Wielka Brytania może z honorem obchodzić radosny dla nas aspekt tego dnia, nie opłakując w tym samym czasie tragedii, jaką on oznacza dla innych?”

Inne wielkie dzienniki i tygodniki wypowiedziały się w podobny sposób. W Wielkiej Brytanii prasa wyraża opinię publiczną, pani Thatcher omówiła te sprawy przy okazji wizyty w Bonn i ostatecznie rząd postanowił, że zakończenie wojny w Europie zostanie upamiętnione wyłącznie nabożeństwem w Westminster Abbey. Jedynym międzynarodowym akcentem będzie zaproszenie wysokich komisarzy Brytyjskiej Wspólnoty oraz ambasadorów wielu krajów, wśród nich Związku Sowieckiego i Niemiec Zachodnich.

Od lat dyskutowało się tutaj problem bibliotek publicznych i strat, jakie ponoszą autorzy książek, które nie są kupowane, ale wypożyczane za darmo. Ostatecznie parlament przyjął uchwałę, która daje autorom pewną ochronę, i w roku 1984 przeznaczył na ten cel dwa miliony funtów. Koszta administracyjne pochło-

nęły ponad £400.000, ale do podziału między autorów pozostało £1.588.000. Za każde wypożyczenie autor otrzymuje 0,92 pensa (ta cyfra waha się minimalnie), ale przy wielkiej poczytności wypłacona rocznie suma może sięgnąć £5.000 (górną granicą). Takich autorów było tutaj, w okresie od 1 lipca 1983 do 31 czerwca 1984, tylko 46. Tych co nic nie dostali było 1.449, w kategorii od £1 do £99 znalazło się 3.878, w kategorii od £100 do £499 było 1.516. Przy odrzuceniu tych, co nic nie dostali, przeciętna wypłata wynosiła £261.

Nie mam innych cyfr, muszę więc skorzystać z własnego przybliżenia. Znalazłem się w kategorii od £100 do £499, a ilość wypożyczeń w ciągu 12 miesięcy wyglądała następująco: *The Swiss Corridor* — 6.846, *Hitler's Last Weapons* — 5.980, *Intercept, the Enigma War* — 5.900, *Fighting Auschwitz* — 3.069, *Poland, SOE and the Allies* — 147. *The Swiss Corridor* był moją ostatnią książką (1981) i stąd jej powodzenia. Gdyby opłaty za wypożyczanie zaczęły się wcześniej, *Fighting Auschwitz* byłby bezapelacyjnie na pierwszym miejscu, bo miał tutaj 4 wydania.

Nie wiem, jak te sprawy wyglądają w innych krajach, tutaj ustawa chroniąca autorów została przyjęta jako krok symboliczny.

Rada Węglowa przewidywała, że w dniu, w którym więcej niż połowa górników powróci do pracy, zakończy się strajk. Tak też się stało. W końcu lutego ta magiczna cyfra została osiągnięta, ilości powracających z dnia na dzień poczęły iść w tysiące, o negocjacjach, przy uporze kierownictwa górników, nie mogło być mowy i Scargill uznał, że trzeba kończyć. Wolał, by powrót do pracy nastąpił na jego rekomendację, niż by kierownictwo Związku wymknęło mu się zupełnie z rąk. Na niedzielę zwołano *in extremis* konferencję delegatów i po burzliwej dyskusji, 98 głosami przeciwko 91, postanowiono strajk zakończyć. Część delegatów upierała się, że musi to być uwarunkowane pełną amnestią dla 700 górników, których Rada Węglowa usunęła z pracy za wandalizm, ale w głosowaniu okazała się w mniejszości.

Wprawdzie Scargill ogłosił, że walka toczyć się będzie dalej, wprawdzie przedstawiciele opozycji próbowali argumentować, że nikt nie odniósł zwycięstwa, ale faktem jest, że roczny, najdłuższy w historii kraju na taką skalę strajk, zakończył się bezapelacyjnym zwycięstwem rządu. Konserwatyści podjęli bardzo trudny problem ograniczenia władzy rozpanoszonych związków zawodowych, przeprowadzili odpowiednią ustawę parlamentarną, zostali zaatakowani przez wyjątkowo przebiegłego i cynicznego przeciwnika i pierwszą rundę wygrali. Nie pomogły „dobrowolne” ofiary górników z Zagłębia Donieckiego, nie pomógł płk Khadafi, zdrowy rozsądek społeczeństwa i twarda postawa rządu i Rady Węglowej okazały się mocniejsze od komunistycznej demagogii.

Skutki strajku trwać będą jeszcze długo, niełatwo odzyska się stracone rynki, powoli będą się zablizniać rany, powoli górnicze



wioski będą powracać do normalnego współżycia, nieprędko zmienią one swój stosunek do policji, ale zwycięstwo Scargilla przyniosłoby skutki jeszcze gorsze.

Rząd ma obecnie bardzo ważną i trudną rolę do spełnienia. Musi unikać fanfar zwycięstwa, musi być nadal stanowczy, ale bardzo sprawiedliwy. Jego głównym zadaniem jest scementowanie rozbitego społeczeństwa.

Józef GARLIŃSKI

## Korespondencja z Rzymu

*Z deszczu pod rynnę?*

Gdyby teolodzy wyzwolenia ograniczyli się do dyskusowania swych nowatorskich tez we własnym gronie, prawdopodobnie Kongregacja Nauki Wiary nie uznałaby za konieczne wydawanie specjalnej „Instrukcji”. Rzecz jednak w tym, że „nowa teologia” znalazła się w centrum akcji duszpasterskiej w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej (zwłaszcza w Brazylii i Peru), szerząc „dezorientację i zamęt” w umysłach wiernych. I stąd interwencja Stolicy Apostolskiej.

Niewiele dokumentów watykańskich wywołało tyle nieporozumień i ostrych, polemicznych reakcji. Jak się jednak okazało, liczni „glossatorzy” i polemicy nie czytali samego tekstu „Instrukcji o niektórych aspektach teologii wyzwolenia”, podpisanej przez kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary (dawne Święte Oficjum), aprobowanej przez Papieża i ogłoszonej 3 września 1984 roku. Nie potępia ona bynajmniej „teologii wyzwolenia”, pojmowanej jako aspiracja niedorozwiniętych społeczeństw do położenia kresu nędzy i „skandalowi rażących nierówności pomiędzy bogatymi i ubogimi”. Przeciwnie, ta aspiracja jest jak najbardziej uprawniona, ponieważ Ewangelia nie głosi jedynie wyzwolenia duchowego. Instrukcja uznaje również prawo do wyzwolenia od zła zewnętrznego, materialnego, tkwiącego w niesprawiedliwych strukturach społecznych. Papież w czasie swej ostatniej podróży do Ameryki Łacińskiej podniósł ponownie „preferencyjną opcję na rzecz ubogich”, a więc obowiązek chrześcijan, działających w sferze społeczno-gospodarczej i politycznej pokojowego przekształcenia tych struktur. Dokument watykański odrzuca natomiast te warianty „teologii wyzwolenia”, nader sugestywne i radykalne, które wpadają w zależność od marksizmu i posługują się analizą marksistowską dla opisu rzeczywistości społecznej. Instrukcja kwestionuje „naukowość” tej krytycznej analizy, a zwłaszcza zapożyczenia z teorii walki klas.

W gruncie rzeczy dokument stanowi przestrożę przed rzekomą postępowością wywodzącą się z rewolucyjnych haseł, która w Ameryce Południowej i Środkowej próbuje podbić umysły, bo nie znają tam gorzkich doświadczeń marksizmu aplikowanego w praktyce społecznej i politycznej. Jest to więc przestroga, by wypaczenia ideologiczne, zdradzające sprawę ubogich, nie zaprowadziły społeczeństw, rządzonych przez dyktatury wojskowe (z których *nota bene* stopniowo się uwalniają) czy reżimy autorytarne do obrania drogi systemów totalitarnych. Inaczej mówiąc, by nie wpadły z deszczu pod rynnę.

Z nieposkromioną iluzją wyływającą z ideologii rewolucyjnej rozprawia się Leszek Kołakowski w wywiadzie dla katolickiego miesięcznika „30 Giorni”. Instrukcja, która — jego zdaniem — jest jednym z najlepszych dokumentów doktrynalnych Kościoła, słusznie odrzuca „naukowe” pretensje marksizmu. Na zarzut zaś niektórych polemistów, że jest „eurocentryczna”, a więc rzekomo nieprzydatna dla „specyfiki” Ameryki Łacińskiej, replikuje z ironią: oznacza to *implicite*, że Bóg w Europie jest „transcendentny”, podczas kiedy w Meksyku „immanentny”, zabić kogoś w Anglii jest grzechem, ale niekoniecznie w Brazylii itp. Tym zaś co śnią o ochrzczeniu marksizmu, czyli są gotowi „stać się nawozem tyranii”, Kołakowski przypomina „dialog pomiędzy kitem i dupą”, jak mówi polskie przysłowie.

Oczywiście dokument watykański nie dostarcza wskazówek dla rozwiązania problemów niedorozwoju, czyli potwornych dysproporcji i plagi niedożywienia w Ameryce Łacińskiej. Nie było to jego celem. Z Kołakowskim zgadza się Lucio Colletti, wybitny filozof włoski, też „ex” (komunista, marksista, rewizjonista), który, mówiąc o tragicznym paradoksie, polegającym na chęci wyzwolenia upośledzonych mas według wzorca „socjalizmu realnego”, precyzuje: „paradoks ten nie byłby możliwy w Ameryce Łacińskiej bez straszliwych błędów i ślepoty politycznej Stanów Zjednoczonych (eksploatacja tych krajów przez kapitał amerykański, nastawiony na maksymalizację zysków, co Papież stanowczo potępia). Byłoby dobrze, by katolicycy zwolennicy teologii wyzwolenia zdali sobie z tego sprawę, podobnie jak z doświadczeń krajów Europy Wschodniej”.

Większe niebezpieczeństwo dla Kościoła, aniżeli skażenie czystości doktrynalnej, stanowi aspekt eklezjologiczny odchylenia zawartych w pewnych interpretacjach „teologii wyzwolenia”. Jej nurty rewolucyjne przeciwstawiają bowiem Kościołowi hierarchicznemu tzw. Kościół ludowy (*Iglesia Popular*), co wykorzystują *nota bene* rozmaite sekty protestanckie (adwentyści, mormoni, świadkowie Jehowy), finansowane przez centrale w USA i Kanadzie. W czasie swej ostatniej podróży Jan Paweł II określił je mianem „fałszywych profetów” (liczne organy prasy międzynarodowej podawały błędnie, że Papież miał jakoby na myśli teologów wyzwolenia). Tezy niektórych teologów kwestionują wymiar wertykalny Kościoła, tzn. podważają piramidę hierarchiczną Kościoła, wykluczając interwencję „rzymskiej centrali” i



posłusznej jej hierarchii w dziedzinie pastoralnej. Niezwykły rozkwit tzw. wspólnot podstawowych, zwłaszcza w Brazylii (około 150 tys.), z którymi sympatyzuje *nota bene* duża część biskupów i duchowieństwa, zagroził konkretnie jedności hierarchii. Te fermenty prowadzą niewątpliwie do rozbicia jedności Kościoła, pojmowanego jako wspólnota wiernych i dlatego stanowią poważną groźbę.

Choć kardynał Ratzinger i jego doradcy mają zapewne słuszość, kiedy stwierdzają, że „Instrukcja” nie stanowi aktu politycznego, bo główna troska ma charakter doktrynalny i eklezjologiczny, trudno przyjąć, by Papież i Kongregacja Nauki Wiary nie uwzględniła jej oddziaływania doczesnego, czyli ogromnej i praktycznie sprawdzalnej wymowy politycznej. Musieli przecież brać pod uwagę negatywne reakcje w bloku sowieckim, na Kubie i w Nikaragui, czy w wielu krajach względnie środowiskach na terenie Ameryki Południowej, Azji i Afryki. Trzeba tu co prawda przypomnieć, że komunizm był gorzej jeszcze potraktowany w encyklice *Divini Redemptoris* Piusa XI z 1933 roku. Fakt jednak, że te czy inne racje dyplomatyczne i obawy o polityczny użytek dokumentu, zarówno w Ameryce Łacińskiej, jak i w Europie Wschodniej, nie przeszkodziły jego publikacji, potwierdza, iż w Watykanie oceniono szerszenie się wypaczeń „teologii wyzwolenia” jako śmiertelne zagrożenie dla Kościoła Powszechnego. Na to niebezpieczeństwo zwracał uwagę w sposób niezwykle klarowny sam Jan Paweł II w swych przemówieniach na audiencjach w październiku ub. roku dla episkopatów Ekwadoru i Peru. W obydwu przypadkach wystąpił z zaleceniami o „unikanie za wszelką cenę niebezpieczeństwa przeciwstawiania 'Kościoła ludowego' Kościołowi instytucjonalnemu”. Wzywał do czujności i zachęcał do tego, by wspólnoty podstawowe nie izolowały się od istniejących struktur kościelnych czyli od parafii i od hierarchii. Papież potwierdził swoje stanowisko, przeciwne zarówno kapitalizmowi etatystycznemu (totalitarny komunizm), jak i kapitalizmowi liberalnemu, wypowiadając się przeciwko systemom opartym na „czystym utylitarystycznym z korzyścią dla grup uprzywilejowanych”. Tym bardziej „zwodniczo”, jego zdaniem, mogą wyglądać „opcje ideologiczne uciekające się do walki klas, przemocy i które nie przestrzegają praw człowieka”. Papieżowi należy zawdzięczać, że po pierwotnych wahaniach, a nawet rozdarciach, zarówno w Peru, jak i w Brazylii, doszło do akceptacji watykańskiej „Instrukcji”.

Wydaje się, że początkowe trudności w jej pełnej akceptacji polegały w dużej mierze na braku uprzedniej konsultacji z zainteresowanymi episkopatami latynoamerykańskimi. Nie bez znaczenia był też fakt, że Kongregacja Nauki Wiary odrzuciła porządek logiczny: najpierw ogłoszono dokument o negatywnych aspektach teologii wyzwolenia, przesuując na później dokument o „wolności chrześcijańskiej i wyzwoleniu” o charakterze pozytywnym. Kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu oświadczył (z wyraźnym zamiarem rozładowania atmosfery), że „byłoby na pew-

no lepiej, gdyby było można przedstawić stanowisko Stolicy Apostolskiej na temat teologii wyzwolenia kompleksowo, zaczynając od części pozytywnej, na co tak bardzo kładzie nacisk Ojciec Święty”. Pilność zagadnienia, tzn. otwarcia oczu na niebezpieczne tendencje, wymagała jednak opublikowania najpierw dokumentu „negatywnego”. Polemiki wokół Instrukcji potwierdzają zdarzające się nieraz zjawisko: słuszość czyjegoś stanowiska bywa zamazana i nie odnosi pożądanego skutku, a nawet prowokuje efekt wręcz odwrotny od zakładanego, kiedy geneza jego powstania jest negatywnie obciążona, a sposób zaprezentowania jest niezręczny lub niedostatecznie przemyślany czy też niedomówiony. Niedomagania formalne odbijają się wówczas na treści, a więc na recepcji danego stanowiska. Sprawa Instrukcji jest klasycznym przykładem tego rodzaju słusznych racji, osłabionych niestety niedociągnięciami organizacyjnymi i formalnymi. Świadczą o tym nie tylko braki w zakresie konsultacji zewnętrznej — co wywołało niepotrzebne kwasy wśród zainteresowanych episkopatów i kleru. Wyszły na jaw również niedociągnięcia koordynacyjne w łonie samej Kurii Rzymskiej. Dokument o tak wielkiej wadze powinien być konsultowany z Radą d/s Publicznych Kościoła, zwaną potocznie watykańskim ministerstwem spraw zagranicznych. Dzieje się tak zazwyczaj w przypadkach, kiedy dany dokument posiada implikacje wykraczające poza obręb jednego resortu czy sfery merytorycznej. Konsultacji tego typu zabrakło i dlatego wywołało to skargi o *sconfinamento*, czyli przekroczenie granic przez Kongregację Nauki Wiary; ściślej mówiąc: ponieważ aspekt doktrynalny zahacza w Instrukcji o delikatną materię polityczno-dyplomatyczną, Kongregacja ta powinna była przed zatwierdzeniem skoordynować jej tekst w niektórych drażliwych punktach. Tak się jednak nie stało, czego nie mógł ukryć kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu czyli naczelny Koordynator. Prasa tutejsza przytoczyła jego wypowiedź, w której dał wyraźnie do zrozumienia, że nie brał udziału w posiedzeniu na którym zatwierdzono ostateczne brzmienie tej Instrukcji.

Być może ma jednak racji brazylijski kapłan Leonardo Boff — jeden z protagonistów teologii wyzwolenia — kiedy, broniąc się przed oskarżeniem o orientację marksistowską, mówi: „patrzcie na nas w Europie jak z okien pałacu. Marksizm nas nie interesuje. Sedno rzeczy tkwi w ucisku i nędzy mas oraz w sposobie ich zniesienia”. Obaj, kardynał Ratzinger, „wielki inkwizytor” (faktycznie dobrotliwy uczonec) i franciszkanin Boff, w jednej sprawie są zgodni: Kościołowi w Europie zachodniej grozi rozkład, przyszłość Kościoła jest w Trzecim Świecie, a w pierwszym rządzie w Ameryce Łacińskiej.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 marca 1985



## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 395 — KAZIMIERZ BRANDYS

### MIESIĄCE 1982-1984

Trzeci tom zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 356.

Cena F. 80,00.

TOM 396 — SŁAWOMIR MROZEK

### ALFA

Nowa sztuka sceniczna znanego dramaturga, której bohater przypomina postać Lecha Wałęsy. Autor ukazuje nam dylemat człowieka, który stał się symbolem, nie przestając być człowiekiem.

Str. 84.

Cena F. 40,00.

TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

### ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunzyńskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOŚZ

### NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

### DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

## Kraj

### Rok ubiegły, ostatnie dwa miesiące i najbliższe pięć lat...

Ocena moja będzie ostrożna: sytuacja jest beznadziejna. Komunikat GUS-u o stanie gospodarki PRL w 1984 roku, ogłoszony na początku lutego, jeszcze tchnął optymizmem. Liczby wydawały się to potwierdzać: zwiększył się dochód narodowy (aż o 5%), jeszcze bardziej wzrosła produkcja przemysłowa (o 5,3%), a niektóre branże uzyskały nawet wzrost dwucyfrowy (!). Znakomite wyniki podsumowano w rolnictwie i 30 q z hektara przejdzie do historii jako szczęśliwy zbieg warunków klimatycznych i pracowitości chłopów. Drgnęło również w hodowli, przekroczono plan w budownictwie mieszkaniowym, w handlu zagranicznym zanotowano duże przyrosty obrotów na obu tzw. obszarach płatniczych, a w obrotach z krajami kapitalistycznymi uzyskano nawet 1,5-miliardową nadwyżkę. Co więcej, rok 1984 przyniósł również coś dla ludności i wzrost cen zanotowany przez statystyki okazał się mniejszy niż wzrost dochodów chłopów. Wynika stąd, że w roku ubiegłym nastąpił po prostu pewien niewielki wzrost realnych dochodów ludności. Mimo że w odczuciu ludności takie twierdzenie może wydawać się kolejną statystyczną bzdurą, niżej podpisany uważa, że tutaj GUS ma rację. Trzeba tylko wprowadzić tę poprawkę, że ceny, które wzrastały wolniej niż dochody ludności, nie były ciągle cenami równowagi i dlatego obliczone na ich podstawie realne dochody ludności nie są tak realne. Mimo to trzeba stwierdzić, że stan rynku nie uległ pogorszeniu: nie zrobiono postępu w kierunku zbliżenia się do równowagi, ale nierównowaga również się nie pogłębiła; utrzymanie *status quo* w tej dziedzinie można już uznać za sukces, choć jest on mierzony tym, że „utrzymano pokrycie potrzeb wynikające z kart zaopatrzeniowych”. Jedyłą wyraźnie ciemną plamą w ko-



munikacie GUS-u są inwestycje. Podobnie jak w latach poprzednich nakłady inwestycyjne przekroczyły plan, a efekty nie osiągnęły nawet 3/4 zamierzeń. Wzrosło więc zamrożenie środków i materiałów, a blisko bilionowy strumień wydatków inwestycyjnych, nie przyczyniając się do przyrostu podaży masy towarowej na rynku, miał działanie silnie inflacyjne. Ogólnie biorąc, jeśli weźmie się pod uwagę naciski, jakim jest poddana gospodarka PRL, a więc z jednej strony konieczność spłaty odsetek od długów (rat nie spłacamy, tylko je przekładamy w negocjacjach na dalsze lata), a z drugiej strony ogromny ciężar zbrojeń, istniejący, choć nigdzie nie dokumentowany, to trzeba przyznać, że wyniki są nadzwyczajne. Ale tutaj stop w tym chwaleniu: tę pozytywną ocenę trzeba opatrzyć ujemnym współczynnikiem korekcyjnym. Wyniki są nadzwyczajne na tle napięć gospodarczych, ogólnego pesymizmu i niezadowololenia ludności. Natomiast są zupełnie nie-nadzwyczajne, a nawet po prostu mizerne, na tle potrzeb gospodarki i postulatów rozwojowych.

Po tym „skoku gospodarczym” dochód narodowy w 1984 roku był ciągle o 15 % niższy niż w 1978 roku, a jeśli obliczyć ten wskaźnik „na głowę”, to różnica *in minus* wynosiła 19 %. To jednak nie wszystko. Od 1978 roku świat poszedł naprzód i w tym marszu — gdyby nie kryzys — uczestniczyłaby gospodarka polska. Jeśli przyjąć, że rozwijałaby się w średnim tempie 3,5 % rocznie, to w 1984 roku dochód narodowy byłby wyższy w stosunku do 1978 roku o 23 %. I żeby ocenić nasz upadek, trzeba określić poziom osiągnięty w 1984 roku w stosunku do tego poziomu potencjalnego: wynosi on w przeliczeniu na mieszkańca 66 %. A więc przy takich nadzwyczajnych rezultatach roku ubiegłego mamy zaledwie 2/3 tego, co powinniśmy mieć.

Z tego wynika, że 5 % rocznego wzrostu to w naszej sytuacji bardzo niewiele. Przy takim potencjale produkcyjnym, przy takim niewykorzystaniu aparatu produkcyjnego i przy takim wielkim popycie odłożonym, każda inna gospodarka po odbiciu się od dna powinna osiągać dwucyfrowe stopy wzrostu dochodu. Tak było kiedyś, w okresie pierwszego planu trzyletniego; wówczas kraj wychodził ze zniszczeń spowodowanych wojną, a dziś pragnie wyjść ze zniszczeń gospodarczych systemu. Gdybyśmy osiągnęli roczną stopę wzrostu 12 %, to moglibyśmy mieć nadzieję, że dogonimy uciekający czas; przy 5 % rocznie możemy oczekiwać, że będziemy stać w miejscu.

Pozostawanie na tym samym stopniu schodów, które idą w górę, to nie jest jeszcze najgorsza pozycja. Skąd więc taki pesymizm we wstępnej ocenie, iż sytuacja jest beznadziejna? Otóż stąd, iż owe relatywnie dobre wyniki gospodarki w roku ubiegłym

nie oznaczają, iż ekonomika polska odzyskała już zdolność do rozwoju i weszła na drogę, na której już widać „światło w tunelu”. Uważniejsza analiza sytuacji wykazuje, że rok 1984 stanowił jakby chwilową przerwę w procesie destrukcji, a wyniki, które wypracowały tę przerwę, są wątle i krótkotrwałe.

Na potwierdzenie tej oceny nie trzeba było długo czekać. Wystarczyły dwa miesiące prawdziwej, ale przecież normalnej zimy, aby ujawniło się, jak wątle są siły stabilizujące i dynamizujące w naszej gospodarce. W jedenaście dni po komunikacie rocznym ten sam GUS ogłosił komunikat za styczeń i wówczas obraz ukazał się przynębiający. Z zeszłorocznej krzepy gospodarczej nic nie zostało. Produkcja przemysłowa spadła o przeszło 1 %, ale w niektórych branżach spadek był znacznie głębszy i były nim objęte wszystkie gałęzie. Wyniki budownictwa w styczniu, w stosunku do stycznia ubiegłego roku, były gorsze o przeszło 10 %, a w budownictwie mieszkaniowym nawet o 11 %. Transport przewiózł o 16 % mniej towarów, a porty morskie zmniejszyły przeładunki o 27 %. W szczególny sposób styczniowe załamanie gospodarki odbiło się w handlu zagranicznym: eksport spadł o przeszło 8 %, a import wzrósł o przeszło 13 %, przy czym import z krajów kapitalistycznych był większy niż przed rokiem aż o 20 %. Musiało to spowodować — choć komunikat o tym milczy — zmniejszenie, a może nawet całkowite zniknięcie owego dodatniego salda z drugim obszarem płatniczym, co było z satysfakcją odnotowane w roku ubiegłym.

Jednocześnie przy spadku wydajności o 0,4 % płace w tegorocznym styczniu były o 17 % wyższe niż przed rokiem.

Wtedy, gdy publikowano komunikat GUS-u, było już wiadomo, że zima nie ograniczy się do jednego miesiąca. W lutym warunki atmosferyczne, podstawowa przyczyna kryzysu w kryzysie, były jeszcze gorsze, a ponieważ doszedł do tego czynnik kumulującego się zmęczenia gospodarki (wyczerpanie się zapasów i surowców, spiętrzające się awarie itp.), wyniki lutego mogą być jeszcze gorsze, a niektóre z tych zjawisk przejdą poślizgiem na marzec. W tym kontekście ze szczególną troską obserwuje się stan infrastruktury komunalnej w miastach. Komunikat GUS-u, koncentrujący się na sprawach produkcji, nic o tym nie wspomina, ale zima 1985 już zapisała się ciemną kartą w historii naszych miast. Masowe awarie sieci ciepłowniczej i wodociągowej, sygnalizowane ze wszystkich większych i średnich miast kraju, obejmowały całe dzielnice w czasie 15-stopniowego mrozu, pozbawiając ludzi ciepła i wody, a taki Kraków, którego degradacja postępuje w przyspieszonym tempie, przeżył w styczniu wprost katastrofę ekologiczną.



W sumie biorąc, dwa miesiące ostrzejszej zimy nie tylko przekreśliły ubiegłoroczny trend wzrostowy, ale cofnęły nas poniżej poziomu już osiągniętego. A to źle rokuje na przyszłość. Dwa miesiące to jest 1/6 roku, a więc gospodarka już straciła w tym okresie — gdy się podsumuje nie tylko straty w produkcji, ale i wynikające ze wzrostu kosztów — około 1 % dochodu narodowego. Tego się nie da nadrobić do końca roku. Jest również wątpliwe, aby tegoroczne plony dorównały rekordowi z 1984 roku. Wreszcie ubytki produkcyjne, wzrost kosztów i gorsze wyniki w rolnictwie sprawiają, że nie uda się utrzymać owego stanu ograniczonej nierównowagi na rynku. Pieniądze leją się znów szeroką rzeką, a wycofanie się rządu z przygotowywanej podwyżki cen — fatalne z gospodarczego punktu widzenia — wskazuje, że droga do, już nie mówię osiągnięcia równowagi, ale po prostu zahamowania pogłębiającej się znów nierównowagi przy pomocy ruchów cen, została zamknięta. Sytuacja staje się podobna do tej, jaka powstała po czerwcu 1976 roku, tylko przy znacznie niższym poziomie produkcji i stopy życiowej.

Jednak nawet ta negatywna weryfikacja naszej gospodarki w czasie miesięcy zimowych nie stanowi ostatecznego uzasadnienia owej „ostrożnej beznadziejności”, którą podałem na początku jako ocenę sytuacji. Sedno beznadziejności tkwi głębiej. Gospodarkę polską można porównać do nieba, po którym wiatr przegania chmury, ale na różnych poziomach wiatr wieje w różnych kierunkach. Tu nisko wiatr pędzi chmury ze wschodu na zachód i już się wydaje, że niedługo chmury się rozproszą i zaświeci słońce. Ale tam wyżej jest inny, odwrotny kierunek wiatru i ten przypędza coraz to nowe i ciemniejsze chmury i on ostatecznie decyduje o tym, że niebo pogrąży się w mroku. Chmury niskiego pułapu to doraźne procesy gospodarcze, krótkotrwałe tendencje: tu urodzaj, tam kredyty, ówdzie jakaś umowa eksportowa, to znów uruchomienie jakiejś inwestycji, zagospodarowanie jakichś tzw. płytkich rezerw itp. Natomiast chmury wysokiego pułapu to postępujący proces dekapitalizacji majątku trwałego, narastające zadłużenie w stosunku do zagranicy, pogarszający się stan środowiska naturalnego, zwiększanie się dystansu techniczno-cywilizacyjnego wobec Europy i świata oraz narastanie odłożonego popytu, czyli rosnące potrzeby rosnącej ludności (i to potrzeby we wszystkich zakresach: od żywności przez mieszkania aż do książek i rozrywki). Są to procesy ulokowane wysoko i głęboko, i doraźne, krótkookresowe działania nie mogą ich odwrócić, są to procesy tła strukturalnego. Aby zmienić ich kierunek, należałoby dokonać w naszej gospodarce i w naszym społeczeństwie przełomu, a nawet wstrząsu, wobec którego obecna reforma gospo-

darcza, nawet przy jej pełnej realizacji, wydaje się zabiegiem kosmetycznym.

Czy ludzie sobie z tego zdają sprawę? Tak, jedni świadomie, inni intuicyjnie. Czasem świadomość tego stanu rzeczy przediera się na szpalty gazet. Te głosy jawności wymusza — choć brzmi to paradoksalnie — przyjęty system planowania.

PRL ma obecnie wrócić w rytm planu pięcioletniego, nową pięcioletkę trzeba rozpocząć od 1986 roku, a więc już dziś trzeba mieć zarys ogólnego kierunku rozwoju, skali i możliwości działań, ewentualnych trudności i wąskich gardeł. Trwają więc już prace, toczą się dyskusje. I wtedy okazuje się, że to co nas czeka to jest właśnie beznadziejność i że nic właściwie zrobić się nie da.

Oto co mówi w tej sprawie Komisja Planowania. Pierwszym wąskim gardłem jest siła robocza. Nie mamy ludzi. Wynika to po prostu z demografii i tu nic zmienić się nie da. Przyrost ludzi w wieku produkcyjnym w najbliższym pięcioleciu wyniesie 300 tys., a więc 5 razy mniej, niż w latach siedemdziesiątych.

Drugim wąskim gardłem są surowce. Więcej ich nie wydobyjemy niż wydobywamy obecnie, a nawet może być ich mniej. Węgla, a zwłaszcza siarki na pewno będzie mniej pod koniec lat 80-tych. Odbije się to na eksporcie. Ale i dla krajowych potrzeb surowce energetyczne staną się wąskim gardłem.

Majątek trwały, fabryki, urządzenia, maszyny, budynki, infrastruktura ulegają przyspieszonej entropii, dekapitalizują się. Przerwa w dopływie środków inwestycyjnych trwa już 5 lat. Jeżeli potrwa dalsze 5 lat, wówczas nic już nie odwróci kryzysu technicznego, który będzie miał gwałtowny, bo kumulacyjny charakter. Aby temu zapobiec, gospodarka musi odzyskać zdolność inwestowania na poziomie dwukrotnie wyższym niż obecnie. Ale to oznacza — przy obecnym poziomie dochodu narodowego i jego mizernym wzroście — dramatyczny konflikt z potrzebami konsumpcyjnymi, czyli z ludnością.

Długi wobec zagranicy obciążają nas morderczymi odsetkami. Na ich spłatę kierujemy całą uzyskaną nadwyżkę eksportu nad importem. Słowo „uzyskaną” brzmi łagodnie, ale oznacza to rabunkową często mobilizację eksportu i mordercze ograniczenie importu: tak się właśnie uzyskuje tę nadwyżkę. Mimo to wystarcza ona zaledwie na spłatę połowy procentów. Drugą połowę dopisują nam do sumy długu i liczną od niej nowe procenty. Dziś to obciążenie wynosi 28 mld, a za 5 lat ma wynosić 35 mld dolarów.

Środowiska naturalne, ziemia, woda, powietrze, są coraz bardziej skażone. 1/3 ludności mieszka na obszarach, na których



zagrożenie osiągnęło stan alarmowy. Stan śmiertelności na tych obszarach jest taki, że grozi wybuchem paniki. Ten proces trzeba nie tylko zahamować, ale odwrócić, skażenia, zatrucia, zanieczyszczenia zmniejszyć. Ale na to potrzeba ogromnych inwestycji, na które nie ma środków. A więc nie będzie tu poprawy. Najwyżej, ostrożnie licząc, można oczekiwać do 1990 roku zmniejszenia tempa tego procesu. A więc będzie się nadal pogarszać, tylko trochę wolniej.

Rośnie zapotrzebowanie na energię. Przyrost energii ze źródeł konwencjonalnych już się kończy. Trzeba budować w Polsce elektrownie nuklearne. Ale tu powstaje problem ich lokalizacji i na tym tle zrodzą się nowe napięcia.

Ogromnym problemem jest budownictwo mieszkaniowe. Dział okres oczekiwania na mieszkanie w dużych miastach przekracza 15 lat, kolejka oczekujących sięga 2 milionów. Aby zaczęła się zmniejszać, trzeba by budować 400 tys. mieszkań rocznie, co jest niemożliwe ze względów po prostu technicznych. Aby kolejka mieszkaniowa przestała wzrastać, trzeba by budować rocznie 300 tys. mieszkań, co jest technicznie możliwe, ale ekonomicznie nie do udźwignięcia przy obecnym systemie finansowania tego przedsięwzięcia. Obecnie buduje się rocznie mniej niż 200 tys. i cały wysiłek idzie na to, aby nie spaść niżej.

Są jeszcze inne problemy, które w horyzoncie najbliższej pięcioletki nabierają wymiarów nierozwiązalnych. Zwyczajka urodzeń w latach 80-tych rodzi gwałtowną potrzebę inwestycji w pewnych dziedzinach: trzeba budować nowe szkoły w nowych osiedlach i tych szkół musi być 2.000, co będzie kosztować najmniej 1/2 biliona złotych, a więc połowę tego, co wydaje się obecnie na inwestycje w ogóle. Procesy demograficzne rodzą również potrzeby inwestycyjne z drugiej strony demograficznego łańcucha: trzeba budować szpitale.

Każdy z wymienionych tu problemów przekracza obecnie możliwości gospodarki PRL, a łącznie tworzą sytuację nierozwiązalną... w obecnych warunkach polityczno-ustrojowych. Ale naród musi żyć i musi znaleźć rozwiązanie. Wewnętrzne ciśnienie narasta i jeśli trzeba będzie, to rozerwie i odrzuci owe ramy, które czynią życie Polaków nierozwiązalną kwadraturą koła. Wówczas porzucimy również ocenę owej ostrożnej beznadziejskości!

Luty 1985

OBSERWATOR

## Promieniowanie wolnego słowa

Motto:

„Wolne słowo, wolność ubezpieczające”.

### Punkt widzenia

Przypuszczam, że już niedługo jakiś historyk współczesnego życia literackiego napisze bardzo potrzebną książkę o dziejach niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce. Jeśli przyjąć za początki lata 1976-1977, to niebawem kalendarz odmierzy okrągłą rocznicę. Materiałów znajdzie się dużo i zarysowują się pewne okresy w rozwoju tego ruchu: pierwsze inicjatywy za czasów Gierka (z nawiązaniem do sporadycznych przedsięwzięć wcześniejszych); powstanie Niezależnej Oficyny Wydawniczej jako punkt zwrotny i jej działalność do czasów wyłonienia się Solidarności; eksplozja wolnego słowa w ciągu kilkunastu miesięcy względnej swobody; próby fizycznego zniszczenia niezależnego ruchu wydawniczego w pierwszych tygodniach stanu wojennego, chwilowy paraliż wydawnictw; wreszcie odbudowa inicjatyw — od lata 1982 do chwili obecnej, kiedy widzimy, że jeden z najważniejszych (dla komunistów) celów represji nie został osiągnięty. Niezależny ruch wydawniczy skupia się dziś w czterech głównych ośrodkach: Warszawa, Gdańsk, Wrocław, Kraków.

Badacz winien zestawiać statystyki, rozpoznać przedsięwzięcia trwalsze i odróżnić je od efemerycznych, w miarę możliwości określić zasięg pisma czy jego nakład, scharakteryzować tematykę periodyków i programy niezależnych oficyn (albo publikowane wprost, albo dające się wydedukować z układu i doboru tytułów). To wszystko jest do zrobienia, praca żmudna ale konieczna, jeśli chcemy w pewnym stopniu rozpoznać swój czas i opór stawiany przemocy.

Proponuję przyczynek osobisty do tak zaprojektowanej historii — wyznanie kogoś, kto nie tylko z niezależnym ruchem wydawniczym sympatyzuje, ale bierze w nim skromny udział. Nie będzie to więc relacja zobiektywizowana, wręcz przeciwnie: chodzi o odtworzenie stanu świadomości kogoś, kto obserwuje swoich przyjaciół i samego siebie z dystansu Zachodu. Jestem tu na krótko, ale odległość od codziennego „tu-teraz” jest już wystarczająca, by ujrzeć się jakby z zewnątrz, trzecim okiem. Nie mam przy sobie żadnych wydawnictw, notatek, danych liczbo-



wych, pozostaje tylko „ja” i myślenie. Co zostało zapamiętane, musiało być w jakiś sposób dla mnie ważne, więc o tym powiem.

Czas w kraju biegnie niesłychanie szybko, życie jest urozmaicone, gwałtowne i spienione jak nurt tatrzańskiego potoku. Zaprawdę, bojowaniem jest żywot człowieka. Tutaj natomiast, na Zachodzie, czas płynie powoli, dostatnio, bez niespodzianek, a chwilowy przybys ma wrażenie, że tam, w tym ubogim kraju żyło się „naprawdę”, podczas gdy tu wiosłuje się na powierzchni stawu solidnie obudowanego groblą, ogrody strzyżone, ścieżki gracowane, każdy ma wyznaczoną trasę po malowniczych alejkach, pory roku są równie regularne jak posiłki, żadnej improwizacji, żadnej prowizorki, co Polak tak kocha. Nagle więc przeszłość — przeżywana w trosce, napięciach, zziębieniu, „jednym tchem” — rysuje się we wspomnieniu wyraźnie, namacalnie aż do ułudy, a zawsze we fragmentach. Jak to powtarza Szestow za Heinem? *Zu fragmentarisch ist Welt und Leben*. Nie ulepię spójnej całości z odłamków, ale niech chociaż te odpryski przeżytego próbują być kalekim świadectwem.

### *Mroczne siły, „ciemne młyny”*

Rośłem w komunizmie, razem z komunizmem. W miarę jak dorastałem, ustrój karłowaciał i próchniał. Moje pokolenie — dla którego najważniejszym przeżyciem pozytywnym była i jest Solidarność — szczególnie mocno odczuwa odsunięcie od życia publicznego: mamy związane ręce, a kret administracji podgryza nasze korzenie. „Ludzie bezdomni” są dziś zjawiskiem powszechniejszym niż kiedykolwiek wcześniej: ogromny potencjał energii, ambicji i umiejętności nie znajduje w rzeczywistości krajowej autentycznego ujścia. Niewyobrażalna ilość ludzkich sił idzie na marne — i jak to wytłumaczyć tutejszym, zachodnim bezrobotnym?

Student z początku lat 70-tych, nawet humanista, miał dość mgliste pojęcie o rozmiarach cenzury w Polsce. Mało kto, poza kręgiem pisarzy czy dziennikarzy wiedział, jakie są rozmiary zniszczeń w kulturze dokonywanych przez likwidację prawdy. Pamiętam, że dopiero ingerencje cenzorskie nanoszone na odbitkę szczerką zaczęły mi uświadamiać bezkarność siepaczy słowa i bezsilność autora, któremu pozostawała najwyżej odmowa druku. Łatwo zauważyć, iż tym sposobem cenzor szuka współnika w niszczeniu wolnego słowa (jeśli godzisz się na ingerencję) albo wręcz nakłania pisarza do rezygnacji z tematu. I pod tym względem komunizm obnaża swój metafizyczny nihilizm, który żywi się

wartościami, przetrawia je (= manipuluje nimi), i wreszcie wydała zeszmatałwione.

Moje pokolenie przez całą młodość karmione było tak preparowaną papką. W odruchu obronnym nauczyliśmy się czytać prasę na opak, wyszukiwać w błahych wiadomościach podteksty, postrzegać w prześwitach słów odbłask prawdy. Bez należytej wówczas jasności... Jeszcze nie wiedziało się, że nie wszyscy kłamią albo milczą jednakowo, że *Tygodnik Powszechny* czy *Znak* lub *Więź* to nie to samo co cyniczna *Polityka* czy machejkowate *Życie Literackie*. Im bardziej wchodziłem w życie dziennikarskie, w środowisko pisarzy, tym bardziej uczyłem się doceniać niuanse, półtony, aluzje, znajdować w ezopowych tekstach ślady opinii wypowiedzianych prywatnie, prosto w oczy, dosadnie. O ileż barwniejsi byli i są autorzy w ich życiu osobistym, o ileż ciekawszą moglibyśmy mieć literaturę, gdyby nie czerwona dłoń ścisnąca gardła od roku 1945.

Systematyczne myślenie o cenzurze podjął Stanisław Barańczak, którego wykład „Knebel i słowo” dotarł do Krakowa w postaci powielonego i pomniejszonego maszynopisu. O zewnętrznej postaci wolnego słowa za chwilę. Tu chciałbym podkreślić zasługi poznańskiego wówczas polonisty, pozbawionego wówczas pracy na tamtejszym uniwersytecie, poety sławnego — bodaj właśnie fraza Barańczaka, porwana, falująca, zadyszana, pospieszna, najwierniej oddaje to dominujące uczucie zadławienia czy przyduszenia, jakiemu w kraju co pewien czas ulegamy. Słowa Jana Polkowskiego — „Oddychaj głęboko” — pozostają raczej projektem, zamiarem, niż stanem możliwym do osiągnięcia.

Otóż Barańczak z właściwą sobie lekkością i przenikliwością obnaża (lecz i rekonstruuje jednocześnie) mechanizm zjawiska, które można by określić mianem „cenzury totalnej”. O ile poezja Zbigniewa Herberta wspominała o „ciemnych młynach”, o barbarzyńskich Longobardach zstępujących z lodowatych przełęczy na nasze żyzne równiny ni to rzymskie, ni to mazowieckie, z okrzykiem „*nothing, nothing*”, o tyle autor „Niefunych i zadufanych” — odrzucając jakikolwiek ryzsztunek aluzyjny — mówi i mówi wprost. Tego aktu odwagi — do której dojrzywał stopniowo — nigdy mu literatura polska nie zapomni. Co prawda bezpośredni sposób przekazu odbiera poezji urok wieloznaczności, lecz chodzi mi tu głównie o publicystykę, bo to w tej dziedzinie rozpoczęła się walka o przywrócenie kulturze wolnego słowa. Poezja Barańczaka stanowiła rekonesans, zapis intuicji, konieczny skrót; rozwinięcie, uszczegółowienie i uargumentowanie przyniosły dopiero „Etyka i poetyka”, „Czytelnik ubezwłasnowolniony” i (mniej ważne) „Książki najgorsze”.

Pamiętam wykład Barańczaka w sali amfiteatralnej Collegium



Witkowskiego na UJ, na krótko przed wyjazdem poety z kraju. Kilkaset osób, zainteresowanie olbrzymie. Wydaje się, że temperament demaskatorski i intelektualny młodego profesora można by porównywać z pasją Stanisława Brzozowskiego, najbardziej samorodnego i żywotnego pisarza w literaturze polskiej. Było to w pierwszych miesiącach Solidarności, temat dotyczył cenzury, a wykładowca opierał się m.in. na informacjach dwutomowej „Czarnej księgi cenzury PRL”, zestawionej w oparciu o poufne materiały przekazane Komitetowi Obrony Robotników przez młodego pracownika krakowskiej delegatury UKPPIW (Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk), Tomasza Strzyżewskiego. Powiew wolności i prawdy! Ten sam nastrój radości towarzyszył zapewne wykładom Towarzystwa Kursów Naukowych, rozpędzanych z brutalną gorliwością przez gierkowską bezpiekę. Gdy powstaje nowe pokolenie Polaków i upomina się o prawdę, szukając potwierdzenia narodowej tożsamości, natrafia z miejsca na zaciśniętą wokół knuta pięść. Co do tego wyzbyliśmy się złudzeń, ponieważ każdy z nas, urodzony w czasie tzw. „pokoju”, doświadczył na swoim ciele przemocy.

Cenzura totalna dąży do objęcia kontrolą i przymusem wszystkich ogniw procesu komunikacyjnego. Na pozór cenzuruje się wszystkie druki zapobiegawczo (prewencja) a wycofuje z kolportażu rzadko (represja). W istocie element cenzury wbudowany jest w redakcję dopuszczającą tekst do druku, w system rozpowszechniania (państwowy monopol, ustanowiony tuż po wojnie), wreszcie w świadomość autora. Dobrowolne połknięcie knebla oznacza prawdziwy tryumf ideologii nad sztuką. Ponadto cenzura wiąże ręce redakcjom, dawkując papier i farbę drukarską, których w komunizmie dla wolnego słowa brakuje, ograniczając tzw. moce produkcyjne poligrafii, kontrolując wysokość nakładu i rozpowszechnianie. Fakty te, znane nam z codzienności, okazują się nieczytelne dla ludzi Zachodu. Jeśli nawet rozumieją zjawiska poszczególne, to nie pojmują na ogół zasad funkcjonowania całości systemu zniewolenia.

Naświetleniu Barańczaka zawdzięczamy poznanie organizacji terytorialnej i hierarchii cenzury. Korzenie tego polipa oplatają wszystkie miasta wojewódzkie, a za ich pośrednictwem dosięgają najdalszej prowincji. Wierzchołek znajduje się w Warszawie (Wydział Kultury KC) i czerpie inspiracje — *via* ambasada albo wprost — z Kremla. Pisać i mówić o tym przed Solidarnością było dużą odwagą ze strony każdego naukowca lub pisarza przystępującego do Towarzystwa Kursów Naukowych lub inaczej współpracującego z „Latającym Uniwersytetem”. Podkreślam nieustannie rolę autora „Etyki i poetyki”, ponieważ stał się on dla literatury lat 70-tych postacią równie symboliczną, jak Leszek

Kołakowski dla niezależnej filozofii polskiej, niszczonej stale, ale szczególnie przez Gomułę w 1968 roku.

*Powielone niewyraźnie, drobno drukowane*

Pierwsze niezależne czasopisma, przede wszystkim *Biuletyn informacyjny* KOR-u i *Zapis*, docierały do Krakowa jako pojedyncze jaskółki. Czego? Czy spodziewaliśmy się wiosny, pamiętając o pałkarzach rozpędzających zebrania TKN, napastujących Adama Michnika, Halinę Mikołajską, kilkunastu jeszcze literatów, którzy otwarcie, imiennie poparli rodzące się wolne czasopisma? Chodziło przede wszystkim o przełamanie monopolu informacji. O pewność, że z szorstkich kart *Biuletynu* czy *Zapisu*, powielanych prymitywną początkowo techniką biątkową na materiale, który tu, na Zachodzie, nie byłby zapewne uważany za wystarczający do opakowań, ręka cenzora (więc ręka reżymu) nie była w mocy wykreślić ani słowa. Dzięki zdobytej swobodzie odzyskiwaliśmy zaufanie do „naszych” redaktorów, „naszych” pisarzy. Tworzyło się wolne środowisko, „my”, doceniający prawdziwość, prostą uczciwość, rzetelność i obiektywizm w przedstawianiu faktów. Oba czasopisma wyglądały szaro, nieefektywne, ludzie nie mający kontaktów z humanistyką, inżynierowie, którym pokazywałem rzadkie wówczas egzemplarze, wzruszali lekceważąco ramionami: „No, mogli się postarać o lepszy papier, powielacz”. Albo znów inni, sceptycy: „Co? Niezależne czasopismo? Z nazwiskami, adresami, podkładać się tym chuliganom do bicia? Jesteście naiwni, z czym wychodzicie naprzeciw czołgom?”. Byli wreszcie i tacy, którzy od razu oświadczyli, poirytowani, że nie chcą mieć z tym nic wspólnego, że szkoda czasu, zwracanie głowy (a pod tym wszystkim owo charakterystyczne, niewolnicze przeświadczenie, o którym pisał Miłosz: jeśli reżym odrzuca jakieś wartości, to tym samym są to wartości wątpliwe, niegodne uprawy i stróżowania).

Ludzi poważnie studiujących tzw. bibułę (określenie to zniknęło właściwie w miesiącach Solidarności) spotkałem niewielu, głównie wśród inteligencji uniwersyteckiej. Obojętne, fizycy czy filologowie, zachowywali zdrowy rozsądek, poczucie godności i tęsknili za odrobiną prawdy, jak za kroplą czystej, źródlanej wody. Ostatnia książka Tadeusza Konwickiego wydana oficjalnie, „Kalendarz i klepsydra”, publikacja w latach gierkowskich niezwykła, po części wycofana z księgarni na skutek interwencji KC, wyraża tę tęsknotę otwarcie, choć na poły żartobliwie.

Pokoleniowo rzecz wygląda następująco: najwięcej czynnych, energicznych zwolenników zyskiwał niezależny ruch wydawniczy



wśród studentów, młodszych pracowników nauki, którzy intuicyjnie wyczuwali w powielonych karteluszkiach zapowiedź. Czytali znacznie więcej niż teksty: pomiędzy surowymi, suchymi faktami przeblyskiwało nagle, nieoczekiwanie „póki my żyjemy”, „jeszcze nie zginęła” „wolną racz nam zwrócić, Panie”. Średnie pokolenie okazywało z zasady największą powściągliwość, bojaźń i niewiarę, wyrażającą się słowami „czy to cokolwiek zmieni?”. I wreszcie, co było najpiękniejsze, pokolenie dziadków natychmiast, z tą samą gorliwością, która dźwignęła Polskę w 1918 roku, zaczęło udzielać „bibule” poparcia (przepisywanie, transport, mieszkania). Przez wiele pokoleń wędruje legenda domowa, która dzięki Piłsudskiemu potwierdziła się: kiedy zaczyna krążyć bibuła, niepodległość przestaje być postulatem politycznym, staje się w pewnym stopniu rzeczywistością. Słowa są mocniejsze od karabinów, mają moc projektowania rzeczywistości, wypierają ze świadomości tę sieczkę kłamstwa i propagandy, jaką tłoczy w nas szmatława prasa.

Więc nawet nie to, żeby tylko przeczytać wiersze Zagajewskiego wydane w krakowskim KOS-ie (Krakowska Oficyna Studentów) czy zeznania Moczarskiego na temat metod śledczych UB. Ale postawić te szczuplutkie, skromne książeczki na półce, obok opasłych, zadbanych, dobrze odżywionych — jak reżymowi pisarze — tomów i powiedzieć: „A my już drukujemy dla siebie, koniec z pokaleczonymi, wykastrowanymi publikacjami”. W tym momencie objawia się moc promieniowania bibuły, przenika całą bibliotekę, przeświecła inne książki, okaleczone i ostemplowane przez cenzurę.

*Zapis*, powielany na dużym formacie maszynopisowym, świetnie redagowany, jednoczący środowisko literackie. Z chwilą powstania tego czasopisma oficjalni wydawcy zaczęli uważniej przyglądać się do nieprawomyślnych rękopisów. Skoro zbuntowany autor może porwać skrypt i przekazać go wydawcy wolnemu, trzeba pertraktować, ograniczać cenzurę redakcyjną, a z urzędowym cenzorem inaczej rozmawiać — każda radykalna konfiskata może skierować tekst w obieg niezależny. Im większe prawdopodobieństwo, że tak się stanie, tym większa konkurencyjność w stosunku do monopolu państwowego. Komunistom wymykał się z rąk rząd dusz; nieznacznie, chyłkiem, zgrzytając zębami musieli iść na ustępstwa. A siła? A przemoc? Najważniejsze narzędzia polityczne tego ustroju. Na krótką metę można powsadzać wydawców, pisarzy, polikwidować nielegalne drukarnie. Ale później? Zaresztować wszystkie w Polsce maszyny do pisania, wycofać ze sprzedaży papier piśmienny, kalkę, pióra i długopisy?

Komunista przeczuwa, że nastąpiło nieodwracalne przesunięcie w obrębie świadomości. Wyłoniła się w warstwie inteligenc-

kiej grupa osób tak oddanych prawdzie, mających taki (biologiczny już niemal) wstręt do kłamstwa i niedomówień, że żadne represje ich nie powstrzymają. Nawet za kratami więzienia zorganizują niezależną prasę, choćby na skrawku papieru toaletowego, na kartce wyrwanej z kalendarza, na odrobinie białego płótna. Gdyby czerwony znał choć trochę dzieje cywilizacji, a szczególnie książki, ze zdziwieniem stwierdziłby, że prześladowanie słowa wyzwala ogromnie zasobne i elastyczne reakcje obronne. Kto powiedział, że pisać trzeba na papierze? Można i na korze brzożowej lub okrawkach skóry — sposoby wypróbowane przez przodków. Niezależny wydawca sięga do dawniejszej formy pisma, wędruje w czasie, a jest to swoista zabawa, niepozbawiona uroku i bardzo skuteczna. Raz jeszcze należy samemu wynaleźć recepturę na atrament (esencja od herbaty?), na farbę drukarską czy powielaczową (są tacy, którzy potrafią ją zrobić z pasty do podłóg). Tworzywo na książkę tkwi wszędzie, wolne słowo domaga się artykulacji, poszukuje fundamentu fizycznego. Przemysłowość ludzka jest olbrzymia i taki fundament wynajdzie, choćby to miało być na powrót pismo klinowe.

Oto zarysowała się jeszcze jedna perspektywa, kulturowa, ogólna. Walka z wolnym słowem jest w istocie wyzwaniem rzuconym całej cywilizacji śródziemnomorskiej. Jeżeli komuniści wydają się, że likwiduje po rewizji ileś tam kilogramów powielonego papieru, jest w błędzie. Nie o papier chodzi i nie o powielacze. Od pierwszych wieków chrześcijaństwa najtęższe głowy pracowały nad pomnożeniem książki. Od rękopiśmiennego zwoju poprzez rękopiśmienny kodeks doszliśmy w ciągu przeszło dziesięciu wieków do wynalazku druku, który okazał się największym sprzymierzeńcem wolnego słowa. Zniszczyć pojedynczy kodeks pergaminowy, a uchwycić nakład kilkuset egzemplarzy — to różnica dość zasadnicza, rozumując kategoriami policyjnymi, charakterystycznymi dla mentalności komunistów. Rozwój technik reprodukcyjnych w drugiej połowie naszego stulecia sprawia, iż książka może się mnożyć jak bakterie: z jednego wydrukowanego egzemplarza (a taki się zawsze w kraju uchowa albo zostanie przemycony zza granicy), w stosunkowo krótkim czasie, bez konieczności składu, metodą np. fotooffsetową, można w warunkach niemal domowych wyprodukować setki czy nawet tysiące sztuk potrzebnego tytułu. Cała trudność polega na zdobyciu kosztownego sprzętu, odpowiedniej jakości papieru, materiałów poligraficznych i introligatorskich. Gdy tego brak, sięgamy do najprostszych technik, do powielaczy robionych chałupniczo i wedle recept niemal harcerskich. W ostateczności pozostaje maszyna do pisania, kalka, papier przebitkowy — za każdym przepisaniem z jednej sztuki (ulotki, biuletyny, nawet *Zapis* był początkowo



tak rozpowszechniany) otrzymuje się 5-8 egzemplarzy. Niewiele? Przy solidarnej akcji społecznej tekst pomnożony zostaje w postępie geometrycznym i w krótkim czasie obejmuje wszystkich zainteresowanych.

### *Wychowanie czytelnika, budowanie wspólnoty*

Pracownicy Służby Bezpieczeństwa, zwani potocznie „ubecją” lub „esbecją” (rzadziej „bezpieką”), co pewien czas otrzymują rozkaz przeczesania miasta czy osiedla. O tej samej porze, zwykle wcześniej rano, dobijają się do drzwi podejrzanych z nakazem rewizji w ręku. Lista zostaje wcześniej przygotowana, zapewne przy użyciu zakupionych na Zachodzie komputerów. Obława paraliżuje komunikację, w chwili wejścia na teren mieszkania policja przerywa łączność ze światem, abyśmy nie mogli ostrzec kolegów lub innych zagrożonych. Wszyscy są zatrzymani, nawet dzieci. Przed wypuszczeniem do szkoły poddaje się je rewizji osobistej, sprawdza zawartość tornistra; wychodzą przekonane o ważności swej osoby dla sprawy Solidarności.

Smutni panowie grzebią bezwstydnie w osobistych notatkach, przewracają w szafach damską bieliznę, starannie przeglądają półki z książkami. Znamy tę nudną i upokarzającą rutynę policyjną, kiedy wypasieni, zdrowi mężczyźni zajmują się czynnościami niegodnymi swej płci. Ekipa z tryumfem wydobywa z półek małe tomiki Herlinga-Grudzińskiego (najbardziej zacytany jest „Inny świat” oraz „Dziennik pisany nocą”), gruby tom „Szkiców o literaturze emigracyjnej” Danilewicz Zielińskiej, poezje Barańczaka, Krynickiego, nawet arkuś poetycki J. M. Rymkiewicza „Ulica Mandelsztama”. Zostaje „zakwestionowana” teczka z ulotkami zbieranymi w czasie stanu wojennego i komplet pisma 13 Grudnia, przemianowanego później na 13, o linii liberalno-konserwatywnej. Na podłodze rośnie stos książek sowietologicznych, Besançon, Sołżenicyn, Zinowiew, podpadają oczywiście świetne szkice krytyczne Andrzeja Drawicza, piszącego staranną, precyzyjną polszczyzną („Inna Rosja”, „Pytania o Rosję”). Natomiast łaskawie zostaje odstawiony na miejsce cały Miłosz, drukowany oficjalnie i nieoficjalnie. Podobnej łaski dostępują Gombrowicz, Stempowski, Hłasko.

Właściciel nie bez zdumienia przekonuje się, że w czasie stanu wojennego uzbierała mu się całkiem pokaźna biblioteczka. Ręka esbeka wydobywa z zakamarków nawet te pozycje, o których sądziło się, że zginęły albo zostały komuś pożyczone na nieoddanie. Przy okazji wymiata z kątów kurze, wciskające się do kra-

kowskich mieszkań wszystkimi szczelinami i w tempie zatrważającym dla najwytrwalszej gospodyni. Wielkie „sprzątanie” trwa długich kilka godzin. Nadchodzi wreszcie ważna chwila: sporządzenie protokołu zatrzymanych publikacji. Tego trzeba dopilnować, bo karteluszek pozostawiony przez SB stanowi jedyny ślad po uprowadzonych, szczupłych książeczkach. Co tu ukrywać, przykro jest żegnać tomiki, z którymi spędziło się ciche wieczory czy noce. O tych intymnych, bezinteresownych przeżyciach trudno mówić najbliższemu, bo wygląda to zawsze na zdradzanie tajemnic miłości. Tak, nie ukrywam, kocham te książki prawdomówne, jestem im wierny, chętnie na nowo — jak by powiedział Jan Błoński — romansuję z nimi, szukając horyzontu wolności. Są kartki płonące blaskiem, zdania jakoś szczególnie trafnie sformułowane, osadzające się w pamięci, by nagle, już po wielu tygodniach (np. w areszcie) wypłynąć w przypomnieniu, które jest niezastąpioną pociechą.

Literatura niezależna wychowuje sobie czytelnika nie tylko poprzez obcowanie z policją, choć to doświadczenie — na pozór negatywne i destrukcyjne — odkrywa nieprzeczuwaną siłę kultury jako całości. Najkrócej mówiąc, w obecności szperającego policjanta wszystkie książki stają solidarnie przeciwko bezceremonialnemu, płytkiemu, instrumentalnemu grzebaniu. Już nie ma podziału na słowo cenzurowane i wolne, wyłania się podział na słowo kultury i słowo przemocy. Literatura odrzuca uniform milicyjny czy wojskowy, biblioteki nie da się przeobrazić w koszary. SB w gabinecie pisarza, naukowca czy publicysty znajduje się w miejscu dla siebie najnieodpowiedniejszym i, co ciekawe, funkcjonariusze na ogół to sobie jakoś uświadamiają. Wahanie policjanta stanowi, jak sądzę, optymistyczny prognostyk. Jest to fakt potwierdzony doświadczeniami kilku różnych osób i w różnym czasie.

Czytelnik literatury niezależnej zdaje sobie sprawę, że wolnemu słowu trzeba pomóc poprzez zasiłki pieniężne, materiałowe, udział w kolportażu. Książka traci charakter przedmiotu handlu czy przedmiotu niosącego teksty, staje się wezwaniem do działania. Bodaj żaden typ literatury nie przeobraża tak skutecznie ludzkich postaw, jak właśnie te skromne, często niewyraźnie odbite książeczki, nieporównanie uboższe od produktów państwowej poligrafii. Na czym polega owo działanie?

Przed wszystkim na dzieleniu się posiadaniem dobrem. Bywa przecież, że poruszeni jakimś utworem (tak przeżyłem np. „Dzieje rodziny Korzeniewskich” Wańkowicza) pytamy kolegów i przyjaciół: „To znasz? A to czytałeś? A o tym co sądzisz?”. Pożyczamy innym, pożyczamy od innych, przy okazji zawsze dyskutujemy, choć przez chwilę. Niezależny obieg słowa ożywia wy-



mianę myśli, uczynnia intelektualnie dużą część społeczeństwa; rzadko doprawdy książka oficjalnie wydana budzi taki rezonans i takie — fizyczne również — poruszenie czytelników. Wśród młodzieży szkół średnich i studentów powstają spontanicznie grupy samokształceniowe, zakładane są zakonspirowane — jak za carskich czasów (por. „Syzyfowe prace”) — biblioteczki podręczne, ufundowane głównie w oparciu o rodzimą literaturę niezależną.

Czytelnik staje się chłonny, czujny, nieprzekupny, nabiera dystansu do państwowych mass mediów, uodparnia się na kłamstwo, uczy się wyrafinowanej lektury druków oficjalnych, która przynosi przecież szereg dających do myślenia tekstów, kon-tekstów, relacji aktualnych *per analogiam*. Ileż książek ocenzonego trzeba umieć właściwie przeczytać... Okazuje się więc, że ostateczną instancją opowiadającą się po stronie prawdy, wolności, honoru jest „ja” czytelnika, „człowiek wewnętrzny”, jakby rzekł św. Paweł, w swych istotnych decyzjach zachowujący suwerenność. Z biegiem czasu rozumiemy coraz lepiej, a jasne stało się to w czasie stanu wojennego, iż najpierwotniejszym źródłem wolności w Polsce jesteśmy my sami, poszczególni i solidarnie razem stojący. Jeżeli bowiem każde „ja” poszczególne w swym działaniu codziennym upomina się o prawdę i przy wolności stróżuje, wówczas sumuje się również społeczna przestrzeń swobody czy zaufania. Wobec solidarności sumień (metafora ks. Józefa Tischnera) blednie i wiotczeje system oparty na sile czy kłamstwach: trzeba być w kraju, trzeba to wciąż na nowo, w radosnym zaskoczeniu, przeżywać.

Osobliwie czujnymi czytelnikami, zaiste wietrzącymi pismo nosem, okazało się pokolenie najstarsze, pamiętające moment wskrzeszenia Polski. Tych ludzi wychowała historia, a komunizm — olbrzymiej większości — nie zdołał zachwiać ani zdemoralizować. Nasi dziadkowie od początku mówili wyraźnie: „To jest okupacja sowiecka”, „ONI kłamią tak, że nie warto słuchać”, „tu nie ma gospodarza, w tym kraju, tu są Rosjanie”. Pamiętam, jak w marcu 1968 oni właśnie przekazywali sobie ulotki przepisywane na bladym, drzącym papierze przebitkowym, a każdy nieoficjalny strzępek przynosił rozbłysk nadziei, obietnicę, że jest wreszcie ktoś, kto odważył się myśleć i mówić, a nawet to zapisać. Każda ulotka, każde efemeryczne czasopismo z lat gierkowskich było pikietą wolnej Polski. Regularnie rozpowszechniane wolne słowo porównać można z kolei do skuteczności sporego oddziały partyzanckiego, gnębiącego placówki okupanta. Już nawet nie chodzi o to, żeby się bili i strzelali, ale — że są, że się pojawiają, że wytaczają mocne, niepodważalne argumenty.

Utkwił mi w pamięci zarzut człowieka z tamtej generacji, scho-

rowanego emeryta, wpłacającego jednak na konto NOW-iej jakies niewielkie pieniądze: „Ten Urban, ten bezczelny kłamca, że też on siwych włosów nie uszanuje”. W tym zdaniu najważniejsze jest chyba to, że Polacy o siwych włosach, jeśli już dożyli, pozostają na ogół wierni ojczyźnie.

#### *Smak owocu zakazanego*

Nie jest przypadkiem, iż twórca Niezależnej Oficyny Wydawniczej, Mirosław Chojecki, oraz jego najbliżsi współpracownicy byli ludźmi młodymi. Dzięki świeżości spojrzenia, jeszcze nie ustabilizowani i nie zepsuci przez kompromisy moralne temu procesowi towarzyszące, mogli jasno określić stopień zakłamania naszej kultury. Najdotkliwsze wyrwy dostrzegało się w dziedzinie humanistyki; nauki przyrodnicze, matematyczno-fizyczne, inżynieryjne — choć niesamowicie w stosunku do Zachodu opóźnione — nie podlegały równie przemyślanej kontroli i selekcji. Ale wystarczyło skierować spojrzenie na obszary historii, literatury, filozofii, krytyki, socjologii... Białe plamy, martwiejące ugory, szaleńczy wyrąb żywotnego lasu. A zarazem pieczołowita pielęgnacja przez partię roślin wątlých, zdegenerowanych, wręcz trujących. Księgarnie polskie, pełne utworów przez nikogo nie chcianych i nie czytanych opisywano wielokrotnie, więc raczej kilka zdań o „książkach nie istniejących”, jak je nazywał Wojciech Karpiński w miesięcznikach Solidarności na łamach *Tygodnika Powszechnego*.

W połowie lat 70-tych legendarnym pisarzem starszej generacji był Gombrowicz, znany z wydań krajowych, od czasu do czasu nawet do kupienia w antykwiariatach (ktoś zdobył przedwojenne wydanie „Ferdydurke”, ktoś inny „Bakakaj”). O istnieniu „Dziennika” mało kto w ogóle wiedział, a jeśli już, to nie czytał; komplety pism tego autora miały tylko biblioteki sieci narodowej, niektóre naukowe, a wszędzie wydania emigracyjne opatrzone adnotacją „Res” (= *reservata*, zbiory zastrzeżone). Przemycany ze zmiennym szczęściem do kraju, wychwytywany przez celników jak trujący chwast, zasłużył sobie na wrogość komunistów chyba głównie ze względu na postawę intelektualną: nieufność do sformalizowanych autorytetów, lekceważący stosunek wobec myśli zdogmatyzowanej (popularna wersja marksizmu), uprawianie permanentnego błażeństwa raczej niż kapłaństwa, wyczuwaną szerokość horyzontów filozoficznych — z osobnej pozycji, uniwersalnej a zarazem głęboko osadzonej w polskości, potrafił Gombrowicz, jeszcze przed Miłoszem, ocenić niebezpieczeństwa sowietyzacji Polski. „Bądź sobą, pozostań sobą”, napominały karty „Dziennika”, jesteś ostatnią twierdzą polskości i jeśli



ty skapitulujesz, urodzony po wojnie, kultura nasza osunie się w niebyt. Pod pancernem ironii czy finezyjnej gry literackiej ukrywa się Gombrowicz już nie prześmiewca, ale czujny pedagog, mistrz taktyki antytotitarnej.

Nie jest więc przypadkiem, że jeszcze przed miesiącami Solidarności zawiązuje się niezależne wydawnictwo „Klin”, które uprzystępnia czytelnikowi krajowemu prawie cały dorobek Gombrowicza i wkrótce potem się rozwiązuje czy też zanika. Widzimy dziś wyraźnie: spuściznę autora „Ferdydurke” można podzielić na prozę poniekąd „użytkową”, właśnie pedagogiczną, kierowaną wprost do czytelnika, niemal przezroczystą, łatwo przyswajalną („Dziennik”, „Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie”; „Rozmowy z Dominikiem de Roux” — bo tak raczej winien brzmieć tytuł ostatniej pozycji) oraz na utwory *stricto* artystyczne, nieporównanie bardziej wieloznaczne, trudniejsze w interpretacji i znajdujące uznanie mniejszej grupy czytelników (proza, dramat). Gombrowicz jako autor form dyskursywnych stał się dla nas pamiętnym objawieniem, w pewnym sensie też nauczycielem najbardziej godnym zaufania i powabnym, przez wdzięk połączenia myśli filozoficznej z łatwo przyswajalną, wysoce komunikatywną formą *quasi*-felietonu. Krakowskie Wydawnictwo Literackie po raz któryś już z rzędu zapowiada wydanie pism Gombrowicza — jeśli nawet do tego dojdzie, nikt oficjalnie nie wspomni o wysiłku niezależnych wydawców, którzy wcześniej rozpowszechnili cały prawie dorobek autora „Pornografii”.

Nieco młodszy Miłosz, dziś klasyk, dość ostrożnie podgryzany i oskubywany przez cenzurę, w połowie lat 70-tych należał do autorów całkiem przemilczanych. Pamiętam „Traktat poetycki” czy „Wiersze” docierające do Krakowa przez kurierów NOW-ej, wzruszenie wiernego czytelnika, odkrywającego istnienie wydawcy o tym samym guście. Było to na parę lat przed Noblem, policja bezwzględnie konfiskowała Miłosza w czasie rewizji, nie spodziewając się — zresztą jak i my wszyscy, ze skrzydła opozycji — że to, co dotąd szeptane było do ucha („Zniewolony umysł”), już niedługo z dachów będzie rozgłaszane i stanie się własnością każdego niemal kulturalnego Polaka. Jeszcze przed Solidarnością rozwijać się zaczęła inna legenda, związana z osobą Mirosława Chojeckiego, świetnego organizatora, łączącego, co nie tak częste u intelektualistów, ogromną sprawność organizatorską z dużą i wciąż pogłębianą wiedzą humanistyczną.

Systematyczne lektury Miłosza stały się możliwe dzięki kilku oficynom: oprócz NOW-ej założyły się gdańska „Młoda Polska”, krakowski KOS i ABC. I znów epizod ściśle związany z Solidarnością: autor „Ziemi Ulro”, opędzający się niecierpliwie od dziennikarzy, otoczony niewielką grupką młodzieży, podąża ulicą

Św. Anny, obok Pałacu pod Baranami, potem Wiślana, gdzie ludzie oglądają się zdumieni niecodziennym widokiem — Znaczna Osobistość (kto?... ) idzie piechotą, bez eskorty, bez czarnego, trumiennego samochodu, jakby poirytowany, w tempie bynajmniej nie dostojnym. Przed bramą *Tygodnika Powszechnego* fotografowie, długi, ciemnawy korytarz, drewniane schody na piętro, gdzie, za pancernymi drzwiami, spotkanie z niezależnymi wydawcami. Stoją ci młodzi bezradni, wyciągają milcząco małe książeczki, z każdego kąta dostaje Miłosz jakąś swoją rzecz. Jak tego jednak dużo, jak pracowity jest ten niewysoki, skupiony w sobie mężczyzna, ni to chmurny, ni to wesoły, zdaje się mocno zmęczony euforią młodzieży. Różnica wieku: studenci zaledwie przekroczyli dwudziestkę i nie wiadomo dlaczego, podobnie jak ci w Warszawie, uważają Miłosza za młodzianka, gdy tymczasem przeskoczyć pół wieku, w tę czy w tamtą stronę, nie jest tak łatwo, nie od razu.

Miesiące Solidarności... Lato było upalne, przynajmniej czerwiec, wolne słowo krążyło bez ograniczeń, nastąpiło wielkie święto obfitości, karnawał kultury. Pracowaliśmy na całego, na najwyższych obrotach, nie dosypiając, nie dojadając, z niejasnym lecz nurtującym w podświadomości przekonaniem, że ta uniesiona kłapa, to wrzenie musi być — wcześniej czy później — w jakiś sposób przyduszone, zdławione. A naszym obowiązkiem jest zagospodarować książkami i wolną prasą ten stan wyjątkowy, nadrukować ile się da, na zapas, żeby starczyło dla wielu następnych roczników. Miłosz przekraczający próg Collegium Novum, w szpalerze studentów, w tłoku, w błyskaniu fleszów. Wyrwany przez pomyślny los ze swej samotni, wydany na wścibską ciekawość świata. O ileż pełniej dawał się poznać poprzez swoje słowo, w cichej lekturze, w tempie umiarkowanym, jak krok rozmyślającego przechodnia o wieczornej porze.

Czy wolne słowo promieniuje skutecznie? Ależ oczywiście, przedostaje się przez sito cenzury, rozsada tamy budowane tak wytrwale przez tow. Szmaciaka, wyrwa się z opieczętowanych magazynów bibliotecznych. Przepędzone z ugorów oficjalnego życia kulturalnego, rozkwita w żyźniejszym podziemiu. Albo nagle, dość nieoczekiwanie, usadawia się w programie akademickim lub staje się przedmiotem solidnych badań krytycznych jako „literatura żyła obecna”. Jeden z młodszych wykładowców uniwersyteckich wyrysował „mapę twórczości Cz. Miłosza”, na której — w porządku chronologicznym i rozwojowym — umieścił cały dorobek poety, ułożony w pewne pasma (poezja, esej, prace edytorskie i przekładowe, proza, antologie i podręczniki), a dopiero przy takim równoczesnym unaocznieniu okazało się, jak wyjątkowym oraz wszechstronnym jest Miłosz twórcą oraz jak ciekawie



sąsiadują ze sobą np. wiersze i eseistyka, pozostające w stosunku wzajemnego samo-się-objaśniania. Aż żal, doprawdy, że Mickiewicz nie pisał esejów tego typu, bo listy i wykłady to jednak co innego.

Trzeci pisarz zakazany właściwie przed Solidarnością, czytany ukradkiem, Hłasko, rozpowszechniony został znów dzięki ośrodkowi krakowskiemu (KOS, ABC), a dopiero potem przez wydawnictwa państwowe i telewizję. Ponieważ pomijanie dokonań wydawców niezależnych należy do stałych praktyk oficjalnego życia kulturalnego, wygląda na to, że odważny redaktor TV odwiedza matkę pisarza i przeprowadza z nią wywiad, a inny odważny wpada na świetny, choć dość oczywisty pomysł wznawiania rzeczy zakurzonych w partyjnym archiwum książek wyklętych. W rzeczywistości społeczeństwo samo, własnymi siłami zdecydowało się drukować dla siebie literaturę, a państwowi redaktorzy podbiegają chyłkiem, żeby nie zostać zupełnie z tyłu.

Ten rozpęd, nadany kulturze po Sierpniu, nie został wyhamowany ani przez stan wojenny, ani przez tyranie obecnej cenzury. Mamy w kraju mocne poczucie możliwości drukowania tekstów najpotrzebniejszych, a zarazem osobliwej łączności ze wszystkimi ważniejszymi wydarzeniami emigracji. Zwierzam się z uczuć całkiem subiektywnych: otóż obserwuje się fakt przed 1980 nie do pomyślenia, a dziś urzeczywistniający się wbrew szykanom komunistów — dwa uprzednio odrębne nurty literatury (więc i kultury), emigracyjny i krajowy, spływają do jednego łożyska. Każdy twórca, który pozostał „dobrym Polakiem” i potrafi upomnieć się o prawdę i wynagrodzenie ludzkiej krzywdy, ma trwałę oparcie społeczne: niezależnych wydawców, czytelników, krytykę, suwerenną hierarchię wartości. Świetnie o tym pisze Kazimierz Brandys na kartach „Miesiący”, książki niezwykle ważnej, świadectwa lat przełomowych (z upływem czasu coraz lepiej rozumieć będziemy ten *quasi*-dziennik i w dziejach współczesnej literatury, i w twórczej biografii samego pisarza).

W tym miejscu o jeszcze jednym wzruszeniu i motywie zapamiętanym. W latach 60-tych, wśród niesłychanie łąpczywych i niesystematycznych lektur, trafiły mi się z rzadka tomy „Biblioteki Kultury” w charakterystycznej, szarej okładce, z wytłoczoną fakturą płótna. Radosne poruszenie serca — a więc są książki nieokaleczone, prawdomówne, trwa wolna kultura polska. Trzeba było jeszcze kilku dobrych lat, aby ocenić w pełni „dziejową misję”, jakby powiedzieli marksiści, spełnianą przez Instytut Literacki w Paryżu. Gdyby nie teksty, przyrastające systematycznie w ciągu 30 lat, wybuch wolności sierpniowej wyglądałby ubogo. Na pewno zabrakłoby solidnego zaplecza intelektualnego, które nigdy nie powstaje natychmiast, lecz wymaga dziesiątków lat na

wyłonienie się talentów, wyostrenie piór publicystycznych, zaprogramowanie działalności nakładczej. Czteryście tomów zgromadzonych przez Instytut Literacki to najcenniejszy kapitał polskiej literatury dwudziestowiecznej — mówię to w imieniu czytelników krajowych, z pozycji człowieka nie związanego żadnym interesem z *Kulturą*, poza podziwem i wiernością dla prawdy. Podobnie brzmi głos Krzysztofa Dybciaka, który na IBL-owskiej sesji na jesieni 1981, tuż przed stanem wojennym, omawiał „Literacką działalność Instytutu Literackiego” [rzecz przedrukowana w tomie „Literatura źle obecna (Rekonesans)”, Polonia Book Fund, London 1984, str. 11-23].

Dzięki nowoczesnej poligrafii mogliśmy pojedyncze egzemplarze eseistyki Jerzego Stempowskiego, świetnej prozy Herlinga-Grudzińskiego (ten został „odkryty” w kraju po Gombrowiczu, Miłoszu, Hłasce i stanowi dla młodych czytelników wielką niespodziankę; myślę tu przede wszystkim o „Innym świecie”, który powinien wejść do kanonu lektur przynajmniej uniwersyteckich, o opowiadaniach, „Dzienniku pisanym nocą”) rozmnażać przez wielokrotną reprodukcję offsetową. Nasza niepoprawna miłość do „Biblioteki Kultury” oplakiwała nawet rzeczy tak drugorzędne, jak zmianę kroju czcionki, okresową rezygnację z okładki wytłaczanej w deseń tkaniny. Olbrzymia większość krajowych reprintów ukazuje się w formacie o połowę pomniejszonym i czasem dobrze trzeba wyteżać oko. Sceptycy, średnie pokolenie, przyglądają się nam bez entuzjazmu: „Ech, wy, wzrok przy tym potracicie”. Zapewne, w jakimś stopniu, lecz jakże zarazem rozjaśnia się wzrok wewnętrzny. Urok doświadczenia ewangelicznego, kiedy rzeczywiście w naszym skomunizowanym „tu-teraz” spełnia się obietnica: „Prawda was wyzwoli” (słowa Chrystusa niesione na transparentach, w czasie pielgrzymek Jana Pawła II).

### Doznanie ciągłości

O tym, jak niesłychanie okaleczana jest humanistyka polska od roku 1945 przekona się ten, kto chciałby np. napisać podręcznik współczesnej literatury polskiej. Nawet w najciemniejszych latach zaborów poloniści uniwersyteccy dążyli do stworzenia takiej syntezy, my natomiast nie zdobyliśmy się na wyczerpującą, scalającą dokonania emigracji i kraju historię dzisiejszej sztuki pisarskiej (angielski podręcznik Miłosza jest po części próbą w tej materii najambitniejszą — i wciąż nie może się doczekać publikacji przekład na język czytelnika najbardziej kompetentnego).

W miarę zapoznawania się z literaturą emigracji — tu nieocenione zasługi mają „Szkice...” Danilewicz Zielińskiej i dwutomo-



wa praca pod redakcją T. Terleckiego — odczuwamy potrzebę równoległego zestawienia obu nurtów procesu historyczno-literackiego. Okazuje się wówczas, że literatura Polski Ludowej, dość pobieżnie i czysto informacyjnie przedstawiona przez Włodzimierza Maciągą, w konfrontacji z literaturą emigracyjną staje się polem wyraźnie ograniczonych poszukiwań artystycznych. Nie jest jeszcze tak źle, jak przy porównaniu romantycznej literatury wychodźczej z tą powstającą pod knutem, ale luki, przemilczenia, gimnastyka pisarza pod komendę cenzury lub mecenasu są widoczne jak na dłoni.

Tym bardziej imponują twórcy (i środowiska, np. Znak) jakby z natury niepodatni na kompromis, przekupstwo, drukujący oficjalnie, ale tylko to, co potwierdza „ja” pisarskie. Spójrzmy uważnie na tych, którzy zawsze stali przy prawdzie... W poezji postacią już dziś symboliczną jest oczywiście Zbigniew Herbert, którego twórczość coraz lepiej rozumiemy i coraz właściwiej interpretujemy (pod tym względem istotnym krokiem naprzód, a raczej w głąb, będzie książka Stanisława Barańczaka, znana w kraju z audycji radiowych i już w tej wersji przyjęta bardzo ciepło). W prozie z pewnością Jan Józef Szczepański zasługujący w pełni na książkowe omówienie, czego doczekali się mierniejsi pisarze współcześni. Swoisty język i metaforyczny porządek świata przedstawionego wynalazł z jednej strony Stanisław Lem, w obszarze prozy pozornie związanej z *science fiction*, z drugiej zaś, w powieści niby-historycznej, trudny w lekturze Teodor Parnicki, w ostatniej dekadzie pisarz mniej w powieściach (nie w esejach i autobiografiach) komunikatywny, cokolwiek rozwlekły, a przez to nużący. Wreszcie w krytyce literackiej takim prawdopodobnym pozostaje Jan Błóński i jego świetni koledzy z krakowskiej szkoły polonistycznej: Andrzej Kijowski, Ludwik Flaszen, Konstanty Puzyna. Dwaj ostatni piszą jednak rzadko, jakby od niechcenia.

Front oporu moralnego w Polsce współczesnej obejmuje więc rozbudowanymi przyczółkami szeroki horyzont życia kulturalnego. Obieg niezależny pełni rolę wyraźnie zasilającą i uzupełniającą, a jednak niezastąpioną. Nie udało się komunistom zakneblować Tadeusza Konwickiego, Wiktora Woroszyńskiego, Kazimierza Brandysa, pokolenia 68 i tylu innych. Ku czemu to idzie? Pytanie postawione na wyrost. Raczej: ku czemu to szło? Ku wolności i prawdzie. Na tej niełatwej drodze zrobiono w Polsce w ciągu ostatnich ośmiu lat więcej, niż można było teoretycznie zakładać. Wbrew straszakom generalicji następne lata — przy nagromadzonym doświadczeniu — winny być dla wolnego słowa łatwiejsze.

Józef Wojciech GADOMSKI

listopad-grudzień 1984

## KOMUNIKAT PROKURATURY GENERALNEJ

W niektórych państwach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych funkcjonuje szereg ośrodków prowadzących działalność na szkodę interesów PRL. Od wielu lat znane są z dywersyjnej działalności: „Radia Wolna Europa” i tzw. Instytut Literacki w Paryżu — wydawca *Kultury*, *Zeszytów Literackich* oraz *Zeszytów Historycznych*. W ostatnich latach powstały dalsze struktury prowadzące tego rodzaju działalność, wśród nich tzw. Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za granicą z siedzibą w Brukseli, wydawnictwo „Kontakt” w Paryżu, a także mająca wyraźnie terrorystyczny charakter organizacja pn. „Pomost” w USA oraz szereg innych.

Bezspornie stwierdzono ich mniej lub bardziej zakonspirowane współdziałanie ze służbami wywiadowczymi lub innymi agendami państw prowadzących nieprzyjazną Polsce politykę. Wspólnym celem jest szkolenie nazemu państwu różnymi dostępnymi środkami mającymi wpływać na destabilizowanie sytuacji wewnętrznej, osłabianie pozycji międzynarodowej, a także obronności i bezpieczeństwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Publikacje i audycje tych ośrodków godzą w konstytucyjny ustroj państwa i jego naczelną organy, rozpowszechniają kłamliwe, oszczercze wiadomości, podburzają i instruują do poczynań naruszających spokój społeczny. Z ich inspiracji i dzięki wsparciu finansowemu i materialno-technicznemu — organizowane są także akcje znieważające i zagrażające bezpieczeństwu osób i instytucji PRL za granicą.

Wielu obywateli polskich poinformowało, że podczas pobytu poza granicami kraju, było nakłanianych do współpracy na szkodę Polski. Stwierdzono, że niektóre osoby również z własnej inicjatywy, kierując się różnymi motywami, często materialnymi, same podejmują się udziału w tego rodzaju działalności.

Prokuratura Generalna przypomina, że współpraca z wrogimi Polsce ośrodkami zagranicznymi jest przestępstwem i podlega karze przewidzianej w przepisach prawa oraz ostrzega przed odpowiedzialnością, która — w obronie interesów państwa i obywateli — będzie surowo i z całą konsekwencją egzekwowana.

(Trybuna Ludu z 4 marca 1985)

Komunikat Prokuratury Generalnej jest kolejnym etapem wojny ze środowiskami intelektualnymi. Pierwszym było drastyczne ograniczenie przydziału papieru dla prasy katolickiej, zagrożenie miesięczników *Znak* i *Więź* oraz pogróżki generała Jaruzelskiego pod adresem „niepokornych” księży. Uderza przy tym ignorancja jeśli idzie o „wrogów” PRL, jak np. potraktowanie *Zeszytów Literackich* jako wydawnictwa Instytutu Literackiego czy też określenie „Pomostu” jako organizacji terrorystycznej. Widać, że brakობstwo ogarnia nie tylko życie gospodarcze, ale również służby bezpieczeństwa.

## „EMISARIUSZE”

Swoistym *curiosum* był wywiad mec. Siły-Nowickiego, udzielony *Voice of America*. Dość powiedzieć, że zacytowano go z życzliwym komentarzem w tygodniku *Tu i teraz*, redagowanym do niedawna przez Koźniewskiego. W tygodniku, którego czołowym publicystą jest Jerzy Urban. To już zakrawa na surrealizm.



Mec. Siła-Nowicki ma piękną kartę jako obrońca. Był ofiarą represji: w latach 1947-1956 siedział w więzieniu, w tym trzy lata w celi śmierci. Mecenas bardzo podkreślał, że występuje jedynie we własnym imieniu, ale opinia polskiej emigracji i Departamentu Stanu traktowała go jako przedstawiciela niezależnego społeczeństwa (jeżeli nie wręcz Kościoła czy Solidarności). Nie pierwszy to wypadek tego rodzaju: nie tak dawno popisywał się w Stanach i Kanadzie, budząc zdumienie i zgorzsenie, Aleksander Małachowski.

Byłoby może wskazane, by ludzie o znanych nazwiskach związani z Solidarnością powstrzymywali się na Zachodzie od wypowiedzi publicznych, jeżeli nie mają po temu konkretnych mandatów od ważniejszych ośrodków opozycji; jeżeli je zaś mają, niech to otwarcie i wyraźnie powiedzą. Będzie wówczas przynajmniej wiadome, do jakich ich mandatariuszy należy kierować takie czy inne uwagi (krytyczne lub nie). Powstaje też pytanie, czy funkcja doradców Solidarności z okresu jej legalnego istnienia podlega weryfikacji w nowych okolicznościach działań podziemnych, czy jest uważana za dożywną.

Prócz „emisariuszy” rośnie ostatnio w Stanach fala „obiektywnych informatorów”, przeważnie uczonych, pisarzy etc. Tryskają na ogół optymizmem, mówiąc na uniwersytetach a często i w przybudówkach Departamentu Stanu o obecnej sytuacji w PRL. Ten optymizm jest na pozór ich prywatną sprawą, nikt więc nie może im odmówić prawa „obiektywnego informowania” amerykańskich i emigracyjnych rozmówców. Wolno natomiast, a nawet trzeba, doradzić im skoncentrowanie się przede wszystkim na formalnych, naukowo-kulturalnych, celach ich podróży. Nie powinno się płacić zbyt wysokiej ceny za otrzymany paszport...

REDAKTOR

### WZNOWIENIA FOTOOFFSETOWE

Kazimierz BRANDYS — **Miesiące 1980-1981**  
(Tom II) F. 55,00.

Witold GOMBROWICZ — **Transatlantyk**  
F. 40,00.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — **Inny Świat**  
F. 60,00.



W najbliższym czasie będzie do nabycia komplet mikrofilmów ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70) w cenie \$ USA 250,00 lub równowartość. Zgłoszenia można nadsyłać już obecnie do redakcji KULTURY.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Jedenastego marca o drugiej po południu TASS zawiadomił świat, że poprzedniego dnia zmarł Konstanty Czernienko. Tę smutną nowinę ukrywano przed narodem sowieckim stosunkowo krótko. Komunikat TASS-a kończył się, jak zawsze, wzruszająco i ufnie: „Konstanty Czernienko, wybitny przywódca partii komunistycznej, nieugięty bojownik o pokój i ideały komunizmu, na zawsze pozostanie w sercach narodu sowieckiego i całej postępowej ludzkości”.

Cztery godziny po wiadomości o śmierci generalnego sekretarza narodowi sowieckiemu zakomunikowano, że został wybrany następca. Jeśli zważyć, że wybór Biura Politycznego musiało zatwierdzić KC, czyli około 500 osób, z których niektóre mieszkają bardzo daleko od Moskwy, tempo jest oszałamiające. Być może powtórzono „operację Chruszczowa”, który w 1957 roku zwiózł do Moskwy samolotami wojskowymi członków KC, aby plenum zmieniło skierowaną przeciwko niemu uchwałę Biura Politycznego. Być może wszyscy zjechali się już wcześniej, jakby faktyczna śmierć Czernienki nastąpiła na długo przed jej ogłoszeniem (takie przynajmniej wrażenie mieli ludzie oglądający go na ekranach telewizyjnych 28 lutego, po dwumiesięcznej nieobecności).

W doskonałej powieści „Wszystko płynie” Wasilij Grossman świetnie opisuje rolę planowania w ZSSR: zaplanowane są kolejne „oburzenia”, „swobodne dyskusje”, powszechna miłość do wodza itd. Aż nagle 5 marca 1953 umiera Stalin: „Ta śmierć wdarła się w gigantyczny system zmechanizowanego entuzjazmu oraz zadekretowanych przez rajkomy wybuchów gniewu i miłości ludu. Śmierci Stalina nie było w planie, kierownictwo nie wydało w tej sprawie żadnej dyrektywy. Stalin umarł bez osobistej decyzji towarzysza Stalina. Ta samowola śmierci była jak dynamit, godziła w podstawy państwa”.

Trzydzieści trzy lata i pięć dni później znowu umarł generalny



sekretarz. Przez te lata ustrój sowiecki zdołał poskromić „samowolę śmierci” i włączyć ją do systemu planowania.

Śmierć Czernienki nie tylko nie zaskoczyła ludzi sowieckich, ale została przyjęta z ulgą. Od dziesięciu lat na czele partii stoją chorzy generalni sekretarze. Od 1982 roku już trzeciego kładą do grobu. Trzeciej śmierci towarzyszyły pewne zmiany w rytuale, które być może były osobistym wkładem nowego generalnego sekretarza. Po raz pierwszy gazety z wiadomością o śmierci niezapomnianego wodza ukazały się bez czarnej żałobnej obwódki i bez fotografii nieboszczyka na pierwszej stronie. Tekst orzeczenia lekarskiego jest niejasny. Zachodni specjaliści byli przekonani, że Czernienko cierpiał na niewinną rozedmę płuc. Lekarze sowieccy wykryli u niego dodatkowo marskość wątroby. Z encyklopedii sowieckiej dowiedziałem się, że „przyczyną marskości wątroby są: alkoholizm, syfilis, malaria, pewne trucizny itp.”.

Ujawnienie słabości zmarłego nie było konieczne. Chyba, że chciano mu pośmiertnie zyskać popularność. Zważywszy, że według ostatnich oficjalnych danych Związek Sowiecki liczy sobie około 40 milionów alkoholików, Czernienko był autentycznym przedstawicielem swego narodu.

Błyskawicznie wybrany następca Czernienki — Michaił Siergiejewicz Gorbaczow — był jednym z dwu oficjalnych kandydatów. Tylko on i Grigorij Romanow byli zarazem członkami Politbiura i sekretariatu KC. Należy się domyślać, że „żelazni starcy” z Biura uzyskali od Gorbaczowa gwarancje, że nie naruszy ich przywilejów. Dlatego wybrano „młokosa”, który 2 marca skończył 54 lata.

Na Zachodzie największe wrażenie zrobiła właśnie „młodość” nowego generalnego sekretarza. Jest on rzeczywiście o 20 lat młodszy od swego poprzednika. Przypomnijmy jednak, że Lenin w wieku 54 lat już nie żył, a Stalin został jego następcą mając 43 lata. Chruszczow i Breżniew mieli w chwili objęcia władzy 59 i 58 lat. Mimo to „młody wiek” Gorbaczowa można uważać za coś niezwykłego. W siedemdziesiątym roku swego istnienia system sowiecki organicznie potrzebuje starych przywódców. Gdyby nie żart historii, która dwóch kolejnych generalnych sekretarzy obdarzyła słabym zdrowiem, Gorbaczow (czy ktokolwiek inny) doczekałby się swojej kolejki za jakieś 5-10 lat i objąłby władzę w wieku „dojrzałości socjalistycznej”.

Potrzeba starych wodzów wynika z totalitarnej natury systemu. Totalną władzę nad krajem sprawuje partia, wódz partii musi rozporządzać władzą, która pozwoli mu utrzymać się na stanowisku do biologicznego końca. Ponieważ zaś opiera się na wiernych sobie ludziach, także oni pozostają na stanowisku do śmierci. Ostatnie nominacje potwierdzają tę charakterystyczną cechę „dojrzałego socjalizmu”: po śmierci 76-letniego ministra obrony Ustinowa stanowisko jego objął marszałek Sokołow, lat 74; w marcu 1985 posłem w Japonii, kraju ważnym w strategii ZSSR, mianowany został Piotr Abrasimow, lat 73, niegdyś poseł

w NRD i Polsce. Czyż można się dziwić, że minister „średniego przemysłu maszynowego” (pod tą nazwą kryje się przemysł atomowy) Efim Sławskij skończy w tym roku 87 lat?

Historia Związku Sowieckiego zna naturalnie czystki, w tym czystki stalinowskie, a i „pokojoy” Breżniew posłał na zieloną trawkę niemało członków Politbiura. Dziś jednak są to posunięcia wyjątkowe i spotykają tylko przeciwników generalnego sekretarza. W zasadzie Michaił Gorbaczow może zostać na swym stanowisku 30-40 a choćby i 50 lat (jeśli weźmiemy w rachubę przyszłe zdobycze medycyny sowieckiej).

To jednak muzyka przyszłości. Tymczasem nastąpiła wreszcie zmiana pokolenia, której tak wyczekiwał Zachód, uparcie wierzący, że któregoś dnia na Kremlu zasiądzie miły demokrata, reformator i liberał. Prasa zachodnia nie pożałowała Gorbaczowowi różowych barw: sympatyczny, czarujący, ma poczucie humoru, planuje liczne pozytywne zmiany. Nowego generalnego sekretarza chwali się jeszcze bardziej niż w swoim czasie Andropowa, choć wydawało się to trudne. Pewien angielski parlamentarzysta oświadczył, że w osobach Michaiła i Raissy Gorbaczowów Związek Sowiecki nareszcie znalazł odpowiednik Johna i Jackie Kennedych.

Życiorys i kariera Michaiła Gorbaczowa są mało znane. To co wiemy, pozwala od razu na jeden wniosek: stoimy w obliczu typowego sowieckiego przywódcy. Gorbaczow urodził się na wsi w rejonie Stawropola, na przedgórzu Kaukazu. Oficjalna biografia podaje: w latach 1946-1950 pomocnik kombajnisty. Ma to oznaczać, że obecny *gensek* wie, co to praca. Prawdopodobnie pracował na roli w czasie wakacji szkolnych, skoro w 1955 roku ukończył prawo na Moskiewskim Uniwersytecie. W ten sposób trzydzieści lat później w Biurze Politycznym znalazł się drugi po Leninie prawnik. Obu prawników łączy to, że nigdy nie wykonywali wyuczonego zawodu. Gorbaczow został w czasie studiów sekretarzem wydziałowej organizacji komsomolskiej, a po dyplomie pojechał z powrotem do Stawropola, od razu po linii komsomolskiej. Był sekretarzem miejskiego, a potem rejonowego komitetu komsomolu miejskiego, a potem rejonowego komitetu partii. W roku 1978 zrobił gigantyczny skok w górę: został sekretarzem KC. Mówi się, że jego dobroczyńcą był Michaił Susłow, który przez wiele lat pracował w Stawropolu. Starcy z Politbiura z Breżniewem na czele zgodzili się zapewne przyjąć w swe regei młodzika Gorbaczowa, bo chętnie podjął się niewdzięcznego zadania, jakim jest zarządzanie rolnictwem ZSSR. Najbardziej przekonującym dowodem specjalnych uzdolnień Gorbaczowa jest fakt, że chronicznie katastrofalny stan rolnictwa sowieckiego w niczym nie zaszkodził jego karierze (w przeciwieństwie do wielu innych). W 1980 roku wybrano go do Biura Politycznego po rocznym stażu w szeregach zastępców członka. Gorbaczow wszedł do najbardziej ekskluzywnego klubu na świecie, który skupia kandydatów na stanowisko generalnego sekretarza.

Komentatorzy zachodni, wyliczający liczne zasługi nowego



wodza, podkreślają, że za czasów Stalina był jeszcze dzieckiem, wojny nie przeżył, słowem jest nowy, młody i piękny. Być może. Nie ulega jednak kwestii, że władzę w ZSSR objął człowiek ukształtowany przez 30 lat służby w partii, w tym 22 w Stawropolu. W audycji telewizyjnej z pogrzebu Czernienki stojący na mauzoleum wodzowie różnili się między sobą tylko czapkami.

Podobno umierający Mikołaj I prosił swego następcę, przyszłego Aleksandra II o przebaczenie: „Wybacz, że oddałem berło w złej chwili”. Był rok 1855, Rosja przegrała wojnę krymską i było oczywiste, że kraj został w tyle za Zachodem. Podczas swego ostatniego wystąpienia w telewizji Konstanty Czernienko wypowiedział tylko jedno słowo, które można uznać za jego testament. W odróżnieniu od reakcjonisty Mikołaja I marksista Konstanty I tchnął optymizmem. Jedyne słowo, jakie wymówił, brzmiało: *Choroszo*.

Nie wiemy, co miał na myśli. Być może ogólny stan sowieckiego świata. Być może cieszył się, że został wybrany do Rady Najwyższej ZSSR, a wraz z nim wszyscy pozostali kandydaci, na których we wszystkich republikach poza RFSSR głosowało 99,99 % (w RFSSR do urn stawiono się tylko 99,33 %, ale fakt, że młodszy bracia głosują lepiej niż starszy też jest powodem do radości).

To *choroszo* mogło dotyczyć wielu innych posunięć kierownictwa sowieckiego. Tuż przed wyborami np. Biuro Polityczne podjęło uchwałę „o lepszym zaopatrzeniu ludności w obuwiu”. Komunikat o tej uchwale podkreśla, że właśnie „tow. K. U. Czernienko dostrzegł, że wzrastające potrzeby ludności nie są w pełni zaspokojone”. Chory generalny sekretarz z obolałą wątrobą wszystko widział, zauważył nawet, że z butami nie jest najlepiej. Biuro Polityczne natychmiast zareagowało: zdecydowano zastosoować środki, które do 1990 roku zapewnią wszystkim obywatelom sowieckim świetne obuwiu. Równocześnie podjęto jeszcze jedną uchwałę: KC KPZS i Rada Ministrów postanowiły „zaoopatrzyć w telefony wszystkie przychodnie lecznicze, szkoły, przedszkola i żłobki, obozy pionierskie oraz przedsiębiorstwa usług materialnych i kulturalnych w rolniczych miejscowościach”. Po rozszyfrowaniu znaczy to, że kraj, który skierował na Europę Zachodnią setki rakiet SS-20 i setki innych rakiet na Stany Zjednoczone, który produkuje tysiące bomb nuklearnych, postanowił zainstalować na wsiach telefony. Do 1990 roku. Zwróćmy uwagę, że uchwała nie mówi, że telefony na wsi będą również telefonami prywatnymi. To będzie zapewne zadaniem na koniec trzeciego tysiąclecia.

Nie sądzę, aby Czernienko zdążył przeczytać list, jaki ukazał się w *Komsomolskiej prawdzie* 13 lutego. Z listu wynika, że wszystko jest wprawdzie dobrze, ale nie najlepiej. Czytelnik podpisujący się „Siergiej W.” już w pierwszych słowach bierze byka za rogi: „Dzień dobry, szanowna Redakcjo! Pragnę zadać Wam, a za Waszym pośrednictwem czytelnikom, następujące py-

tanie: czy mam prawo nazywać się komsomolcem, jeśli przestałem wierzyć w komunizm?”.

Nie ma chyba takiego sowietologa, który nie pisałby o „zaniku wiary w komunizm” w Związku Sowieckim. Niektórzy, pomni epoki żarliwego entuzjazmu rewolucyjnego, uważają to za powód do rozpacz, inni za jeden z symptomów rozkładu wewnętrznego. Tak np. mówił w wywiadzie dla Wolnej Europy 19 stycznia 1985 profesor Zbigniew Brzeziński: „Jest wyraźny brak wiary ideologicznej”.

„Siergiejowi W.” i sowietologom odpowiada na łamach *Komsomolskiej prawdy* konsultant pisma *Kommunist* A. Frołow. Konsultant poucza: „Komunizm to rzecz zbyt poważna, by wystarczało weń wierzyć”. „W komunizm trzeba nie wierzyć, ale znać go i rozumieć”. Konsultant mógł dodać, że „wierzący komuniści” są szkodliwi, że w swoim czasie zajął się nimi poważnie Stalin i że na braku wiary polega siła systemu sowieckiego.

„Wierzący” zresztą jeszcze istnieją, głównie w szeregach wierznych przyjaciół Związku Sowieckiego. Jeden z nich opowiedział parę słów o sobie na łamach *Literaturnoj gazety* (6 lutego 1985). Gdyby Czernienko mógł przeczytać jego spowiedź, na pewno powiedziałby *choroszo*.

„Wierzący”, o którym mówię, nazwany został przez sowiecką gazetę „polskim pisarzem Andrzejem Przypkowskim”. Przyznaję, że nie słyszałem o takim pisarzu. Może to oczywiście wynikać z mojego słabego odczytania w polskiej literaturze. Dziwi mnie jednak, że sam Andrzej Przypkowski wspomina tylko o jednej swojej książce, wydanej w 1976 roku po ukraińsku w Kijowie, dodając, że ta sama książka zostanie wkrótce wydana po rosyjsku w Moskwie.

Opowiadanie „polskiego pisarza Andrzeja Przypkowskiego” znowu mi przypomniało wywiad prof. Brzezińskiego, którego tekst nadesłali mi przyjaciele z Monachium. Zbigniew Brzeziński wypowiada w nim myśl, do której doszedł na pewno po wnikliwej analizie wszystkich przesłanek. Proces zachodzący w Polsce od śmierci Bieruta profesor Brzeziński nazywa „procesem polonizacji reżymu narzuconego Polsce od zewnątrz”. Nie ograniczając się do stwierdzenia zjawiska, o które można by się spierać, prof. Brzeziński poddaje je ocenie: „...ogólny charakter reżymu komunistycznego rządzącego Polską powoli się polonizuje. I w tym sensie uważam Jaruzelskiego za postępowiejszy w porównaniu z Bierutem...”.

Wystąpienie „polskiego pisarza Andrzeja Przypkowskiego” potwierdza tezę prof. Brzezińskiego: reżym się polonizuje. Pytanie, czy należy to uważać za postęp?

Posłuchajmy jednak A. Przypkowskiego.

Wszystko zaczęło się w 1942 roku, kiedy zaczął pracować w wywiadzie podziemnym, gdzie zbierał rozmaite informacje, które „przekazywano sztabom sowieckim”. Potem dostał się do obozu, z którego uciekł: „I tak doczekałem się lutego 1945 roku, kiedy po raz pierwszy spotkałem żołnierza radzieckiego. Pamię-



tam, jak rzuciłem mu się w ramiona i poczułem się wolnym człowiekiem. Po raz pierwszy w życiu". „Tak — pisze 'polski pisarz Andrzej Przyppkowski' — zaczęła się moja przyjaźń z narodem radzieckim, z armią radziecką, przyjaźń która przetrwa do końca moich dni".

Najwięcej radości przysporzyło Czernience zapewne przerwanie mistrzostw świata w szachy. To była prawdziwa demonstracja siły! Na oczach całego świata, nie licząc się z nikim i niczym, przy pomocy wiernego przyjaciela przerwano mistrzostwa, bo zaszła obawa, że wygra je szachista nie mający poparcia najwyższej instancji. Mógłby kto spytać: co to za różnica, czy Karpow, czy Gasparow? Nie: Gasparow ma i narodowość nie tę, co trzeba, i wiek nie ten, i zbyt jest porywczy. A poza tym uchwalono, że wygra Karpow.

Jak dowcipnie zauważył pewien amerykański dziennikarz, jeśli można było przerwać mistrzostwa, to wszystko jest możliwe. Na przykład to, że KGB kazało Bułgarom najać Turka do zabicia papieża w celu ujarzemia Polski.

Adam KRUCZEK

13 marca 1985

## Kronika niemiecka

Wychodzący w podziemiu krajowy *Tygodnik wojenny* (nr 101) donosi o wspólnej odezwie 16 czechosłowackich i 14 NRD-owskich działaczy opozycji demokratycznej, wzywającej do likwidacji rozmieszczonych w Europie Wschodniej sowieckich pocisków nuklearnych. ■ Na statystycznego obywatela NRD przypada w chwili obecnej dwa razy więcej prądu niż na Polaka. ■ Zawarty został kontrakt między polskimi firmami *Animex* i *Rolimpex* a bawarską firmą *Alexander Mockser* z Buchloe, przewidujący w zamian za dostawę z Polski 80 tys. ton żyta import z RFN ok. 10 tys. ton wieprzowiny. ■ Znana oficyna *Econ-Verlag* w Düsseldorfie wydała bogato ilustrowany (1120 stron, 2000 tys. fot.) album pt. *Der zweite Weltkrieg (Druga wojna światowa)*. Autorem imponującej pracy jest Janusz Piekalkiewicz. ■ W miejscowości Hagen (Nadrenia-Westfalia) zmarł prof. Andrzej Kamiński. W czasie wojny żołnierz AK i więzień obozów koncentracyjnych w Gross-Rosen i Litomierzycach (ČSR), ukończył po wojnie studia prawnicze w Poznaniu, zdobywając następnie doktorat z historii. W PRL ogłosił szereg tendencyjnych prac naukowych dotyczących spraw niemieckich. Od 1973 roku przebywał w RFN, a od roku 1977 był profesorem historii najnowszej na *Uniwersytecie* w Wuppertalu. Na emigracji wydał poważną pracę źródłową na temat historii obozów koncentracyjnych. ■ Książka Jerzego Holzera — „*Solidarność*” 1980-1981. *Geneza i historia* (*Institut Literacki*, Paryż 1984) ukazała się drukiem również w języku niemieckim w monachijskim wydawnictwie *C.H. Beck-Verlag*. Tłumaczenia dokonały Monika Müller i Maria Hegedorn. Pracę przygotował do druku dr Hans Henning Hahn, młody historyk, asystent *Uniwersytetu* w Kolonii. Patronat nad wydawnictwem objął *Institut Historii Socjalnej* w Amsterdamie. ■ W związku z różnymi wewnętrznymi niesnaskami kuratorium *Niemieckiej*

*Sekcji Międzynarodowego Towarzystwa Obrony Praw Człowieka (IGFM)*, z siedzibą we Frankfurcie n/Menem — opuścili ostatnio: prof. Martin Kriele, wybitny prawnik i Władimir Bukowski, znany rosyjski pisarz. ■ Andrzej Wajda jest jednym z tegorocznych laureatów *Nagrody im. Gottfrieda von Herdera*, przyznawanej przez hamburską *Fundację F.V.S.* (20 tys. marek). Ponadto wytypowany przez laureata młody narybek otrzymuje z *Fundacji* stypendium w wysokości 9 tys. marek na roczne studia na dowolnie wybranej wyższej uczelni wiedeńskiej. ■ W ciągu pierwszych dwóch miesięcy bież. roku 2.700 mieszkańców NRD otrzymało zgodę władz na osiedlenie się w Republice Federalnej; wśród nich znalazło się również kilkunastu obywateli NRD, którzy niedawno schronili się w ambasadzie RFN w Pradze (160 osób) i później dobrowolnie powrócili do Niemiec Wschodnich po otrzymaniu zapewnienia, że ich wnioski o zezwolenie na przesiedlenie do RFN zostaną rozpatrzone ponownie. ■ RFN jest obecnie pierwszym partnerem handlowym PRL spośród krajów zachodnich; pod koniec 1984 roku eksport do RFN zwiększył się o 27 % i przekroczył poziom 1980 roku, uznawanego za najlepszy rok w stosunkach handlowych z Republiką Federalną. Mimo tej dynamiki polski import osiągnął zaledwie ok. 69 % tego, co PRL zakupywała w 1980 roku. Obecnie zakupy przekraczają znacznie 2 mld marek rocznie, dokonywane są wyłącznie za gotówkę. ■ W uznaniu zasług „w walce o pokój i postęp społeczny, za działalność antyfaszystowską i literacką”, szef *PRON-u* — Jan Dobraczyński otrzymał w Berlinie Wschodnim odznaczenie im. Ottona Nuschke. Nuschke był wicepremierem rządu NRD w okresie stalinowskim. ■ 10 zachodniemieckich firm posiada stałe przedstawicielstwa w Warszawie (Japończycy — 17; Anglicy — 15). ■ Stary klasztor zakonu kapucynów w Bensheim w diecezji Mogunckiej przejęli polscy zakonnicy, franciszkanie z Katowic; przeorem został o. Egidius Tic. Bp Karl Lehmann: „Oznaką pojednania jest fakt, iż polscy zakonnicy pełnić będą służbę bożą w Niemczech, mimo że naród polski doświadczył tylu cierpień od mych rodaków”. ■ Kanclerz federalnego rządu, Helmut Kohl podczas debaty nad *Raportem o stanie państwa* w *Bundestagu*: „Podkreślamy moc prawną *Układu* zawartego w Warszawie zarówno obecnie, jak i w przyszłości, oraz zawarte w nim pomiędzy RFN i PRL porozumienie o nienaruszalności granic i respektowaniu terytorialnej integralności i suwerenności wszystkich państw w Europie w ich dotychczasowych granicach. (...) Na terenach nad polską granicą zachodnią żyją dziś rodziny, dla których te terytoria stały się w okresie dwóch generacji ojcowizną. Fakt ten respektujemy i nie zamierzamy go podważać”. ■ Niemiecka premiera sztuki Ireneusza Ireduńskiego *Terrorysta* odbyła się w Getyndze w reżyserii Jana Kulczyńskiego. Bardzo pochlebna recenzja na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* ogłosił Werner Schulze-Reimpell. ■ *Powiedziane po niemiecku* — to tytuł radiowego kursu języka niemieckiego rozgłośni *Deutschlandfunk*. Lekcje nadawane są we wtorki na falach krótkich w pasmach 25 i 19 metrów w godz. 18.30 do 19.30 oraz w czwartki na falach średnich w paśmie 195 metrów o godz. 19.45. *Deutschlandfunk* wysłał pod ręczniki bezpłatnie: *DLF*, Postfach 51 06 40, D-5000 Köln 51. ■ Mianem idiotów i zaślepienców określił Hans Apel, wiceprzewodniczący frakcji *SPD* w *Bundestagu*, tych funkcjonariuszy ziomkostw i innych polityków, którzy zamierzają uczestniczyć w *Zlocie Ślązaków* w Hanowerze latem br. ■ Wystawa interesujących prac fotograficznych Ryszarda Dąbrowskiego (ur. w Szczecinie; w 1982 roku „jednokierunkowy” paszport do RFN) była prezentowana w zachodniobermberskiej *Fotogalerie im Wedding*. Starannie wydany katalog ze szczegółowymi objaśnieniami ułatwił zwiedzającym zapoznanie się z życiem codziennym sąsiadów na wschód od Odry. Podobno ciekawa była rozmowa i dyskusja z bywałcami galerii, którą prowadził prof. Jerzy Holzer. ■ Nowy przewodniczący *Partii Wolnych Demokratów*



(FDP) Martin Bangemann mówiąc o stosunkach z Polską powiedział, że jego partia traktuje istniejące w tej chwili w Europie granice jako nienaruszalne — i dzisiaj, i w przyszłości. Bangemann dodał, że oczekuje, iż kanclerz RFN Helmut Kohl wyjaśni wypędzonym Ślązakom, że pełne złudzeń rojenia ich funkcjonariuszy nie mają nic wspólnego z polityką zagraniczną Republiki Federalnej. ■ W *Kronice niemieckiej* szereg razy zwracaliśmy uwagę na fakt sprzeniewierzenia przez rząd PRL RFN-owskich odszkodowań dla pozostałych przy życiu polskich ofiar nazistowskich eksperymentów. Wacław Piątkowski, b. ambasador PRL w Republice Federalnej, wydał obecnie swoje wspomnienia pt. *Moja misja nad Renem* (KAW, Kraków 1984). Na str. 92 czytamy: „Do moich zadań (...) należało doprowadzenie do końca sprawy zadośćuczynienia dla ofiar hitlerowskich eksperymentów pseudomedycznych (...). Ważny był również sam sposób zadośćuczynienia — poprzez *Międzynarodowy Czerwony Krzyż*, z możliwością wypłaty na miejscu, w Polsce każdemu uprawnionemu. Życzenia RFN były inne. Proponowano, że wypłaty dokonywane będą w trybie indywidualnym, przy ustalaniu uprawnień w każdym przypadku przez RFN. Na to jednak strona polska w żadnym wypadku nie mogła przystać. Pragnę przy tym podkreślić, że późniejsze wykorzystanie uzyskanej kwoty — około 100 mln marek — nie wchodziło w zakres mych kompetencji. Jednak uważam, że niezgodnie z przeznaczeniem użycie pieniędzy jest po prostu rzeczą niegodną. Dobrze, iż obecnie władza błąd naprawia”. Piotr Jaroszewicz miał być sądzony m.in. za „potrącenie” z bońskiego funduszu odszkodowawczego kwoty 19 mln i przełanie tych pieniędzy na konto *Urzędu Rady Ministrów*, na jakiś bliżej niesprecyzowany „fundusz specjalny”. Śledztwo przeciwko Jaroszewiczowi umorzono, „królików doświadczalnych” przy życiu pozostała garstka, reszta okryta milczeniem... ■ W Warszawie ukazała się w nakładzie 20 tys. parodystyczna powieść kryminalna Macieja Rybińskiego *Balladyna Superstar* (MAW, Warszawa 1984), oddana do druku w 1980 roku. Rybiński, pozbawiony po 13 grudnia 1981 roku prawa publikacji w PRL, wyemigrował w końcu 1982 do RFN i mieszka w Bonn; był pomysłodawcą i współautorem parodii *Szpilek*, wydanych w Londynie. ■ W 1984 roku 4.200 obywateli polskich zwróciło się do władz zachodniemieckich z prośbą o azyl polityczny. Status uchodźcy otrzyma prawdopodobnie zaledwie 20 %. Niektóre kraje związkowe wystąpiły z żądaniem wyraźnego zastrzeżenia przepisów dotyczących udzielania azylu. Za zniesieniem wszelkiego rodzaju przywilejów, z których korzystali dotąd mieszkańcy Europy Wschodniej, m.in. Polski, opowiedział się jako pierwszy *Senat* Hamburga. ■ Prokuratura w Bochum prowadzi śledztwo przeciwko firmie spedycyjnej w Recklinghausen, transportującej paczki z RFN do PRL. Ostatnio paczki nie docierały do odbiorców; znaleziono je w magazynie firmy w Hamm (oczywiście żywność uległa zepsuciu). Policja wykryła ponadto, że sprzeniewierzone zostały także przesyłki pieniężne. ■ W ub. roku *Fundacja im. Konrada Adenauera* (St. Augustin k/Bonn) uzgodniła program współpracy z *Katolickim Uniwersytetem Lubelskim*. Pierwszą imprezą w ramach tej współpracy była wspólna konferencja na temat encykliki *Laborem exercens*, która obradowała w St. Augustin (24 luty - 2 marzec br.). Zbliżona do CDU *Fundacja* zaprosiła uczestników ze strony polskiej w liczbie 13 osób, głównie z KUL-u, ale także z ATK w Warszawie i z *Fakultetu Papieskiego* we Wrocławiu. Na temat encykliki LE mówił prof. Jan Krucina (Wrocław); rolę Kościoła i znaczenie chrześcijańskich nauk społecznych omówił prof. Joachim Kondziela (KUL); wykład na temat znaczenia pracy w encyklice LE miał prof. Helmut Juroś (ATK); sprawy funkcjonowania rynku w PRL omawiał prof. Stefan Kurowski (KUL); problematyka i znaczenie spółdzielczości były przedmiotem wykładu prof. Rafała Krawczyka (KUL); seminarium poświęcone formie własności, podziałowi własności i postępowi społecz-

nemu prowadził prof. Józef Majka (Wrocław); wykład o wydajności i zasadzie subsydiowania miał prof. Władysław Piwowarski (KUL); zasada równości i sprawiedliwości społecznej w różnych systemach gospodarczych i społecznych została potraktowana w referacie dr Zygmunta Drozdka (KUL). Oczywiście na te same tematy mówili także zachodniemieccy naukowcy. W toku konferencji jej uczestnicy odbyli spotkanie z przewodniczącym *Bundestagu* Phillipem Jenningem (CDU), i w toku tego spotkania zostali zaproszeni na salę obrad *Bundestagu*, gdzie wysłuchali przemówienia kanclerza Helmuta Kohla (*Raport o stanie narodu*). Osobą patronującą z ramienia *Fundacji Adenauera* był b. minister federalny — Bruno Heck. ■ *Bońska Fundacja im. Friedricha Eberta* (SPD) urządziła w swojej siedzibie okazałą wystawę foto-dokumentalną poświęconą *Powstaniu Warszawskiemu*. ■ *Szpilki*, PRL-owskie czasopismo satyryczne, obchodzące w tym roku trochę prawem kaduka swe 50-lecie, mają wystawę w *Galerie d'Art* w Iserlohn w Nadrenii-Westfalii. Witold Filler, redaktor naczelny *Szpilek*, na kilka dni przed otwarciem „wybył” z Iserlohn. Andrzej Krauze, żyjący w Anglii, odmówił przyjazdu i udziału w imprezie wspólnie z satyrykami publikującymi w powojennych, to znaczy pogrudniowych *Szpilkach*. ■ Opowiadanie Józefa Mackiewicza — *Na drogę do Kalwarii*, w tłumaczeniu Gottholda Rhode, zostało opublikowane w bońskim dzienniku *Die Welt*. ■ Audycję pióra Gottholda Rhode poświęconą pamięci Józefa Mackiewicza nadała radiostacja *Deutschlandfunk* w programie polskim.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika litewska

W 1982 roku ukazało się w Wilnie encyklopedyczne wydawnictwo w języku rosyjskim pt. „Sowieckaja Litwa”. Na wstępie parę cyfr. Statystyka narodowości zamieszkujących Litwę na obszarze jej dzisiejszych granic, w latach kolejno: 1897-1923-1975, w procentach: Litwini 61, 70, 80; Rosjanie 5, 2,5, 9; Polacy 9,7 15, 7,3; Żydzi 13, 8,3, 0,4. Przyrost naturalny w roku 1923 wynosił 13 %, w latach 1950-1970 spadł do 11 %, a w roku 1980 do 4,6 %. Ludność republiki w roku 1981 — 3.446 mln. Ludność Wilna w tymże roku przekroczyła pół miliona. W roku 1979 w innych republikach sowieckich przebywało 140 tys. Litwinów. Skład narodowościowy litewskiej partii komunistycznej w roku 1982 przedstawiał się następująco (w tysiącach): Litwinów 123, Rosjan 32, Polaków 7, Żydów 2, innych narodowości 12 tys., głównie Ukraińców i Białorusinów, ale są też Tatarzy, Czuwasy i inni. O Uniwersytecie Lelewela z czasów Śniadeckich — wględnie przywoicie. Powstania i bunty były przeciw caratowi, a nie przeciw Rosji. O nowszych czasach: w Wilnie, okupowanym przez burżuazyjno-obszarniczą Polskę, był uniwersytet, w którym pracowali wybitni uczeni: biolodzy — J. Dembowski, W. Trzebiński, P. Wiszniewski, astronom B. Dziewulski, matematyk A. Zygmund, lingwista J. Ostrębski, historycy: G. Łowmiański, S. Zajączkowski i Otrębski badali problemy związane z Litwą. — W 50-cioosobowym Komitecie redakcyjnym encyklopedii był dr Z. Januś-kevičius, zmarły 26 maja 1984, o czym obwieściły nekrologi z podpisami najwyższych przedstawicieli partii, rządu, nauki i sztuki. Był on rektorem instytutu medycznego w Kownie, założycielem badawczego Instytutu Kardio-



logicznego, delegatem do Międzynarodowej Organizacji Zdrowia, członkiem honorowym polskiego i węgierskiego towarzystwa kardiologów, autorem licznych prac naukowych, i wymieniany był jako jedyny Litwin — członek ogólnosowieckiej akademii medycznej w Moskwie. Zygmunt Januskiewicz ukończył w roku 1929 polskie prywatne gimnazjum mniejszościowe w Poniewieżu, do którego nie uczęszczali Litwini. Był przede wszystkim wybitnym naukowcem i ujmę polskiemu gimnazjum nie przyniósł. ■ Ukazał się kalendarz z działem informacyjnym. Liczba kościołów zmniejszyła się o 91 (ze 721 na 630). Tylko 491 ma proboszcza lub administratora. Do 139 kościołów księga dojeżdża. W seminarium duchownym pracuje 17 księży — 116 to emeryci lub inwalidzi. W seminarium uczy się 104 kleryków. W ubiegłym roku ukończyło je 12 księży (w tym roku znacznie więcej). W innych republikach pracuje 9 litewskich księży. Nie ma wzmianki o licznych księżach na zesłaniu. Poza krajem jest dwóch biskupów Litwinów w Watykanie i dwóch duszpasterzy emigracji. Obaj są w bardzo podeszłym wieku. Został wyświęcony na biskupa franciszkanin z USA, Paulius Baltakis, który też będzie pełnił obowiązki opiekuna emigracji litewskiej. ■ St. Łozoraitis jr, przedstawiciel Litwy przy Watykanie i jednocześnie radca poselstwa litewskiego w Waszyngtonie, oświadczył, że w czasie jubileuszu 600-lecia chrztu Litwy zostanie być może załatwiona sprawa formalizacji przydzielenia Wilna do litewskiej prowincji kościelnej. ■ Na różnych zjazdach i kongresach Litwini domagają się zwrotu katedry wileńskiej i kościoła św. Kazimierza oraz otwarcia seminariów duchownych w kilku diecezjach. Lista zażeń i żądań wobec rządu sowieckiego jest długa. Litwini ponawiają też apele do Watykanu o włączenie Wilna do litewskiej prowincji kościelnej i o kardynała Litwina. ■ Przemyciono na Zachód pamiętniki zmarłego na Litwie dziennikarza J. Keliuotisa, niegdyś redaktora *Naujoji Romuva*, czasopisma które wносиło do nieco zaściankowej atmosfery Litwy powiew życia kulturalnego zachodniej Europy i tolerancji. W roku 1938 Czesław Miłosz odwiedził swe strony rodzinne i kowieńską redakcję. Keliuotis napisał wówczas o nim: „Jest to najwybitniejszy poeta polskiego młodego pokolenia. W swej poezji porusza współczesne zagadnienia metafizyczne i jest wyrazicielem osiągnięć nowoczesnej poezji. Wytoczona przez niego droga poezji może stać się poezją przyszłości”. Redaktor, który tak ocenił poezję Miłosza czterdzieści lat przed Sztokholmem, został przez władze sowieckie w roku 1945 oskarżony o nacjonalizm, kosmopolityzm, klerikalizm i liberalizm. Na próżno dowodził, że te oskarżenia wzajemnie się wykluczają — został z każdego punktu oskarżenia skazany na 15 lat — razem 60, i pobity dotkliwie przez generała, który prowadził śledztwo. Wyrok złagodniono za wstawienictwem I. Erenburga, którego Keliuotis niegdyś poznał w Paryżu. Wrócił na Litwę, gdzie go nie drukowano. Żył w nędzy. ■ W litewskiej prasie emigracyjnej ukazał się wywiad z E. Finkelsteinasem, niegdyś reprezentantem ludności żydowskiej w litewskim Komitecie Helsińskim. Udało mu się po wieloletnich staraniach wyjechać do Izraela. Powiada, że stosunek władz sowieckich do kandydatów na wyjazd do Izraela jest wszędzie wrogi, ale w Rosji i na Ukrainie dochodzi do tego wrogi stosunek ludności, podczas gdy w republikach bałtyckich panuje pełne zrozumienie dla wyjeżdżających. Na Litwie nie istnieje żadne organizacje żydowskie ani żadne możliwości nauki języka żydowskiego czy hebrajskiego. Odbywają się tylko czasami przedstawienia teatralne — dla zmylenia Zachodu. Istnieje natomiast komitet antysyjonistyczny, któremu przewodniczy Zimanas, stalinowiec. Zapytany o elektrownię atomową w Ignalinie Finkelsteinas (z zawodu fizyk) wyjaśnił, że położone w jej pobliżu jeziora są już biologicznie martwe. Osada fabryczna wraz z personelem technicznym jest osadą rosyjsko-ukraińską. Elektrownia dostarcza więcej prądu niż Litwa może zużyć. ■ Papież nadał przywódcy litewskiej emigracji politycznej,

dr. K. Bobelisowi, order komandorii Św. Grzegorza. Litwini komentują to, jako uznanie przez Watykan przywódcę wśród Litwinów roli Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK). ■ Administrator apostolski archidiecezji Kowieńskiej i diecezji Wyłkowskiej, biskup L. Povilionis, został mianowany arcybiskupem tytularnym, a ponieważ kończy już 75 lat jego ewentualnym następcą, a tymczasem sufraganiem został mianowany dziekan J. Preikšas. ■ Biskup wileński J. Stepanovičius jest interviewany w małym miasteczku Żagory, na pograniczu łotewskim. Odwiedził go pełnomocnik urzędu do spraw wyznań — Anilionis z wymówkami i groźbami z powodu wyjazdów biskupa na odpusty, konferencje i nakłanianie do podpisywania protestów. Pomimo tego biskup Stepanovičius wkrótce potem udał się do Wilna, a na odpuszczenie w Szydłowie (lit. Siluva) koncelebrował mszę z ponad czterdziestu księżmi. ■ Amerykański kongres uchwalił, że dzień 16 lutego 1985 będzie dniem Niepodległości Litwy. ■ Zmarła Ona Łukauskaite-Poškienė, działaczka socjalistyczna z komitetu Helsinki, przed śmiercią nawróciła się i miała w Szawlach tłumny pogrzeb katolicki. Jako poetka tłumaczyła wiersze, m.in. Pawlikowskiej. ■ W Szwecji zaczął się ukazywać kwartalnik *Baltic Forum*. Pierwszy jego numer zawiera m.in. rozdział o Nadbałtyce z książki Cz. Miłosza „Zniewolony umysł”. ■ Na Litwie aresztowano ostatnio ks. L. K. Matulionisa i naukowca L. Dambrauskasa — tego ostatniego za posiadanie w prywatnym mieszkaniu własnych wspomnień z pobytu w więzieniu i na zesłaniu w latach 1945-1955. Oskarżono go o szkalowanie ojczyzny itp. Działacz katolicki Krasuckas został uduuszony w niewyjaśnionych okolicznościach, a malarz Pempe (obrazy o tematyce patriotyczno-religijnej) zamordowany. Litewski więzień polityczny A. Žypre po odbyciu 25 lat kary został wypuszczony z więzienia z prawem wyboru miejsca zamieszkania w 14-tu republikach związkowych, z wyjątkiem litewskiej. ■ Naukowiec Skuodis, uwięziony już od 5 lat, ogłosił głodówkę. Ambasada amerykańska od dawna zabiega o jego uwolnienie, gdyż jako urodzony w USA ma prawo do amerykańskiego obywatelstwa. ■ Znane są już peregrynacje posążku Matki Boskiej, ufundowanego przez katolików irlandzkich dla Kaplicy Ostrobramskiej. Przez parę lat statuetka oczekiwała w Anglii na zezwolenie rządu sowieckiego. Wreszcie została przywieziona, ale skierowano ją do Szydłowa. W ub. roku została po kryjomu wywieziona i przekazana do Wilna dla odrestaurowania. Władze sowieckie dowiedziały się o tym i ostrzegły, że sporządzenie kopii będzie surowo karane, i posądek wrócił do Szydłowa. ■ Nauczycielka Jadvyga Bieliauskienė została skazana na 7 lat za uczenie religii i zbieranie podpisów pod protestami. Religii można uczyć tylko własne dzieci. Osoby postronne i księża podlegają represjom za katechizację. ■ Grupa Żydówek wileńskich zwróciła się do władz o pozwolenie na ponowne otwarcie mykwy. Pomimo paroletnich zabiegów, wykazujących że najbliższa mykwa jest aż w Moskwie — władze odmówiły zezwolenia, podając jako oficjalny powód złe warunki sanitarne w nieczynnej mykwie. ■ Ustawodawstwo przewiduje tworzenie rad kapłanów w diecezjach i pełnomocnik Anilionis używa gróźb, nacisków i bezprawnych rozkazów, by wpłynąć na ich skład personalny. Zależy mu na tym, by nie dopuścić do rad tzw. ekstremistów, a wprowadzić do nich ludzi posłusznych, prowadzących akcję destrukcyjną. Ponieważ nie bardzo się to rządowi udaje, zwrócono uwagę na kandydatów do jednego seminarium duchownego w Kownie. Największy kłopot jest z księżmi z zaoicznego tajnego seminarium, którym obiecuje się prawo pełnienia obowiązków kapłańskich, o ile wstąpią na 5 lat do oficjalnego seminarium. Cel jest podwójny: oderwanie ich od kontaktów z wiernymi i nadzieja urobienia ich poglądów w czasie studiów, pod kontrolą niektórych posłusznych wykładowców i kolegów-wtyczek. ■ Informacje, zebrane od emigrantów z Litwy wyjeżdżających przez Wiedeń wskazują na rozkwit nacjonalizmu na Litwie. W szkołach rosyjskich

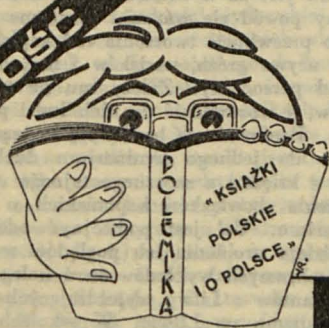


często są wybijane szyby. Pewna część młodzieży wybiera na studia Kowno, nie chcąc osiedlać się w międzynarodowo-rosyjskich: Wilnie i Kłajpedzie. Nawet działacze ruchu oporu opowiadają, że należy dążyć do tego, by Wilno było „zwrócone Litwinom”, którzy już są tam mniejszością. ■ Z okazji dziesiątej rocznicy podpisania umów w Helsinkach Bałtowie organizują z pomocą organizacji międzynarodowych w Kopenhadze w dniach 23-25 lipca br. sąd nad Sowietami. Jednym z sędziów zgodził się być b. delegat amerykański na konferencję w Madrycie, Kampelman. Ostatnio został on wydelegowany do rokowań rozbrojeniowych z Sowietami. Bałtowie chcą urządzić tego lata wycieczkę morską pod hasłem „Pokój i Wolność nad Bałtykiem”. Trasa prowadzi ze Sztokholmu do Helsinek, ale niewykluczone, że na wodach międzynarodowych zboczy nieco na południe. Udział ma wziąć młodzież z diaspory Bałtów. Ma też odbyć się sympozjum w Sztokholmie. ■ *Kronika Kościoła katolickiego na Litwie* nr 64 z końca ub. roku zamieszcza podziękowanie Papieżowi za troskę o kościół na Litwie, jak też za obchody jubileuszu św. Kazimierza. Zamieszcza tekst listu hołdowniczego 80 księży archidiecezji wileńskiej do swego internowanego pasterza. List podpisał również gość z Białorusi, prałat Kuczyński. Gazeta podaje nazwiska 7-miu księży, którzy odmówili podpisu. ■ Gdy wreszcie wydrukowano na Litwie 4-rotysięczny nakład katechizmu, robotnicy rozkradli 2,5 tys. egzemplarzy które się natychmiast rozeszły, bo popyt był ogromny. Obecnie na parafię przypada przeciętnie 10 egzemplarzy. Zakaz przywozu literatury religijnej jest tak surowo przestrzegany, że gdy biskup Povilionis powrócił z wizyty w Watykanie, na lotnisku w Moskwie odebrano mu całą literaturę religijną oraz nagrania z uroczystości jubileuszowych. ■ W litewskiej prasie emigracyjnej spotyka się tłumaczenia wierszy Czesława Miłosza, „Raportu z oblężonego miasta” Herberta, „Sądu ostatecznego” Mrożka, jak też liczne przedruki z prasy polskiej. Szczególnie zainteresowanie budzą głosy opinii z kraju, zamieszczane w *Niepodległości* czy *Kontakcie*, zapewniające, że wolna Polska nie będzie dążyć do przesunięcia swych granic wschodnich. *Kronika litewska* z numeru 7/8 (1984) *Kultury* została przetłumaczona prawie w całości w litewsko-kanadyjskim dzienniku. Wydaje się, że stosunek do Polaków zmienia się na lepsze zarówno w kraju, jak na emigracji. Nie tyczy to „Związku Wilnian”, który w Ameryce nadal prowadzi antypolską propagandę.

E. ŻAGIELL

P

Nowość



**KSIĘGARNIA**  
**POLEMIKA**  
 WYDAWNICTWA POLSKIE  
 I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT  
 POLSKI I EUROPY  
 WSCHODNIEJ  
 ANTYKWARIAT  
 49, RUE GAY LUSSAC  
 75005 PARIS  
 TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG  
 AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

## Ci, co odeszli

### Edward Puacz

Dnia 1 lutego 1985 roku na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie odbył się pogrzeb zmarłego 16 stycznia w Chicago śp. Edwarda Puacza. Przy mogile Zmarłego zebrało się liczne grono osób, wśród nich przedstawiciele świata intelektualnego z prof. Klemensem Szaniawskim i Markiem Nowakowskim. Obecny był również pierwszy premier PRL Edward Osóbka-Morawski. W imieniu literackich przyjaciół Zmarłego przemówienie pożegnalne wygłosił Stefan Kisielewski. Przypomniał on księgarską i wydawniczą działalność Puacza, w której zawsze przyświecała mu uporczywie głoszona idea, że nie może być podziału między piśmiennictwem krajowym i zagranicznym, że kultura polska jest jedna, i dlatego zasadą winna być niustająca konfrontacja. Taką konfrontację realizował w swej księgarni Polonia Bookstore w Chicago Edward Puacz, wydając z jednej strony książki autorów krajowych, jak Marka Nowakowskiego, Wojciech Karpińskiego, Olgierda Terleckiego czy Antoniego Słonimskiego, z drugiej Józefa Mackiewicza, Adam Ciołkosza czy generała Wł. Andersa. Ten planowy „eklektyzm” sprawiał, że Puacz miał wielu wrogów, i to po obu stronach kurtyny. Lecz to właśnie świadczyło również o oryginalności usiłowań Edwarda Puacza: był postacią nietypową, niebanalną, bardzo będzie jej brakować w pejzażu polskiej kultury, traktowanej właśnie jako światowa jedność.

Wielką zasługą Edwarda Puacza były również stałe próby docierania do środowisk amerykańskich, w pierwszym rzędzie uniwersyteckich. Nie było poważniejszej imprezy slawistycznej, konferencji bibliotekarskich, wydawniczych etc., gdzie by nie było stoiska księgarni „Polonia”, prezentującego imponujący zestaw wydawnictw naukowych i artystycznych.

Edward Puacz ponadto żywo zajmował się życiem polonijnym. Zabierał głos w ważniejszych sprawach, jak np. w sprawie Kolegium Związkowego, czy utworzenia Studium Polskiego przy jed-



nym z wielkich uniwersytetów amerykańskich, na wzór studium ukraińskiego w Harvardzie. Wszystkie jego wystąpienia i inicjatywy cechował realizm i zdrowy rozsądek. Walczył o zmodernizowanie i przekształcenie przestarzałych form organizacyjnych Polonii amerykańskiej a główną jego troską było młode pokolenie, oddalające się coraz bardziej od zainteresowania Polską.

Mamy nadzieję, że Jego pracę będzie kontynuowała żona i najbliższa współpracowniczka — Mira Puacz.

### KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Niewiele księgozbiorów na świecie posiada pełne komplety *Kultury*, która ukazuje się w Paryżu regularnie od 1947 roku. Pragnąc wypełnić istniejące zapotrzebowanie w kraju i na Zachodzie zlecieliśmy INDEPENDENT POLISH AGENCY przygotowanie kompletu dotychczasowych roczników *Kultury* na mikrofiszach.

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

**IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.**

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 ukaże się w styczniu 1985.

## Książki

### Komunizm jako najwyższy stopień totalitaryzmu

„Nie” powiedziane ideologii ma tyleż poznawczego sensu co „tak”.

Leszek Nowak

Filozoficzny „skandal”

Tak zwana „pознаńska szkoła filozoficzna”, będąca od dłuższego już czasu chlubą polskiego marksizmu, zrodziła niespodziewanie przed 5 laty teorię, która wprawiła w zakłopotanie PRL-owskich wyznawców Karola Marksa. Stało się to za sprawą jednego z liderów wspomnianej szkoły — Leszka Nowaka.

Stosunkowo młody (wówczas niespełna czterdziestoletni) profesor filozofii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu (kierownik Zakładu Dialektyki Poznania w Instytucie Filozofii) opublikował w ciągu ostatnich kilkunastu lat znaczną ilość książek i artykułów, które pozwoliły mu zyskać miano jednego z filarów „szkoły poznańskiej”. Marksizm w wydaniu Nowaka miał postać teorii, dającej się ująć w ramy wprost fizykalne. Wszelkie rozwiązania poprzedzać musiały ściśle wyznaczniki metodologiczne.

Swą nową, ponad 1000-stronicową pracę: „U podstaw teorii procesu historycznego” złożył Nowak we wrześniu 1979 roku do dyspozycji KSS „KOR” i Towarzystwa Kursów Naukowych. Była ona próbą stworzenia *nie-marksowskiego* materializmu historycznego. Tym samym znalazł się filozof w gronie osób najbardziej zagrażających systemowi komunistycznemu w Polsce — bo podważających jego ideologię.

Oczywiście nawet najbardziej teoretycznych fragmentów swej pracy nie mógł Nowak opublikować w oficjalnych wydawnictwach. Poszczególne części książki bądź też skróty krążyły w środowisku akademickim — nie tylko Poznania — przepisywane lub powielane nieoficjalnie. Sam autor był zapraszany wielokrot-



nie na odczyty głównie przez studentów Poznania, Krakowa, Wrocławia.

W 1981 roku „Solidarność” zaproponowała Nowakowi pracę w 11 zespole tematycznym gdańskiego Zjazdu: „Związek wobec władz państwowych i PZPR”. Życiorys filozofa uzupełnia pobyt w więzieniu dla internowanych w okresie stanu wojennego oraz pozbawienie pracy na uniwersytecie poznańskim przed kilkoma miesiącami.

Nowak wprawia w zakłopotanie jednak nie tylko funkcjonariuszy państwowo-partyjnych, lecz także niezależnych publicystów. Pewna ich część — nie odróżniając marksizmu od materializmu — przypisuje temu intelektualistę miano „filozofa-markсистy”. Jedni czynią to, nie siląc się na żadne uzasadnienia (np. RWE), inni próbują swe twierdzenie w jakimś stopniu podbudować filozoficznie (np. *Spotkania* nr 21-22). W pierwszym przypadku twierdzenie o rzekomym marksizmie Nowaka ma — jak się wydaje — nadać swoistej „pikanterii” informacji o pozbawieniu pracy filozofa przez władze (także przeciw marksistowskie), w drugim — ma skompromitować wywołującą — zdaniem publicysty *Spotkań* — zbyt duże zainteresowanie teorię Nowaka [„System Nowaka uzyskuje *niejaką* (podkr. moje — M.C.) popularność, zwłaszcza w środowiskach akademickich, wśród studentów. (...) Na odczytach Nowaka sale są *nadal* pełne, dyskusje żywe. W lutym 1983 roku na XXII Tygodniu Filozoficznym KUL wykształceni filozoficznie studenci tej uczelni wykazywali po wykładzie Nowaka więcej podniecenia i zachwyty niż krytycyzmu, co nie świadczy dobrze o ich odporności intelektualnej na marksizm”<sup>1</sup>].

Nie-marksowski materializm historyczny Leszka Nowaka — jak każda teoria historiozoficzna — wydać się może w wielu punktach kontrowersyjny, stanowi jednak na tyle interesujący materiał (nie tylko dla filozofa), że godny jest prezentacji jako jeden z możliwych sposobów uprawiania filozofii historii. Czy teorii tej rzeczywiście można przypisać miano marksistowskiej, niech oceni czytelnik sam po zapoznaniu się z niniejszym jej omówieniem<sup>2</sup>.

### Klasa trójciemiężców

Nowak konstruuje swą teorię w oparciu o posiadany już aparat metodologiczny, dochodząc jednak do odmiennych od

1. Tadeusz Dąbrowa: „Marksizm i jego karykatura”, w: *Spotkania* nr 21-22, str. 39-40.

2. Szczególnie zainteresowanych teorią Leszka Nowaka odsyłamy do następujących pozycji: L. Nowak: *Property and Power. Towards a non-Marxian Historical Materialism*, Reidel, Dordrecht 1983; L. Nowak: „Trzy wykłady z nie-marksowskiego materializmu historycznego”, Kraków, *Po prostu bis*, 1981; L. Nowak: *Wolność i władza*, Poznań 1981; L. Nowak: *Ani rewolucja, ani ewolucja*, Frankfurt/M 1984; Marek Ciesielczyk: „Leszek Nowaks nicht-marxistischer Materialismus”: *Osteuropa*, 11/12, 1984.

Marksa wyników. Jego nie-marksowski materializm historyczny jest rezultatem zastosowania metodologii Marksa przeciwko Marksowi samemu. Historiozofia Nowaka — podobnie jak Marks — jest deterministyczna. Podobnie też jak marksowska — jest materialistyczna, tzn. głównymi uwarunkowaniami procesu dziejowego są czynniki materialne, głównie ekonomiczne. Na tym jednak kończą się analogie pomiędzy historiozofią Marksa i Nowaka.

Drugim — niemniej ważnym, zdaniem poznańskiego filozofa, czynnikiem procesu dziejowego (obok czynnika ekonomicznego) — jest panowanie, lub inaczej — posiadanie władzy. Marks — według Nowaka — popełnił błąd, lekceważąc kwestię sprawowania władzy, czyli moment polityczny. „... dyspozycja siłami przymusu także dzieli społeczeństwo — na dysponentów przymusem (władców) i na tych, co nim nie dysponują (obywateli). Obie klasy mają przy tym interesy antagonistyczne — interes klasy władców polega na poszerzeniu sfery regulacji działań obywatelskich, interes obywateli — na zmniejszaniu tejże, a więc na poszerzeniu sfery autonomii”<sup>3</sup>.

Materialistyczna koncepcja władzy Nowaka sprowadza się do twierdzenia, że jeśli nawet założyć, iż w momencie wyjściowym poszczególni dysponenti przymusem zmierzają do różnych celów: jedni do poszerzenia swojej indywidualnej sfery kontroli, inni — do realizacji jakiejś idei politycznej, to i tak po pewnym czasie pozostaną w owej populacji tylko ci, którzy maksymalizują swą władzę.

Trzecim momentem istotnym dla procesu dziejowego jest sprawowanie kontroli duchowej. Obok właścicieli i władców istnieje bowiem klasa, którą Nowak nazywa umownie klasą „kapłanów”, tzn. tych, którzy tworzą i przekazują ideologię (niekoniecznie muszą to być prawdy religijne). „Klasy wyrastają więc nie tylko w sferze ekonomiki, ale i polityki i produkcji duchowej; nie tylko niejednakowy stosunek do środków produkcji, ale i niejednakowy stosunek do środków przymusu i do środków indoktrynacji daje podział klasowy”<sup>4</sup>.

Zdaniem Nowaka wcześniejsze formacje społeczno-ekonomiczne charakteryzowały się podziałem na te trzy klasy: właścicieli, władców i kapłanów oraz — klasę ludową, uzależnioną od tamtych. Tak było aż do późnego (czy klasycznego) kapitalizmu, kiedy to dla klasy dysponentów przymusem i klasy dysponentów produkcją korzystny okazał się sojusz. W wyniku żywiołowego procesu nastąpiła fuzja aparatu państwowego i gospodarczego. Uczestnicy tej megastruktury stają się stopniowo — według Nowaka — klasą podwójną władców-właścicieli, a społeczeństwo staje się społeczeństwem totalitarnym. Wkrótce władcy-właściciele sięgają po trzecie źródło potęgi społecznej — środki indok-

3. L. Nowak: „Trzy wykłady...”, str. 13.

4. L. Nowak: *Ibidem*, str. 14.



trynacji, gdyż wymaga tego zwiększona represyjność systemu, będąca nieodzownym elementem zwycięskiego totalitaryzmu. W momencie, gdy władcy-właściciele przejmują dyspozycję środkami indoktrynacji, społeczeństwo totalitarne staje się *socjalistyczne*.

Socjalizm stawia więc klasę ludową w obliczu już nie trzech odrębnych klas ciemniejszych: ekonomicznych, politycznych i duchowych, ale jednej, potrójnej klasy ciemniejszych: władców-właścicieli — kapłanów. Tą potrójną klasą jest aparat partyjny, skupiający w swym ręku własność, władzę polityczną i władzę nad środkami indoktrynacji. Socjalizm jest więc systemem o dwóch klasach o przeciwstawnych interesach: trój-ciemniejszych i klasie ludowej.

### Mit rewolucji

W pracach Marksa, a później Lenina rewolucja proletariacka jest tym procesem historycznym, który ma przynieść władzę klasie, która rewolucji tej dokonuje, a więc robotnikom. Tymczasem — zdaniem profesora Nowaka — elita, która przewodzi klasie robotniczej, choć po zwycięstwie rewolucji nadal powołuje się na wzniosłe hasła teje rewolucji, minimalizuje stopniowo udział klasy robotniczej w zarządzaniu. Ci przedstawiciele elity, którzy chcą w praktyce realizować hasła rewolucji, muszą nieuchronnie odpaść z aparatu władzy. Mechanizm sprawowania władzy (czego Marks ani Lenin nie zauważyli) skłania do maksymalizowania teje, podobnie jak mechanizmy ekonomiczne skłaniają się do maksymalizowania zysku. Elita ruchu obywatelskiego jest więc załącznikiem nowej klasy dysponentów przymusem, nowej klasy władców. „...ci spośród liderów ruchu obywatelskiego, którzy do końca zachowują wierność swoim ideałom, zaczynają okazywać się 'wrogami ludu'. Jak powiada znane powiedzenie 'rewolucja pożera własne dzieci'. (...) A dzieje się to tak szybko, że zdawać się może, że to rewolucja eliminuje swoich wyznawców. Tymczasem to klasa władców pozbywa się autentycznych rewolucjonistów, przeszkadzających jej w realizacji jej interesu, tego samego interesu, który realizowała dawna klasa władców — maksymalizacji sfery regulacji władczej<sup>5</sup>”.

W rezultacie więc, w wyniku rewolucji powstaje klasa, która nazywa samą siebie aparatem partyjnym, sprawująca władzę „w imieniu proletariatu i jego interesie”, faktycznie — panująca potrójnie: ekonomicznie, politycznie, duchowo nad klasą ludową.

### System niszczący więzy międzyludzkie

Procesowi poszerzania sfery regulacji władczej towarzyszy zawsze — według nie-marksowskiego materializmu historycznego

5. *Ibidem*, str. 21-22.

— inny proces, który twórca tej teorii określa jako etatyzację życia społecznego. Polega ona na przekształcaniu autonomicznych stosunków społecznych typu: obywatel-obywatel, w stosunki sztuczne typu: obywatel-władza-obywatel, które nie wiążą już obywateli bezpośrednio, lecz za pośrednictwem aparatu władzy. Jego komórki „stają się bowiem elementem wewnętrznej struktury życia społecznego, narzucającej obywatelom już nie tylko działania (czyny lub zaniechania), ale i więzy społeczne, w jakie wstępują<sup>6</sup>”.

Nowak wymienia dwie zasadnicze metody owej etatyzacji życia społecznego. Pierwszą — powolną i stopniową — jest biurokratyzaacja, drugą — terror. „Sens społeczny terroru i biurokratyzaacji jest taki sam: idzie o likwidację niezależnej od władzy struktury działań obywatelskich i zastąpienie jej strukturami opartymi o samą władzę. Różnica polega głównie na skuteczności — terror jest środkiem znacznie szybszym i skuteczniejszym. Nie zawsze jednak stosunek sił pomiędzy obywatelami a władcami pozwala na jego zastosowanie<sup>7</sup>”.

Istotą socjalizmu — formacji, która zdaniem Nowaka „przewyższa” nawet faszyzm, jeśli chodzi o kumulację władzy w ręku jednej klasy ciemniejszych, jest więc desocjalizacja. W interesie klasy trój-ciemniejszych, tzn. aparatu partyjnego, leży bowiem, by społeczeństwo przestało być społeczeństwem. Niszczono są nie tylko więzy pomiędzy grupami społecznymi czy jednostkami (w rozumieniu społecznym), ale więzy najbardziej ścisłe, intymne — więzy, których — jak by się mogło wydawać — nie można zniszczyć, więzy rodzinne. Nowak przytacza przykład chłopca żyjącego w ZSSR (Pawlika Morozowa), który zadenuncjował własnego ojca w poczuciu alternatywnego „ojcostwa” w postaci sowieckiej służby bezpieczeństwa lub też przykład matki, która uwierzyła w „winę” aresztowanego przez NKWD syna, mimo, że otrzymała od niego zaszyfrowany, wyjaśniający wszystko list. Przykłady te wymownie obrazują metodę działania systemu, który nazywając się socjalizmem, prowadzi do całkowitej desocjalizacji.

Klasa ludowa prowadzi oczywiście walkę ze swymi ciemniejszymi. Nowak zauważa istotną różnicę między jej polityczną i ekonomiczną odmianą. „Nędza działa na bezpośrednich producentów stale tak samo — zmusza ich do izolacji w poszukiwaniu środków biologicznego przetrwania. W wykorzystaniu tych środków każdy jest bowiem rywalem innego i długotrwałość tej sytuacji nic tu nie zmienia<sup>8</sup>”. Inaczej jest w warunkach skrajnego ucisku politycznego. Utrzymanie go przez długi czas powoduje, że ludzie stopniowo tracą pierwotną wrażliwość na zagrożenie. „...rozpoznają stopniowo, że najlepszą metodą przetrwania w

6. *Ibidem*, str. 16.

7. *Ibidem*, str. 16.

8. *Ibidem*, str. 17.



sytuacji politycznej presji jest solidarność wzajemna... Każdy może wszak znaleźć się w sytuacji represjonowanego... W ten sposób odtwarzają się autonomiczne więzy międzyludzkie, te same, przeciwko którym system się kierował i które początkowo poprzez deklasację obywateli zlikwidowano<sup>9</sup>."

### O konieczności socjalizmu w Rosji

Profesor Nowak wykazuje, że z punktu widzenia nie-marksowskiego materializmu historycznego nie zaskakuje fakt, iż Rosja była pierwszym krajem systemu trój-panowania klasowego. Twierdzi, że geneza socjalizmu w Rosji sięga czasów następujących bezpośrednio po niewoli mongolskiej, która stworzyła dogodne warunki dla deprawacji władzy książęcej: „... tron wielkościący, umożliwiający w oparciu o potencję zbrojną najeźdźcy zwierzchnią władzę nad innymi książętami ruskimi, stał się przedmiotem konkurencji pomiędzy władzami ruskimi. Stawką w tej konkurencji była możliwość niepomiernego rozszerzenia sfery władzy, za cenę uległości wobec najeźdźcy-kontrolera. ... Powstaje władca moskiewski, dla którego ojcostwo i donos są chlebem powszednim, który dla zyskania przychylności Mongoła sprawdza jego urzędników, by złupili naród poza okresowymi spłatami. Taki władca bał się przede wszystkim niepodległości, toteż nigdy o nią nie walczył. Kiedy ją w końcu 'wykraść' (Marks) od osłabionego już wielce najeźdźcy, musiał się przede wszystkim zabezpieczyć przed własnym narodem<sup>10</sup>”.

Nowak, mierzący rozwój społeczny stopniem koncentracji władzy politycznej i ekonomicznej, głosi, że „zacošana Rosja carska” pod względem organizacji i kontroli gospodarki przez państwo wyprzedziła Zachód o dobrych lat kilkadziesiąt. Fazy wolnokonkurencyjnej w kapitalizmie rosyjskim nie było, feudalizm państwowy przekształcił się w państwowy kapitalizm bez jakichkolwiek stadiów pośrednich, a ten szybko zaczął wykazywać skłonności do totalitaryzmu. Rosja była więc w tym momencie na najlepszej drodze do socjalizmu.

Filozof twierdzi następnie, iż „Rewolucja Październikowa była niewielkim zdarzeniem na miarę zamachu stanu — doprowadziła jedynie do personalnej zmiany warty. Dawnych władców-właścicieli, wywodzących się z biurokracji carskiej bądź z burżuazji, zastąpili nowi — wywodzący się z nizin społecznych<sup>11</sup>”.

Socjalizm zaś nie powstał w Rosji po rewolucji. Społeczeństwo totalitarne przekształciło się w socjalistyczne dopiero w latach dwudziestych, kiedy to władcy-właściciele zlikwidowali cerkiew i niezależną inteligencję, stając się w ten sposób dodat-

9. *Ibidem*, str. 17-18.

10. *Ibidem*, str. 43.

11. *Ibidem*, str. 46.

kowo kapłanami. Bolszewicy stali się władcami, właścicielami i kapłanami — to zaś, że są komunistami, nie ma znaczenia. Wpływa jedynie na rodzaj sloganów, jakimi osłaniają istotę swego panowania. „Jakaż klasa kapitalistów — pyta Nowak — miała kiedykolwiek taką władzę gospodarczą nad społeczeństwem? A to dopiero jedna strona „rządów monopartii”. A przecież jest to poza tym władza kumulująca w swych rękach przeogromne środki przymusu i kontroli, umożliwiające nadzór nad każdą komórka życia społecznego. A ponadto — jest to jeszcze Kościół. Kościół ze swoją jedyną doktryną, ojcami duchowymi, dogmatykami i heretykami, a przede wszystkim — z materialnymi środkami oddziaływania na umysły, jakich nigdy i nigdzie żaden Kościół nie miał. Żaden Kościół nie miał bowiem nigdy i nigdzie na swój wyłączny użytek telewizji, radia, prasy, wydawnictw, programów szkolnych i przedszkolnych, organizacji młodzieżowych i dziecięcych<sup>12</sup>...”.

Zdaniem twórcy nie-marksowskiego materializmu historycznego z ideologią nie można dyskutować, nie można jej krytykować, lecz trzeba ją demaskować („Nie” powiedziane ideologii ma tyleż poznawczego sensu, co 'tak'<sup>13</sup>”), wskazując interesy, jakie przesłania. „Chodzi więc o to, by ustalić, co się za doktryną komunistyczną ukrywa, jak mistyfikuje ona rzeczywistą naturę i rzeczywiste źródła ich panowania. 'ICH', a więc klasy potrójnej, władców-właścicieli-kapłanów, którym zdarzyło się użyć ideologii komunistycznej dla ukrycia swoich materialnych interesów<sup>14</sup>”.

### Ani rewolucja ani ewolucja

Omówienie teorii Nowaka pragniemy zakończyć kilkoma uwagami poświęconymi tym jej fragmentom, które dotyczą najnowszych wydarzeń w naszym kraju.

Polska jest — zdaniem filozofa — „najwyżej rozwiniętym krajem socjalistycznym”, gdyż w swej wewnętrznej strukturze ma już najmniej z socjalistycznego sposobu władania klasy trójciemieżców nad obywatelem. Dlaczego zatem nie udało się rewolucja rozpoczęta w sierpniu 1980 roku? Stało się tak, gdyż społeczeństwo uwierzyło w ideę, iż zapoczątkowaną zmianę systemu można oprzeć na umowach i kompromisach, „że trój-pana można utrzymać w ryzach czymś tak słabym, jak kawałek zadrukowanego uroczystości papieru”. Tymczasem trójciemieżcy zastosowali strategię niedostatku, „ustawiając masy w wydłużające się kolejki”, „przytłaczając nędzą i beznadzieją”, po to, by utraciły aktywność rewolucyjną. Z drugiej strony, w miarę upływu cza-

12. *Ibidem*, str. 49.

13. *Ibidem*, str. 50.

14. *Ibidem*, str. 50.



su, federacyjna „Solidarność” przekształciła się w „scentralizowaną hierarchię wyspecjalizowanych instytucji”, co zmniejszyło znacznie skuteczność jej działania. Władze przegrałyby ze społeczeństwem tylko wtedy, gdyby miały do czynienia nie z „organizacją ludu, lecz z ludem zorganizowanym”. „Solidarność” ulegała stopniowej biurokratyzacji, Nowak twierdzi, iż aparat związkowy wyobcował się z czasem z mas. „...miast stymulować i chronić rzeczywiste przejmowanie przedsiębiorstw przez załogi... miast więc postawić trój-panów przed faktami dokonanymi, negocjowano ustawę<sup>15</sup>”.

W listopadzie 1981 roku pisał Nowak m.in.: „Trzeba za wszelką cenę przeskodzić wprowadzeniu wojskowych grup operacyjnych na teren wielkich zakładów pracy. (...) Wprowadzenie wojskowych grup operacyjnych może być wstępem do militaryzacji struktury władzy w kraju. (...) Pewnego ranka możemy się obudzić w systemie zmilitaryzowanym — i poza rozpaczliwymi gestami nic nie będziemy w stanie zrobić<sup>16</sup>”.

Wnioski, do jakich dochodzi ostatecznie filozof, mogą wydać się czytelnikowi dość zaskakujące. Otóż — z jednej strony — rewolucja zdaje się być nieodzowna, z drugiej jednak — nie ma powodu, by życzyć sobie jej zwycięstwa! (W ten sposób można co najwyżej komunistycznych trój-panów zastąpić innymi). W długofalowej perspektywie korzystne dla mas są rewolucje przegrane, gdyż (tu Nowak podaje jako przykład kraje Zachodu) — przegrana rewolucja zmusza panujących do ustępstw, których muszą dokonać dla uniknięcia następnej rewolucji. Jednakże nieodzownym tego warunkiem jest wywieranie przez obywateli — mimo przegranej rewolucji — ciągłej presji na klasę panującą, tak, by odczuwała ona stale zagrożenie. „Optymalny model zmiany społecznej jest więc taki: rewolucja — zwycięska kontrrewolucja — ewolucyjne zmiany na korzyść mas — rewolucja, itd., aż do wyłonienia się zadowolającego dla mas systemu<sup>17</sup>”.

Teoria Nowaka — dla jednych dziwna, dla innych wprost irytująca — zdaje się jednak (zwłaszcza na tle jałowej publicystyki, z jaką zbyt często mamy do czynienia) posuwać naszą wiedzę o historii nieco do przodu. „Ważne jest — jak pisze sam Nowak — by praktykę uprzedzać myślowo — na tyle, na ile jest to możliwe. (...) Jeśli okaże się, że robię to niezadowolająco, pozostanie nadzieja, że inni sprawią się lepiej<sup>18</sup>”.

Marek CIESIELCZYK

Monachium, styczeń 1985

15. L. Nowak: „Ani rewolucja ani ewolucja”, Frankfurt/M 1984, str. 86.

16. *Ibidem*, str. 71, 72.

17. *Ibidem*, str. 136.

18. *Ibidem*, str. 1.

## Wielki kpiarz Josef Škvorecký

Jeden z czołowych kwartalników literackich ukazujących się w Stanach Zjednoczonych, *World Literature Today*, zamieścił przed pięciu laty dość niezwykłą fotografię na białej okładce tego poważnego pisma, ukazującego się od przeszło pięćdziesięciu lat (dawny tytuł *Books Abroad*): spoglądał z niej znad rozłożonej książki ubrany w ogromny biret i togę uczony, ale jego spojrzenie spoza okularów zdawało się porozumiewawczo mówić do czytelnika: „Nie bierz tego wszystkiego na serio, obaj dobrze wiemy, że tylko udajemy powagę”. Uczonym na zdjęciu był tegoroczny laureat jednej z najważniejszych amerykańskich nagród literackich, Neustadt Prize, czeski powieściopisarz i kanadyjski profesor, Josef Škvorecký, który na tę uroczystą okazję wybrał swoją podobiznę z filmu „Zbrodnia w nocnym klubie”, w którym występował w okresie Praskiej Wiosny. Jest to, o ile mi wiadomo, zaledwie drugi w najnowszych dziejach literatury przypadek, gdy wielki kpiarz nie zawahał się przedstawić w podobny sposób czytelnikom. Pierwszym był polski teoretyk a zarazem mistrz dowcipu, Jan Stanisław Bystroń, który na obwołucie przedwojennego wydania swego studium o komizmie dał własną fotografię w krzywym zwierciadle.

Paralela jest nie tyle historyczna, co filozoficzna. Dwaj wybitni ludzie obdarzeni niezwykłym poczuciem humoru, co według jednej z definicji polega na umiejętności śmiania się z samego siebie, użyli tego rzadkiego talentu dla ukazania spraw ważnych i poważnych, w przypadku polskiego uczonego naukowych, u czeskiego zaś pisarza zasadniczych i najważniejszych, takich, z jakich powstaje wielka literatura.

Twórczość Škvorecký'ego na przestrzeni ostatnich przeszło trzydziestu lat śledzę z uwagą i podziwem, bezpośrednim jednak powodem tych kilku uwag o jego piarstwie stało się amerykańskie wydanie powieści *Historia inżyniera ludzkich dusz (Příběh inženýra lidských duší*, tłum. ang. *The Engineer of Human Souls*, 1984), która z uwagi na paradoks polskiego życia kulturalnego, większą znajomość angielskiego i francuskiego niż czeskiego, powinna zainteresować czytelników jednym z najciekawszych pisarzy ostatnich dziesięcioleci.

Przyjmując w dalszym ciągu, że nasza znajomość literatury czeskiej nie jest większa niż znajomość bratniego języka, należy najpierw powiedzieć parę słów o biografii Škvorecký'ego, jest ona bowiem ogromnie ważnym elementem jego piarstwa, ważniejszym niż w przypadku większości autorów. Urodzony w 1924 roku w miasteczku Náchod, leżącym obecnie tuż przy granicy Polski, a wprowadzonym na stałe do literatury jako Kostelec,



którego każdą uliczkę i dom, z kawiarnią pana Baranka na czele, czytelnicy Škvorecký'ego znają jak własne podwórko, młody wielbiciel jazzu Dixieland i wszystkiego, co amerykańskie, przeżył tam okupację niemiecką w warunkach innych, niż jego polscy rówieśnicy, najpierw kończąc gimnazjum, potem zaś przymusowo pracując w niemieckiej wytwórni samolotów, aż do ostatnich dni maja 1945 roku, kiedy to mieszkańcy Kostelca postanowili zbrojnie powstać przeciw wycofującym się Niemcom. Toteż pierwsza powieść Škvorecký'ego *Tchórže (Zbabělci, 1958, tłum. ang. The Cowards, 1970)*, będąca niejako czeskim odpowiednikiem *Popiołu i diamentu*, jest od powieści Andrzejewskiego tak różna, jak różne były postawy i doświadczenia młodzieży obu krajów w tym okresie. Wydanie tej szczerzej, nieraz cynicznej a zawsze świadomie antybohaterskiej historii chłopaka, któremu zdjęcie ze zdobyczym automatem na piersiach służy nie tyle jako ilustracja jego udziału w wyzwoleniu miasteczka, co jako sposób na zaimponowanie rówieśniczkom, wywołała w Czechosłowacji burzę innego rodzaju i inne dyskusje, niż w Polsce po ogłoszeniu książki Andrzejewskiego. Przerażeni poodwilżową atmosferą polskiej literatury i ostrzeżeni budapeszteńskimi wypadkami Czesi starali się utrzymać ostry kurs polityczny podbarwiony nacjonalizmem, toteż cała prasa, od literackiej do partyjnej i wojskowej, zaatakowała młodego autora za to tylko, że Danny Smiřický, narrator powieści i oczywisty *alter ego* autora, interesował się w okresie wyzwolenia bardziej amerykańskim jazzem i dziewczętami niż świetlaną przyszłością. Wśród epitetów jakimi obrzucono książkę nie zabrakło znanego „szargania świętości”, od obrazy patriotycznych tradycji aż po „podważanie sojuszu”, chociaż obraz Rosjan w *Tchórzach* jest po prostu obiektywny, taki, jakim widzieć go mógł każdy młody człowiek o zachodnioeuropejskiej tradycji i braku polskich na przykład, dwustuletnich doświadczeń. Nie trzeba dodawać, że ataki oficjalnej prasy natychmiast uczyniły Škvorecký'ego ulubieńcem czytelników, a Danny Smiřický stał się równie popularny jak w poprzednim pokoleniu jego poprzednik, dzielny wojak Szwejk.

Danny Smiřický posłużyć miał autorowi jako centralna postać i narrator wielu następnych powieści, które pojawiać się zaczęły w Czechosłowacji w miarę otwierania się możliwości twórczych w początkach lat sześćdziesiątych, a potem, gdy po sowieckiej inwazji Josef Škvorecký postanowił wyemigrować i osiadł w Kanadzie, Danny podzielił losy autora i w *Historii inżyniera ludzkich dusz* wiernie dzieli z nim profesurę literatur anglosaskich na college'u w Toronto. Prześledzenie rozwoju tej postaci literackiej stworzonej przez dwudziestoczoletniego wówczas autora (*Tchórže* napisał Škvorecký w latach 1948-1949), aż do czasów, gdy młody saksofonista i bikiniarz nałoży insygnia profesorskie — ciągle mamy w oczach obszerny biret i togę — jest zajęciem równie pouczającym jak przyjemnym.

Znane jest zamiłowanie zarówno pisarzy jak i czytelników do książek przedłużających dzieje ulubionej postaci poza ramy jed-

nej powieści. Dziewiętnastowieczne trylogie znalazły godne następstwo w dwudziestowiecznych sagach rodów i cyklach tematycznych, aż po najnowsze seriale telewizyjne, ciągnące się nieraz całymi latami. Czytelnicy i widzowie utrzymują kontakt ze swymi bohaterami, spotykają ich jak dobrych znajomych i z ciekawością dowiadują się, co nowego zaszło w ich losach od ostatniego spotkania. Danny Smiřický pozwala na taki stosunek i chętnie opowiada o swoich przeżyciach i przemyśleniach, opowiada zresztą znakomicie, żywo i dowcipnie, raz po raz wracając w przeszłość, bez której nie można zrozumieć chwili obecnej. Dodać tu od razu należy, że metoda narracji w powieściach Škvorecký'ego stała się historycznym niemal przełomem w dziejach literatury czeskiej, tradycyjnie utrzymującej podział na język literacki i język mówiony, dialogi bowiem pisane są właśnie językiem potocznym, poprzednio po prostu nie używanym w druku. Efekty są zaskakujące, zwłaszcza w powieściach takich jak *Pułk pancerny (Tankový prapor, 1969, tłum. franc. L'escardon blindé, 1969)*, gdzie oficjalna „dretwa mowa” armii okresu stalinowskiego skonstrastowana jest z żywym, nieraz zupełnie niecenzuralnym językiem, jakim mówią między sobą żołnierze i przyjaciele plutonowego Smiřický'ego. Dla czytelników polskich, od lat przywykłych do Wiecha, nie brzmi to tak rewelacyjnie.

Ale Danny jest od pierwszej powieści autora kimś więcej, niż wielbicielem Dixielandu i opanowanym erotycznymi marzeniami obserwatorem zmieniającej się sceny życia. Bliski krewny młodych ludzi Konwickiego i Tyrmanda, ten niebohaterski bohater szuka w życiu piękna pod każdą postacią, a że znajduje je najczęściej właśnie w postaci dziewcząt — czy to takie dziwne, gdy ma się dziewiętnaście lat? Druga jego namiętność, jazz, wygnany i przesładowany najpierw przez Niemców, a zaraz potem przez komunistów, nabiera symbolicznego niemal wymiaru, staje się synonimem wolnej sztuki, dalekiej, nieosiągalnej. Toteż pisząc o jazzie Škvorecký osiąga nieraz najwyższy poziom artystyczny, jak np. w świetnie skomponowanym długim opowiadaniu „Basowy saksofon” („Bassaxofon”, tłum. ang. *Bass Saxophone, 1978*), wydanym w tłumaczeniu razem z lirycznym i wstrząsającym opowiadaniem „Legenda Emöke” (1963, tłum. franc. *La légende d'Emöke, 1967, polskie 1984*). Połączeniem tych trzech motywów, erotyzmu, jazzu i liryki, jest uroczą powieść *Pelnia sezonu (Prima sezóna, 1975, tłum. ang. Swell Season, 1982)*, historia dziewiętnastu nieudanych prób uwiedzenia dziewiętnastoletniego Danny. *Cud w Czechach (Mirákl, 1972, tłum. franc. Miracle en Bohême, 1978)*, najbardziej polityczna z powieści Škvorecký'ego, ma dzisiaj szczególnie duże znaczenie, opowiada bowiem o zamordowaniu przez agentów Bezpieczeństwa pewnego katolickiego księdza, lata przed morderstwem księdza Popiełuszki.

Najobszerniejsza i — jak dotąd ostatnia — powieść Škvorecký'ego, *Historia inżyniera ludzkich dusz*, jest też jego najambitniejszą książką. Raz po raz wracając do okupacyjnych i powo-



jennych przeżyć Smiřický'ego, została ona wzbogacona o nowy, dominujący tym razem wątek emigracji. Prowadząc życie pozornie uporządkowane i bezpieczne, nasz profesor żyje właściwie w dwóch wymiarach, rozpięty między przeszłością a terażniejszością, przy czym motyw ten został umiejętnie użyty w strukturze powieści, kontrastując pierwszy skonsumowany romans Danny'ego z umierającą na gruźlicę robotnicą z okupacyjnej fabryki samolotów, z powierzchowną miłością ze studentką, córką kanadyjskiego milionera. Raz po raz, w środku wykładu, Danny przenosi się myślą do czasów młodości, skojarzenia bowiem, jak słusznie twierdzi, są tak przemożne, że nie można się im oprzeć. Ale skojarzenia te mają znaczenie tylko dla profesora. „Żał mi było tych legionów studentów — myśli Danny — którzy uczą się literatury amerykańskiej u kogoś z Harvardu, kto omawiając funkcję kolorów w *Szkarłatnej literze* mówi tylko o funkcji kolorów w *Szkarłatnej literze*”. I patrząc na swą młodzianką studentkę dodaje: „Jej doświadczenie pochodzi głównie z telewizji, moje — z europejskiego *teatrum mundi*”. Toteż interpretacje doświadczonego wykładowcy literatur anglosaskich są istotnie niezwykle i odkrywcze — od wyjaśnienia roli tajemniczego Rosjanina w *Jądrze ciemności*, co *nota bene* da wiele do myślenia „zawodowym” conradystom, aż po interpretację *Kruka* Poe'go przy pomocy wstrząsającego wiersza Jesienin-Wolpina.

Błędem jednak byłoby oczekiwać, że Danny Smiřický na skutek transatlantyckiej przeprowadzki straci swoje cudowne poczucie humoru. Podobnie jak czynili czytelnicy *Komizmu* Bystronia, używający jego pracy jako antologii najlepszych dowcipów, powierzchowny czytelnik powieści Škvorecký'ego znajdzie w niej dosłownie tysiące anegdot, historyjek i przezabawnych sytuacji, poczynając od okupacyjnego szmuglu rąbani aż po najbardziej współczesny szmugiel manuskryptów z Czechosłowacji do Kanady. Emigracyjne środowisko dostarczy pisarzowi tematów wystarczających na tomy przedniej satyry, przy czym wystarczyłoby zamienić nazwiska Novak i Maslo na Nowak i Masło, ażeby rozpoznać w książce czeskiego pisarza każde polskie skupisko emigracyjne, przedstawione tu na pewno nie gorzej, niż zrobić by to potrafili Gombrowicz skrzyżowany z Mrożkiem. W postaci egzotycznie odzianej Doty każdy z nas bez trudu rozpozna wiele młodych dam ostatnio zasilających polskie skupiska, Škvorecký jednak nie sądzi ani nie potępia, spokojnie wyjaśniając, że ta szokująca starszych panów ekstrawagancja jest po prostu kompensacją za wszystko to, czego Doty i jej liczne siostry były w ustroju komunistycznym pozbawione.

*Historia inżyniera ludzkich dusz* byłaby książką fantastycznie wesołą, gdyby nie była tak smutna. W jednej z kluczowych scen powieści czeska studentka, Veronika, siedzi w pustym uniwersyteckim studio i nadaje w przestrzeń nad mrocznym i opustoszałym jeziorem Ontario piosenkę o „długiej, czarnej limuzynie”, której czeskie Bezpieczeństwo użyło do porwania i zamordowania pewnej dziewczyny. Świadomość, że nikt zapewne piosenki

tej nie słucha, ci zaś, którzy słyszą ją przypadkowo niczego nie rozumieją, jest świadomością emigracyjnego pisarza, nadającego swój program w pustkę ciemnej i mroźnej nocy. Wydaje się, że warto odpowiedzieć na figlarny uśmiech profesora spoglądającego spoza wielkich okularów i oświadczyć, że ktoś jednak słucha, że mimo porozumiewawczego mrugnienia rozumiemy, może my jedni rozumiemy naprawdę wszystko, o czym tak mądrze i dowcipnie snuje swoją piękną opowieść.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

## Czytam (4)

### Poeci polscy w Kanadzie

Jedną z osobliwości literatury emigracyjnej są niespodzianki, polegające na ujawnianiu się książek zaskakujących oryginalnością tematu lub ujęcia czy wreszcie — miejscem wydania. W zakresie antologii poezji takim zaskoczeniem były przed — dokładnie — dwudziestu laty *Ryby na piasku*, antologia wierszy poetów 'londyńskich' pod redakcją Adama Czerniawskiego. Obecnie, jako piąty tom Biblioteki Polskiej w Kanadzie, ukazała się jako niemal przedłużenie *Ryb* dwujęzyczna, polsko-angielska antologia pt. *Seven Polish Canadian Poets*<sup>1</sup>, wydana w Toronto pod redakcją Wacława Iwaniuka i Floriana Śmieji.

Odnajdujemy w niej czterech autorów z *Ryb na piasku*: Andrzeja Buszę, Bogdana Czaykowskiego, ks. Janusza Ihnatowicza i Floriana Śmieję z dawnych, londyńskich *Kontynentów* oraz blisko z nimi związaną Danutę Bienkowską, zmarłą tragicznie w katastrofie kolejki linowej w Norwegii w roku 1974. Poza wymienionymi wyżej poezję polsko-kanadyjską reprezentuje zmarła w roku 1965 w Toronto Zofia Bohdanowiczowa oraz senior poetów emigracyjnych — Wacław Iwaniuk (ur. 1915). Ważną częścią książki jest wstęp pióra prof. Zbigniewa Folejewskiego, rzeczowo wprowadzający autorów wierszy jako mieszczących się w polskiej *ethnic group*, a równocześnie wnoszących własny, oryginalny wkład do literatury kanadyjskiej. Tym tłumaczy się preferencja dana w antologii wierszom o tematyce zahaczającej o stosunek autorów do Kanady, jako kraju osiedlenia — od sprzeciwu do

1. *Seven Polish Canadian Poets*. An anthology with a foreword by Zbigniew Folejewski. Edited by Wacław Iwaniuk and Florian Śmieja. Toronto 1984, Polish Canadian Publishing Fund, str. 223. (Biblioteka Polska w Kanadzie, Nr 5).



integracji. Prof. Folejewski uświadamia anglosaskim czytelnikom wierszy, iż autorzy ich reprezentują różne pokolenia, rodzaje wykształcenia i różne koleje losów w okresie przedkanadyjskim: „wysiedlenia, deportacje całych rodzin lub poszczególnych ich członków, kołchozy, obozy koncentracyjne, zsyłkę młodzieży do ciężkich robót, transporty, tundry syberyjskie, piaski pustyni, góry w Persji i Indiach, wędrówki w skali epickiej”.

Zofia Bohdanowiczowa, seniorka uwzględnionych w antologii poetów, mieszkała w Kanadzie zaledwie pięć ostatnich lat życia. Przybyła do syna ze schroniska polskiego w Penrhos w Walli, krainie tak jej sercu bliskiej, że nazwała ją „następnym obiektem tęsknoty”. W Kanadzie czuła się jak „przywiana z dróg kurzawy / Niedodeptana kępka trawy” i najserdeczniej współczuła sklepikarzowi rodem z Malty, który, sprzedając gruszki i melony, złorzeczy „Canada-bad!”, a gdyby miał umrzeć na Dundas Street, gdzie „demon pracy, dolara, obłędu / Zapala sygnały piekła: zielone, czerwone ślepią / Przynaglające do pędu”, westchnąłby przed zgonem, by:

... wołać świętego Pawła  
I łódź obrządzić!  
Na mojej wyspie Malcie  
Wysoki ogień zapalcie,  
Abym nie błądził...

(z wiersza „Dundas Street”)

Wacław Iwaniuk, zasiedziały i zaaklimatyzowany w Kanadzie, z niemałym trudem konfrontował postawy kanadyjskich intelektualistów z własnymi doświadczeniami z polskiego międzywojnia i Anglii czasu wojny i wczesnych lat powojennych. Naprzód, już w Kanadzie, nie odstępowały go demony ciemności, zmyry dalekich cmentarzy, przekleństwa zagłady, osamotnienia i wyobcowania. W miarę upływu lat znalazł w sobie siły do akceptacji losu i wypracował formy współżycia do tego stopnia, iż mógł powiedzieć:

... nie jestem pierwszy w tych stronach  
Ani też ostatni.

... Nie urodziłem się tu, nie kosztowałem owoców tej ziemi  
Ale głos mój drży kiedy mówię o niej

(z „Elegii o cmentarzu w Toronto”).

Wśród swoich, ale raczej z emigracji, Iwaniuk jest znany i doceniany; świadczy o tym najwymowniej monografia *Wacław Iwaniuk — poeta pióra Maji Elżbiety Cybulskiej* (L., OPiM, 1984). Pointą jej analiz jest stwierdzenie, że tym co najcenniejsze w twórczości Iwaniuka „jest respekt dla słowa. Troska o to, by przylegało do znaczeń. By ocalone z chaosu historii i teraźniejszości, stawiało czoła czasowi przyszłemu. Żeby wcielane na nowo

w bogactwo kontekstów liryki poety, stało się *drogowskazem*: „sygnałem i (...) księgą / dla pielgrzymów którzy przyjdą po nas”.

Przed ogłoszeniem stanu wojennego nazwisko Iwaniuka padało coraz częściej: zaczęto go odkrywać w kraju. Cierpliwość...

(Najwymowniej charakteryzuje Iwaniuka pięciowiersz (doskonałe *nota bene* przełożony przez Jagnę Boraks):

Mówią że ja nie cierpię — a kto myśli za mnie  
Kto się za mnie przez życie codzienne przedziera  
Kto traci siły, kto pada, kto kłęka  
Komu noc jest torturą  
Kogo krwawi sen.

Danutę Bieńkowską reprezentuje starannie dobrany zestaw wierszy z pośmiertnie wydanego przez przyjaciół tomu *Między brzegami* (L., OPiM, 1978). Za dużo w nim, chyba, wierszy wczesnych, londyńskich. Brak najlepiej charakteryzującego twórczość Bieńkowskiej wiersza „Po tamtej stronie bólu”. Ale już w roku 1953 powstał proroczo brzmiący wiersz „I nigdy mnie nie znajdziesz”, zakończony strofą:

A potem się oderwę,  
I będę wolno spadać  
Bez żalu i bez łęku —  
W niebyt.

Większość objętych antologią poetów to eks-londyńscy eks-młodzi, dziś profesorowie uniwersytetów kanadyjskich (Busza, Czaykowski, Śmieja) i amerykańskich (ks. Ihnatowicz). Z nadal aktywnych członków *Kontynentów* tworzą nadal: Czerniawski, Ławrynów, Mieczysław Paszkiewicz, Sito i Taborski. Daje to pojęcie o rozmiarach i znaczeniu zjawiska, jakim było — wbrew emigrejtanom — wyłonienie się w latach 1950-tych piszących po polsku „młodych”, tkwiących w środowisku anglosaskim i pozornie skazanych na wynarodowienie. A tymczasem — wbrew krakaniom *besserwisser*ów — nie skończyło się na debiutanckich tomikach, ale przeobraziło w różnokierunkową działalność, w której na pierwszy plan wybija się rola pośrednictwa w udostępnianiu poezji polskiej Anglosasom i *vice versa* własnej dwujęzycznej twórczości.

Czterech „kanadyjskich” kontynentowców łączą norwidowskie ciągotki i jeffersowskie (miłoszowskie?) traktowanie krajobrazu, najwyraźniej występujące u Czaykowskiego. Znającym większe dawki wierszy poszczególnych autorów zestawy wydają się nie dość reprezentacyjne. Może sprawił to brak przekładów, może zasada pomijania utworów tak pełnych aluzji do literatury polskiej, jak „Kohelet” Buszy, nie do pojęcia dla cudzoziemców — a jednocześnie najlepszy jego utwór.

Antologia jest dwujęzyczna. Przekłady na język angielski są w większości pośrednim wynikiem pracy polonistów z kilku uni-



wersysetów, którzy wyszkolić potrafili młodych tłumaczy (analogiczne zjawisko obserwujemy w Lizbonie, gdzie, *of all places*, odbywają się wieczory poezji polskiej w przekładach na portugalski). Część przekładów wykonali sami, dwujezyczni co do jednego, poeci. Jeszcze inne ich koledzy (np. Adam Czerniawski) lub przyjaciele. Wiersz Czaykowskiego pt. „Modlitwa” przełożył Czesław Miłosz. Ogólny poziom przekładów wyrównany i dobry.

Antologia *Seven Polish Canadian Poets* koronuje *Pierwsze pięćdziesiąt lat* działalności Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie z siedzibą w Toronto. Na podkreślenie zasługuje fakt, że z pomocą przyszło wydawcom The Ontario Ministry of Citizenship and Culture through the proceeds of Wintario. W broszurze wydanej równocześnie z antologią<sup>2</sup> opublikowano sprawozdanie z dotychczasowej działalności Funduszu, listę członków i angielskie teksty dokumentów prawnych legalizujących działalność Polish-Canadian Publishing Fund.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

28 lutego 1985

2. *Pierwsze pięćdziesiąt lat*. Toronto 1984, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, str. 34. (Okładka i druk: Chalka Design, Toronto). (Biblioteka Polska w Kanadzie, Nr 4). Zawiera: Adam Tomaszewski: *Pięćdziesiąt lat Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie*; reprodukcje okładek już wydanych książek Adama Tomaszewskiego (*Gorzko pachną pioluny*), Andrzeja Cheiuka *Trzysta miesięcy* i Stanisława Kawczyńskiego *Dzieje jednego życia*; listę członków: teksty dokumentów prawnych).

## Świadomość narodowa w Polsce

Dobrze się stało, iż dwa długie artykuły Konstantego Symmons-Symonolewicza o początkach i rozwoju świadomości narodowej w Polsce ukazały się ostatnio w formie książki\*. Ten objętościowo nieduży, ale treściwy tom będzie wyjątkowo przydatny dla anglosaskich badaczy tego zagadnienia oraz dla studentów na wyższych uczelniach. Sprawa polskiej świadomości narodowej, będąca przedmiotem szeregu prac uczonych w Kraju, jest traktowana raczej po macoszemu na Zachodzie. Wśród pozycji w języku angielskim przychodzi jedynie na myśl artykuł Peter Brocka, „Polish Nationalism” w zbiorowym dziele *Nationalism in Eastern Europe* pod redakcją P. F. Sugara i I. J. Lederera, oraz Józefa Chlebowczyka *Procesy narodotwórcze we wschodniej Europie środkowej w dobie kapitalizmu, od schyłku XVIII*

\* Konstantin Symmons-Symonolewicz, *National Consciousness in Poland: Origins and Evolution* (Maplewood Press, Meadville, Pa., 1983), ix, 68 str.

do początków XX wieku ogłoszony w skróconej nieco wersji pt. *On Small and Young Nations in Europe* (Ossolineum, 1980). W obu zresztą przypadkach punkt ciężkości położony jest na wiek XIX, z pominięciem średniowiecza i wczesnej doby nowożytnej.

Fakt, iż świadomość narodowa nie była li-tylko produktem Rewolucji Francuskiej, ale wynikiem długiego procesu sięgającego wczesnego średniowiecza, jest w coraz większym stopniu uznany przez historyków. Przeszło trzy lata temu tematyce tej poświęcona była międzynarodowa konferencja (*The Concepts of Nationhood in Russia and Eastern Europe in the Early Modern Period*), na której przedstawiony został referat Janusza Tazbira dotyczący Polski i Edwarda Stankiewicza traktujący o Słowianach zachodnich. Tak więc główna teza Symmons-Symonolewicza, iż świadomość narodowa, zwłaszcza w Europie środkowo-wschodniej, istniała szereg wieków przed Rewolucją Francuską, nie powinna już podlegać dyskusji.

Symmons-Symonolewicz, emerytowany profesor socjologii i antropologii w Allegheny College w Pensylwanii, a częściowo historyk z wykształcenia (magisterium z tej dziedziny uzyskał na Uniwersytecie Warszawskim), poświęcił wiele swych prac zagadnieniu nacjonalizmu. Między innymi jest on autorem dzieł *Modern Nationalism Towards a Consensus in Theory* (1968) oraz *Nationalist Movements: a Comparative View* (1970). Jego obecna praca jest próbą systematycznego przeglądu rozwoju świadomości narodowej w Polsce i składa się z trzech rozdziałów: I. Od pierwszych przeblysków patriotyzmu do uformowania się narodowości średniowiecznej; II. Od federalizmu do rozwoju ponadnietnicznego „narodu sarmackiego”; III. Od patriotycznych reformatorów w późnym wieku XVIII do romantycznych wieszczów połowy XIX wieku. W przypisach znajdujemy bogatą literaturę przedmiotu, uwzględniającą zarówno opracowania dawniejsze jak i obecne. Oczywiście może to być jedynie wybór najważniejszych pozycji, gdyż wyczerpująca bibliografia przerastałaby rozmiary samej książki. Dlatego też sygnalizując kilka dodatkowych prac, zdaję sobie sprawę, że wyrażam jedynie moje własne preferencje. Wydaje mi się, że warto było odnotować dzieła Andrzeja Walickiego, dotyczące mesjanizmu i koncepcji narodu, jakkolwiek jego najważniejsza książka w języku angielskim: *Philosophy and Romantic Nationalism: The Case of Poland* (Oxford 1982) ukazała się zbyt późno, aby mogła być uwzględniona. Może warto było przypomnieć Handlsmana *Les idées françaises et la mentalité politique en Pologne* i zwrócić uwagę czytelnika anglosaskiego na doskonałe rozdziały Emanuela M. Rostworowskiego, dotyczące XVIII wieku, w zbiorowej *History of Poland* (Warszawa, 1968). Wychodząc z założenia, iż francuski jest mimo wszystko lepiej znany w USA i Kanadzie od polskiego, należało zaznaczyć, iż cytowane artykuły Łepkowskiego i Kieniewicza ukazały się w języku francuskim w *Acta Poloniae Historica* nr 19 (1968).

Oczywiście musimy pamiętać o tym, iż cenne dzieło Symmons-



Symonolewicz dotyczy nie całokształtu zagadnienia narodu i narodowości, ale świadomości narodowej, czyli jednego, choć może najważniejszego aspektu tej tematyki. Autor stwierdza to wyraźnie w przedmowie, gdzie pisze o trzech podejściach do procesu narodowo-twórczego: *ethnogenesis*, studium formowania się państwa narodowego, oraz badanie świadomości zbiorowej. Podkreśla on, iż zajmuje się jedynie tym trzecim tematem. Wstęp zawiera interesujące definicje świadomości narodowej przed erą nacjonalizmu, która różniła się zarówno od świadomości wspólnoty etnicznej jak i nowoczesnej świadomości narodowej. „Narodowość średniowieczna”, pisze autor w konkluzji do pierwszego rozdziału, odznaczała się świadomością identyczności narodowej wśród elity społecznej, z tym, że świadomość ta występowała również w jakimś stopniu wśród warstw niższych, przynajmniej w momentach konfrontacji z wrogiem zewnętrznym. Pojawienie się średniowiecznej koncepcji patriotyzmu i utożsamianie narodu (*natio* lub *gens*) z językiem — już w połowie XIII wieku — wskazują na to, iż świadomość narodowa w Europie środkowo-wschodniej nie była zjawiskiem późniejszym niż na Zachodzie.

Autor poświęca sporo miejsca w drugim rozdziale wpływowi sarmatyzmu na rozwój narodowości polskiej w dobie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Zwraca uwagę zarówno na pozytywny aspekt sarmatyzmu w okresie wcześniejszym, kiedy to przyczynił się do scementowania wieloetnicznego narodu szlacheckiego, jak i na konserwatywny i nietolerancyjny charakter sarmatyzmu w późnym XVII wieku. Szkoda, iż Symmons-Symonolewicz nie dotknął w tym rozdziale interesującej sprawy związków między protestantyzmem a rozwojem poczucia narodowego. Oczywiście w zwięzłym wykładzie trudno było pisać o tym szerzej, ale wydaje mi się, że pominięcie wkładu polskich protestantów nie jest uzasadnione. Na marginesie, sporo interesujących współczesnych wypowiedzi na temat świadomości narodowej znaleźć można w *Filozofii i myśli społecznej XVII wieku* (Warszawa 1979), część I, tom I. Może byłoby też wskazane parę słów na temat Unii Brzeskiej, zwłaszcza jeśli pomyślimy o wpływie Kościoła unickiego na formowanie się świadomości narodowej Ukraińców, nie mówiąc już o sprawie unitów w Chełmszczyźnie.

Rozdział trzeci jest może najmniej oryginalny, a sprawa przekształcenia się świadomości narodowej — a raczej rozszerzenie się jej na inne warstwy społeczne — stoi trochę w cieniu opisów wydarzeń politycznych. Wydaje mi się, że warto było zacytować artykuł czwarty Konstytucji 3 Maja, zwłaszcza słowa: „Lud rolniczy... który najlicniejszą w narodzie stanowi ludność”. Słowa Mazurka Dąbrowskiego można interpretować, jak to czyni autor, z naciskiem na słowa „będziem [czas przyszły — P.W.] Polakami”, ale można też uważać, iż „póki my żyjemy” oznacza identyfikację narodu z ludnością, a niekoniecznie z państwem. Wreszcie dla mnie osobiście wiersz Osińskiego (cytowany przez Kukiela) na powrót zwycięskiej armii Ks. Warszawskiego do stolicy w 1809 roku: „Polak nigdy nie umierał — Ziemię utracił, wydarto

mu prawa — On, wielkiej prawdy stając się dowodem, — Wskazał, że naród zawsze jest narodem — Gdy mu zostaje miecz, serce i sława”, stanowi ważną i optymistycznie brzmiącą afirmację poczucia narodowego, w nowym, wczesno-dzieńniastowiecznym wydaniu. Ale dobór cytatów to rzecz bardzo subiektywna.

Jeśli miałbym wyrazić jakieś uwagi krytyczne na temat książki Symmons-Symonolewicz, to wydaje mi się, że słabą jej stroną jest niedostateczne rozwinięcie wątku gospodarczo-społecznego. Autor zaznacza wyraźnie, że świadomość narodowa była początkowo ograniczona do elity i w małym stopniu obejmowała tzw. klasy niższe. W okresie prymatu „narodu szlacheckiego” występuje identyfikacja polskości, czy sarmatyzmu, z licznym wprawdzie, ale jednym stanem. Konstytucja 3 maja, konstytucja Ks. Warszawskiego i w jakiejś mierze konstytucja Królestwa Kongresowego rozszerzają bazę społeczną narodu. Łączy się to z ewolucją gospodarczą, choć nie twierdzą ani przez chwilę, iż mamy tu do czynienia z determinizmem ekonomicznym. Powstawanie klasy urzędniczej w okresie Księstwa a później inteligencji też pozostaje w jakimś związku z procesem powstawania „nowoczesnego narodu”. Zamykając swój wykład na Powstaniu Listopadowym, Symmons-Symonolewicz nie chce zapewne stawiać zagadnień, które należałoby prześledzić na przestrzeni całego XIX i początków XX wieku. Oczywiście nie jest *fair* krytykować autora za to, czego nie napisał. Jak już wspomniałem, głównym jego zamiarem było pokazanie, iż świadomość narodowa w Polsce powstała w XIX wieku. Cel ten osiągnął. Byłoby jednak cenne danie czytelnikowi anglosaskiemu pełnego przeglądu dziejów świadomości narodowej, z walką o duszę chłopca i powstawaniem nacjonalizmu „nowoczesnego Polaka” włącznie, choć sprawy te są lepiej znane i przebadane.

W zwięzłym wykładzie przeznaczonym dla Amerykanów Symmons-Symonolewicz jest zmuszony podać trochę podstawowych faktów i historycznego tła, co w wersji polskiej nie byłoby konieczne. Można jedynie podziwiać, iż potrafił to zrobić na tak małej ilości stron i bez uszczerbku dla głównego wątku. Od czasu do czasu zdarzają się drobne, bardzo drobne, poślizgnięcia faktograficzne, lub pewne, trudne do uniknięcia uproszczenia. Na przykład na stronie 32 autor pisze o pokoju z Rosją w 1664 roku. Rzeczywiście w tym roku zakończono wojnę, ale pokój (andruszowski) podpisano trzy lata później. Terminy *West* i *East Ukraine* na te same strony nie są całkiem jasne, tym bardziej, iż *West Ukraine* używa się też obecnie dla określenia Wschodniej Galicji. Stwierdzenie, że w Królestwie Kongresowym nie było namiestnika (*viceroy*) str. 53, nie jest ścisłe, gdyż godność tę piastował Zajaczk. Uwaga, że Królestwo Kongresowe było wolne od wewnętrznych podziałów i napięć („*spared internal cleavages and tensions*”) str. 57, jest niezbyt trafna. Ale są to rzeczy nieistotne, które nie wpływają na wartość tej pracy.

Jak już podkreśliłem, książka Symmons-Symonolewicz jest pracą ciekawą a tezy, które przedstawia i dokumentuje, powinny



trafić do przekonania czytelnikom amerykańskim. Chodzi tu zwłaszcza o studentów, którzy otrzymują krótką syntezę, jasno przedstawioną i zaopatrzoną w podstawową literaturę przedmiotu. Ogłaszając swe opracowanie, profesor Symmons-Symonolewicz oddał dużą przysługę nauce polskiej w Ameryce, za co winniśmy mu być wdzięczni.

Piotr WANDYCZ

## Zbigniew Herbert

W mediolańskim wydawnictwie Scheiwillera, znanym ze swego smaku typograficznego (małe książeczki-cacka), ukazał się tomik Zbigniewa Herberta: osiemnaście wierszy z *Raportu z obleżonego miasta* w oryginale polskim i w tłumaczeniu włoskim. Przełożył je doskonale Pietro Marchesani, jeden z najwybitniejszych dziś polonistów włoskich, profesor uniwersytetu w Genui. Marchesani przyswoił także czytelnikowi włoskiemu Miłosza, Konwickiego i Leca.

Amerykański kwartalnik poetycki *The Manhattan Review* poświęcił Herbertowi prawie w całości swój ostatni numer (zima 1984/1985). Składają się nań: przedmowa redaktora kwartalnika Philipa Frieda, rozmowa z Herbertem pary jego amerykańskich tłumaczy, Bogdany i Johna Carpenterów, wybór wierszy Herberta, skrócona wersja ostatniego rozdziału książki Stanisława Barańczaka *Uciekinier z Utopii*.

Rozmowa Carpenterów z Herbertem odbyła się w Warszawie w lipcu 1984. Warto przytoczyć niektóre wypowiedzi poety. Na pytanie o system komunistyczny Herbert odpowiada: „Jest nie-reformowalny... Musi być obalony, a nie zreformowany”. Od kiedy tak myśli? — „Od 20 września 1939, kiedy jako młody chłopiec zetknąłem się z Sowietami we Lwowie. Nie mogę się nadziwić pewnym intelektualistom, ja miałem moje objawienie *ab oculos*, a nie poprzez Marksa i Lenina. W ciągu kilku dni miasto zostało przeobrażone w obóz koncentracyjny”. Czy religia jest ważną częścią jego życia? „Jestem człowiekiem religijnym bez religii. Mam silne poczucie istnienia Boga, ale nie wierzę w Zmartwychwstanie, nie wierzę zatem w nagrodę”. Kto jest mu bliski z obcych pisarzy współczesnych? „Przed wszystkim Camus. Najbliższy jest mi w *Dżumie*. Podziwiam także Faulknera”. A z polskich pisarzy współczesnych? „Miłosz... Nie stworzył szkoły, ale jest wielkim poetą”. Wymienia go się (Herberta) często obok Różewicza. Co o nim sądzi? „Miał nadzwyczajny debiut, odnowił poezję polską... Stworzył poezję ogołoconą w sposób wspaniały, ale był głupi czy nieinteligentny. Był gwiazdą, aby

potem sprostytuować się kolaboracją”. Chodzi — wtrącają Carpenterowie — o okres stalinowski. A co robił w tym czasie sam Herbert? W 95% pisarze polscy pisali wtedy rzeczy, o których woleliby dziś zapomnieć. Czy i on miałby sobie coś do wyrzucenia? — „Moim jedynym kompromisem była zgoda na wydrukowanie wiersza *Węgrom* (napisanego w roku 1956) bez tytułu... Interesuje mnie wydanie antologii poezji pisanej w czasach stalinowskich (uśmiech, po czym wybuch śmiechu). Dla działwy szkolnej. Dzieci są za młode, żeby pamiętać. Trzeba je uświadomić”. Czy był kiedykolwiek komunistą? „Nie byłem nigdy ani komunistą, ani socjalistą. Pociągała mnie zawsze sprawiedliwość ludzka. Gdy byłem w Europie Zachodniej, nie mogłem znieść tych przeklętych 'lewicowców', którzy nigdy nie widzieli cierpienia”. Jakie są jego związki z „Solidarnością”? — „Mam zobowiązania wobec ludzi siedzących w więzieniu, jak Adam Michnik. Trzeba zachować powściągliwą nadzieję, wierność zasadom ludzkiej przyzwoitości, solidarności, lojalności, miłości, honoru”. Czy jego wiersz *Zapiski z martwego domu* jest aluzją do sytuacji polskiej? — „Po części, myślałem o moich przyjaciółach z KOR-u i ich samotnej walce gladiatorów. Nie są masochistami. Wiem, co oznacza bunt w sytuacji całkowitego opuszczenia i odarcia z godności. Przeżyłem przegraną bitwę AK. Samotność tych wszystkich, którzy przegrali bitwę, lecz nie podają się. Jestem za uporem”.

## Nadesłane nowości wydawnicze

*Ewangelia według Marka. Apokalipsa*. Tłum. z greckiego Czesław Miłosz. Str. 153 i 3 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1984).

ABLEWICZ (Jerzy, bp). *Będziecie moimi świadkami. Rekolekcje watykańskie 8-14. III. 1981*. Str. 315 i 1 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).

ZUBERBIER (Andrzej, ks.). *Wierzę*. Str. 372 i 4 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1983).

PIASECKI (Sergiusz). *Bogom nocy równi*. Str. 409 i 7 nłb. (Wyd. Orbis Books, Londyn 1985).

*Informations. Biuletyn Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych*. Nr 3. Str. 134 i 2 nłb. (Rzym-Warszawa 1984).

POSPIESZALSKI (Antoni). *Wiara szukająca zrozumienia*. Eseje. Str. 303 i 1 nłb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1985).

HEBDA (Jerzy R. S.). *Refreny. Wiersze wybrane 1981-1984*. Str. 63 i 1 nłb. (Wyd. Poets and Painters Press, Londyn 1985).

KAZ-OSTASZEWICZ (Kazimierz). *Kłosa*. Str. 150 i 2 nłb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).

LACHOCKI (Franciszek). *Za koronkowe wieczory*. Str. 46 i 2 nłb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).

PODGORECKI (Adam). *The Puzzles of Si-Tien*. Str. 43 i 5 nłb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1985).



- PANKOWSKI (Marian). *Patnicy z Macierzyzny*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1985).
- PETRARCA (Francesco). *Sonety*. Przeł. Stefan Jankowicz. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1984).
- ROTHENBERG (Samuel). *List o zagładzie Żydów w Drohobyczu*. Opr. Edmund Silberner. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1984).
- SZETELNICKI (Wacław, ks.). *Zapomniany lwowski bohater ks. Stanisław Frankl (1903-1944)*. Przedmowa bp I. Tokareczuk. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. w Rzymie, 1983).
- Książka pamiątkowa Polonii okręgu Kitchener, Ontario, Kanada*. Str. 242 i 1 nlb. (Wyd. Okręgowy Komitet Milenium Polski Chrześcijańskiej, Kitchener Ont., Kanada).
- MIERZYŃSKA (Zofia). *Wakacjuszka*. Str. 64 i 2 nlb. (Wyd. Z and L Song and Publishing Co., Chicago 1983).
- MIERZYŃSKA (Zofia). *Wakacjuszka*. Część druga. Str. 83 i 3 nlb. (Wyd. Z and L Song and Publishing Co., Chicago 1984).
- BATEROWICZ (Marek). *Pułapka pod księżycem*. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Literackie, Kraków-Wrocław 1983, cena zł 30).
- Dwieście lat USA. Ideaty i paradoksy historii amerykańskiej*. Wybór i wstęp Lawrence D. Orton. Str. 437 i 3 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1984, cena zł 280).
- HERLING (Gustaw). *Un monde à part*. Tłum. z ang. William Desmond. Wstęp Jorge Semprun. Str. 304 i 4 nlb. (Wyd. Denoël, Paryż 1985, cena F. 128).
- HELLER (Michel). *La machine et les rouages. La formation de l'homme soviétique*. Tłum. z ros. Anne Coldefy-Faucard. Str. 322 i 6 nlb. (Wyd. Calmann-Levy, Paryż 1985, cena F. 89).
- FEHER (Ferenc), HELLER (Agnes). *L'Europe de l'Est dans l'ombre d'un nouveau Rapallo*. Projet de recherche: Les crises des systèmes de type soviétique, étude n° 6. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Indeks, Kolonia, RFN).
- Gathering Time: Five Modern Polish Elegies* (Iwaszkiewicz, Wierzyński, Jastrun, Miłosz, Białoszewski). Opr. i tłum. A. Busza i Bogdan Czaykowski. Str. 63 i 11 nlb. (Wyd. Crispin and Jan Elsted at Barbarian Press, 1983).
- SUKIENNICKI (Wiktor). *East Central Europe During World War I: From Foreign Domination to National Independence*. Opr. Maciej Siekierski. Wstęp Czesław Miłosz. Vol. I. Str. 654 i 2 nlb. (Wyd. East European Monographs, Boulder, Nowy Jork 1984).
- MAREK (Edmond). *Le general Sikorski et ses soldats dans la campagne de France (1939-1940)*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, Lille 1985).
- Poland Under Jaruzelski. A Comprehensive Sourcebook on Poland during and after Martial Law*. Opr. Leopold Labedz i zespół Survey Magazine. Str. 432. (Wyd. Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1984).
- KARSKI (Jan). *The Great Powers and Poland 1919-1945. From Versailles to Yalta*. Str. 697 i 7 nlb. (Wyd. University Press of America, Inc. 1985).
- ZIOŁKOWSKA (Aleksandra). *Dreams and Reality. Polish Canadian Identities*. Str. 338 i 6 nlb. (Wyd. The Adam Mickiewicz Foundation in Canada, Toronto 1984).
- SHUMUK (Danylo). *Life Sentence: Momoires of a Ukrainian Political Prisoner*. Str. 401 i 1 nlb. (Wyd. Canadian Institut of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1984).
- GIEDROYC (Michał). *The Rulers of Thirteenth-Century Lithuania: a Search for the Origins of Grand Duke Traidenis and his Kin*. (Nadbitka z Oxford Slavonis Papers, volume XVII, 1984). Str. 22. (Wyd. Clarendon Press, Oxford).

## Z ostatniej chwili

### Rozmowa z Jeane J. Kirkpatrick

#### EUROPA WSCHODNIA W AMERYKAŃSKIEJ POLITYCE ZAGRANICZNEJ

Jeane Jordan Kirkpatrick jest pierwszą kobietą w historii, która pełniła funkcję ambasadora amerykańskiego przy ONZ. W ciągu ostatnich czterech lat była członkiem rządu Stanów Zjednoczonych i zasiadała w Radzie Bezpieczeństwa państwa. Sprawowała te funkcje w republikańskiej administracji Reagana jako jeden z niewielu członków Partii Demokratycznej. Ale Jeane Kirkpatrick jest nietypową demokratką reprezentującą raczej poglądy grupy amerykańskich neokonserwatystów. Zarówno w ONZ jak i w rządzie była zwolennikiem twardej linii w amerykańskiej polityce zagranicznej, szczególnie w stosunkach z Sowietami.

Oczekiwano, że podczas drugiej kadencji prezydenckiej Reagana, Kirkpatrick odgrywać będzie jeśli nie naczelną to jedną z głównych ról w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Mówiono, że objąć może stanowisko sekretarza Stanu lub doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa państwa. Tak się jednak nie stało. 30 stycznia tego roku Kirkpatrick złożyła na ręce prezydenta Reagana rezygnację z piastowania funkcji ambasadora amerykańskiego przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jej kadencja wygasła 31 marca. Poniższego wywiadu Jeane Kirkpatrick udzieliła specjalnie dla redakcji *Kultury*.

Robert KOSTRZEWA: — *Prezydent Roosevelt w przemówieniu 1 marca 1945 roku na sesji połączonych izb Kongresu, stwierdził, że konferencja jałtańska okazała się dyplomatycznym sukcesem ponieważ zakończyła w polityce międzynarodowej „okres jednostronnych paktów i akcji dyplomatycznych, sfer wpływów, równowagi sił i innych metod w polityce między państwami, metod*



*próbowanych przez stulecia i zawsze zawodzących". Rzeczywiście, w Jaltcie ustanowiono nowy porządek w Europie i na świecie. Porządek ten jednak okazał się zasadniczo różny od tego jaki przewidywał Roosevelt. W różnych okresach powojennych dziejami, Węgrzy, Czesi, czy Polacy ścierali się i ginęli w walce z rządami, które prawomocność swą do dziś dokumentują układem w Jaltcie. Alexis de Tocqueville napisał kiedyś, że Rewolucja Francuska była wydarzeniem historycznym „tak nieuniknionym a jednocześnie tak zupełnie nieprzewidywanym”. Do jakiego stopnia, Pani zdaniem, konsekwencje Jaltty były nieprzewidywane, i czy były nieuniknione?*

Jeane KIRKPATRICK: — Po pierwsze, nie myślę, że w ogóle były przewidziane, a już na pewno nie przez prezydenta Roosevelta. Churchill miał większe wyczucie zaistnienia poważnych problemów w okresie powojennym. Powiedzenie jednak, że Churchill wszystko przewidział i nie zrobił nic, aby temu zapobiec byłoby krzywdzące. Miał on pewne przeczucia co do konsekwencji Jaltty, ale na pewno nie uzmysławiał sobie tego zbyt jasno. Roosevelt natomiast był całkowicie skoncentrowany na zakończeniu wojny. Było to dla niego problemem podstawowym i zupełnie nie przewidywał rozwoju wypadków politycznych w Europie w okresie powojennym. Można by powiedzieć, że Roosevelt nie traktował drugiej wojny światowej po Clausewitzowsku, to jest jako kontynuacji polityki za pomocą innych środków. Na ogół spodziewano się, że w okresie powojennym zostanie zachowana ciągłość w polityce europejskiej. Nie sądzę jednak, aby widział to w ten sposób Roosevelt. Jeśli chcemy zrozumieć czego oczekiwali Roosevelt wystarczy przyjrzeć się strukturze Organizacji Narodów Zjednoczonych — tam widać to najwyraźniej. Jeśli chodzi o to czy konsekwencje Jaltty były przewidziane, moja odpowiedź brzmi: — Nie. Czy były nieuniknione? — Nie. Nie wierzę w nieuniknione konsekwencje. Tak samo nie uważam, abyśmy kiedykolwiek mogli zgodzić się z poglądem, że np. dzisiejsza sytuacja w Polsce jest nieuniknioną konsekwencją Jaltty, lub, że jest przez Jaltę uprawomocniona: umowa jaltańska zobowiązała swych sygnatariuszy do wyboru polskiego rządu w drodze autentycznych wolnych wyborów. Gdyby tak się stało, historia Polski potoczyłaby się zupełnie inaczej. Nie powinniśmy zapominać, że nie tyle na skutek układu jaltańskiego co raczej wskutek jego pogwałcenia ustanowiony został w Polsce ustrój, który trwa do dzisiaj. To w końcu Armia Czerwona i polityczna wola Stalina doprowadziły do powstania poddańszych państw w Europie wschodniej. Wszystkie te rządy powstały w cieniu Czerwonej Armii i przetrwały w jej cieniu.

R.K.: — *W Stanach Zjednoczonych prawie zupełnie przemilczano 40-tą rocznicę podpisania układu jaltańskiego. Milczenie to jest kolejnym potwierdzeniem zgody Ameryki na obecny podział Europy. Czy widzi Pani w dzisiejszej polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych możliwość sensownego „wyjścia z Jaltty”?*

J.K.: — Myślę, że zadając to pytanie należy przede wszystkim pamiętać, że amerykańska interpretacja Jaltty jest odmienna od interpretacji sowieckiej. Obecny prezydent, tak zresztą jak każdy amerykański prezydent, interpretuje Jaltę tak, jak ja to opisałam. Dzisiejszy rząd amerykański z pewnością nie traktuje Jaltty jako „uprawomocnienia” sowieckiej dominacji czy stałej obecności armii sowieckich w Europie wschodniej. Problem polega nie tyle na „wyjściu z Jaltty” co na odbudowaniu samostanowienia narodów w bloku wschodnim. Jest to jednak — jak sądzę — zupełnie odmienny problem od stworzonego kiedyś przez formalne podpisanie deklaracji jaltańskiej. Jest to problem polityki realnej.

R.K.: — *W jakim sensie Europa wschodnia jest dziś obiektem zainteresowania Stanów Zjednoczonych? Czy Ameryce zależy na lepszych stosunkach z rządami komunistycznymi, czy raczej liczą się dla Stanów nastroje silnie pro-amerykańskie w narodach bloku sowieckiego?*

J.K.: — Zabrzmiało to jak slogan ale, najogólniej rzecz ujmując, celem polityki amerykańskiej jest świat pokoju. Świat w którym społeczeństwa rządzone są demokratycznie a narody są niepodległe. W Europie wschodniej prawa te są oczywiście pogwałcone. Nie możemy zatem patrzeć na to obojętnie. Nie sądzę natomiast, aby kraje bloku wschodniego były dla Stanów obiektem specjalnego zainteresowania gospodarczego. Dlatego też nie ma powodu aby czynnik ekonomiczny określał kierunek naszej polityki. Jest natomiast całkowicie zrozumiałe, że przy formułowaniu naszej polityki powinniśmy liczyć się ze stanowiskiem emigrantów ze wschodniej Europy, tak jak liczymy się z głosem emigrantów kuubańskich w kwestiach dotyczących polityki wobec Kuby. W końcu jesteśmy narodem emigrantów, składającym się przy tym z wielu przybyszów ze wschodniej Europy, i nie możemy pominąć faktu, że dla tych ludzi sprawy wschodnioeuropejskie są największą pasją życia. Nie sądzę jednak aby zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Europą wschodnią mogło być szczególnie duże. Nie myślę też aby obecność armii sowieckich na terytorium państw bloku wschodniego była dla Ameryki jakimś zasadniczym



problemem strategicznym. Jest to przede wszystkim problem dla ludności krajów wschodniej Europy.

R.K.: — *Powiedziała Pani kiedyś, że system sowiecki opiera się na manipulacji ludzkimi wartościami, doskonałości organizacji władzy i opanowaniu technologii przemocy. Zachód natomiast musi stawiać czoła sowieckiemu wyzwaniu zgodnie ze swymi demokratycznymi zasadami. Czy możliwa jest zatem odpowiednia reakcja na to wyzwanie?*

J.K.: — Jest to jedyna możliwa reakcja właśnie dlatego, że my jesteśmy dokładnie tacy, jacy jesteśmy, i że oni są tym, czym są. Względem moralne i polityczne, którymi kierujemy się przy określaniu naszych celów, czy opracowywaniu naszej strategii, są — jak myślę — tak samo wiążące jak wiążącymi być mogą względy natury ekonomicznej czy wojskowej. Uważam, że jeśli z realizmem, jasnością widzenia i nieustępliwością stawimy czoła problemom stworzonym przez charakter sowieckiego ustroju to z łatwością możemy wtedy uporać się z nimi w ramach naszych tradycyjnych moralnych zastrzeżeń. Jest to postawa intelektualna która, nawiasem mówiąc, dla ludzi ze wschodniej Europy jest często denerwująca i trudna do zaakceptowania. Niemniej jednak głęboko wierzę w jej słuszność.

R.K.: — *Jak ocenia Pani z perspektywy dziesięciu lat, które minęły od podpisania dokumentu helsińskiego, skuteczność przyjętej przez Zachód w latach 70-tych polityki poszanowania praw człowieka jako narzędzia w polityce zagranicznej państw zachodnich wobec bloku sowieckiego? Czy warto poświęcać tyle energii i pieniędzy na rokowania z rządami państw komunistycznych a potem zawsze znajdować się w sytuacji absolutnej bezsilności przy egzekwowaniu jakichkolwiek postanowień, dotyczących poszanowania tychże praw w systemie sowieckim? Za przykłady niech posłużą: inwazja i okupacja Afganistanu, sprawa Sacharowów, czy Polska Jaruzelskiego; w lutym 1982 roku wznowiono obrady madryckiej konferencji do Spraw Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w niespełna dwa miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego...*

J.K.: — Jest to niezwykle trudne pytanie. Pozwolę sobie zacząć od przypomnienia, że mój przyjaciel i wieloletni współpracownik polityczny, Max Kampelman, wierzy święcie, że warto było podjąć ten wysiłek, i że można osiągnąć pewne sukcesy — nawet

przy egzekwowaniu postanowień układu helsińskiego. Osobiście nie jestem wcale przekonana czy w takich wypadkach zyski przeważają straty. Jest przecież tak wiele, od dawna istniejących, wartościowych dokumentów, które Sowiety podpisywały łąmiąc potem regularnie ich postanowienia. Trzeba mieć zatem bardzo konkretne powody, dla których rozpoczynamy kolejne negocjacje z państwami komunistycznymi. I nie można potem tłumaczyć się, że prowadziliśmy rokowania oczekując, że dana umowa zostanie wprowadzona w życie. Weźmy na przykład taki dokument jak Deklaracja Praw Człowieka. Eleonora Roosevelt spędziła nad nim strasznie dużo czasu i sił a stał się on tylko rodzajem pomnika na cześć tego jej wysiłku. W praktyce postanowienia Deklaracji łamane są regularnie i systematycznie. Przecież także Jałta obiecywała wolne wybory w Polsce... Wiemy już więc, że nie ma żadnych racjonalnych podstaw aby zakładać, że postanowienia porozumień zawieranych z Sowietami będą dotrzymane. Jaki może być zatem powód podpisywania tego rodzaju umów? Chyba tylko ten, aby raz jeszcze pokazać, że wszyscy — nawet Związek sowiecki i jego sojusznicy — zgadzają się na to, że takie zasady jak wolność słowa i prasy, praworządność, czy prawo do emigracji lub zrzeszania się powinny być respektowane; że nawet te powinny obowiązywać. Szczerze mówiąc, nie wiem — może to i pożyteczne. A może, z drugiej strony, to tylko cynizm, gdy prowadzi się rokowania i podpisuje umowy nie mając żadnej realnej nadziei na wprowadzenie ich w życie. Może świadczy to tylko o dewaluacji języka, kiedy angażujemy się w niekończące się rozmowy i negocjacje zgadzając się na to, aby jedna ze stron używała retoryki poszanowania praw człowieka w sposób tak nieuczciwy. Mam zatem bardzo mieszane uczucia w tej kwestii i myślę, że decyzję co do rozpoczynania rozmów z Sowietami podejmować należy biorąc przede wszystkim pod uwagę jakiegoś konkretnego zysku, które można osiągnąć w danej sytuacji. Trzeba wiedzieć dokładnie co zostało uzgodnione i co podpisujemy. Jeżeli podchodzić będziemy do tego uczciwie, w żadnym wypadku nie tolerując pogwałceń podpisanych już umów (jeśli np. stanowczo reagować będziemy na los grup helsińskich w Związku sowieckim i w krajach Europy wschodniej), to wtedy przynajmniej nie wyrządzamy sobie samym krzywdy. Natomiast przemykanie oczu na rzeczywistość jest niezwykle szkodliwe. Umowy takie pozwalają nam jedynie unikać konfrontacji z nieprzyjemnymi realiami. Nie powinniśmy nigdy tak postępować.

R.K.: — *Była Pani przez ponad cztery lata ambasadorem amerykańskim przy ONZ-cie i z pewnością odpowiadała Pani na tysiące*



pytań związanych z funkcjonowaniem tej instytucji. Chciałbym poruszyć tu kwestię, która tylko pośrednio związana jest z ONZ. Sowieckie republiki, ukraińska i białoruska, są pełnoprawnymi członkami Organizacji Narodów Zjednoczonych, dzięki temu Sowioci zyskują we wszystkich debatach dwa dodatkowe głosy. Czy nie warto by podjąć starań dyplomatycznych aby zamiast przedstawicielstw konsularnych stworzyć ambasady amerykańskie na Ukrainie i na Białorusi. Czy nie sądzi Pani, że miałyby to pewne znaczenie polityczne w rozgrywkach z Sowietami?

J.K.: — Nie myślę aby rząd Stanów Zjednoczonych kiedykolwiek podjął działania w tej sprawie. Po pierwsze, przyjęcie Ukrainy i Białorusi jako pełnoprawnych członków ONZ-tu nigdy nie powinno było mieć miejsca. Z Ukrainą w Radzie Bezpieczeństwa Sowiety miały tam z miejsca dwa głosy. Trudno oczekiwać, że rząd Stanów Zjednoczonych — zgadzając się kiedyś lekkomyślnie na członkostwo Ukrainy i Białorusi w ONZ-cie jako niezależnych państw — rozpocznie nagle kampanię polityczną, która potwierdzałaby tylko nasze własne błędy. Jeśli chcielibyśmy być konsekwentni nigdy nie powinniśmy byli się zgodzić na to, aby Ukraina i Białoruś weszły w skład ONZ-tu. Trudno oczekiwać od polityków którzy na to kiedyś przystali, aby teraz starali się dowiedzieć jakim to było absurdem.

R.K.: — Stwierdziła Pani kiedyś, że „dzisiejsza polityka zagraniczna [Stanów Zjednoczonych] musi być wyznaczana przez fakt, że imperium sowieckie rozkłada się od wewnątrz. Główne przyczyny tego rozkładu to przede wszystkim rosnące żądania większej wolności i autonomii ze strony narodu polskiego, oraz fakt, że marksizm jako ideologia utracił już zupełnie siłę motywacji w społeczeństwach państw komunistycznych”. Jaki wpływ miały wydarzenia w Polsce, między rokiem 1980 a chwilą obecną, na kształt amerykańskiej polityki zagranicznej? Czy zastosowana polityka była możliwie najlepsza?

J.K.: — Myślę, że nauka wypływająca z wydarzeń w Polsce powinna przekonać Stany Zjednoczone, że nie powinny pomagać Związkowi Sowieckiemu w utrzymaniu władzy w państwach Europy wschodniej; że nie powinniśmy pomagać Związkowi Sowieckiemu w rozwiązywaniu problemów natury gospodarczej czy technologicznej; że nie powinniśmy, na przykład pomagać Związkowi Sowieckiemu w utrzymaniu hegemonii nad Polską. Jako minimum — nie powinniśmy im w tym pomagać. Czy założenie to zostało wprowadzone w życie w sposób najbardziej skutecz-

ny? — Nie. Osobiście życzyłabym sobie, aby nasza polityka sankcji ekonomicznych została utrzymana. Szczerze mówiąc, chciałam, aby pozwolono Polsce zbankrutować w momencie ogłoszenia stanu wojennego, a przynajmniej nie należało znosić tak szybko sankcji gospodarczych. Myślę też, że nasze stanowisko w sprawie budowy gazociągu łączącego Europę zachodnią z Sowietami było całkowicie słuszne. Zakładamy zawsze że udostępniana Związkowi Sowieckiemu technologia nie może być używana do celów wojskowych — dlatego życzyłabym sobie aby nasze programy wymiany zdobyczy technicznych i technologicznych opracowane były z większą ostrożnością i umiarem. Trzeba jednak podkreślić, że dzisiejszy rząd amerykański zrobił wyraźne postępy we wszystkich wyżej wymienionych dziedzinach. Uważam, że sankcje wobec Polski okazały się skuteczne, i że niedopuszczanie przez nas Polski do wejścia w skład Międzynarodowego Funduszu Monetarne było jedyną słuszną polityką. Tak samo jak ważna była opozycja wobec budowy sowieckiego gazociągu na terenie Europy Zachodniej. Obecny rząd zrobił już dużo jeśli chodzi o próby zatrzymania przepływu zachodniej technologii na użytek sowieckiej maszyny przemysłowej. Życzyłabym sobie tylko, aby ta polityka była stosowana szerzej i bardziej konsekwentnie. Bardzo źle się stało, w związku z tym, że wycofaliśmy amerykańskie veto blokujące przystąpienie Polski do Międzynarodowego Funduszu Monetarne...

R.K.: — Jaka może być zatem rola sankcji ekonomicznych w amerykańskiej polityce zagranicznej wobec Związku Sowieckiego i jego satelitów?

J.K.: — Uważam, że ekonomia jest sowiecką piętą achillesową. Trudno powiedzieć że mają oni jakiegokolwiek gospodarcze sukcesy. Mimo tego, że władza komunistyczna przywiązuje bardzo małą wagę do polepszenia warunków życia sowieckich obywateli (czy choćby utrzymania ich na tym samym poziomie), to jednak żaden rząd nie może całkowicie ignorować problemu wyżywienia własnego społeczeństwa. Jest więc niezwykle ważne, aby Zachód nie rozwiązywał tego problemu za rząd sowiecki. Rozwiązując za nich problem wyżywienia sowieckiego społeczeństwa i umożliwiając im dostęp do zachodnich walut, pozwalamy im na inwestowanie w maszynę wojskową. Zachód płaci za to podwójną cenę. Po pierwsze ponosimy koszty licznych przywilejów handlowych, przyznawanych Związkowi Sowieckiemu i jego satelitom; a następnie płacimy po raz drugi, ponosząc koszty rozbudowy własnego sektora wojskowego, aby nadążyć za stanem sowieckie-



kiego uzbrojenia. Uważam więc, że jest to dla Stanów Zjednoczonych i Zachodu polityka niezwykle szkodliwa. Najważniejsze jest to, aby Zachód nie brał na siebie ciężaru związanego z rozwojem gospodarczym w państwach komunistycznych nie tylko udostępniając Sowietaom wysoką technologię, ale także udzielając im pożyczek na najbardziej korzystnych warunkach. Np. Francja przez ostatnie 15 lat udziela Związkowi Sowieckiemu pożyczek na warunkach dużo bardziej korzystnych niż własnym obywatelom. Myślę, że jest to niezwykle krótkowzroczna polityka, ponieważ nie wierzę, aby prowadziła do pewnego rodzaju zależności sowieckiej od Zachodu jak to pierwotnie przewidywała teoria *détente*. Sądzę, że zwalnia to po prostu sowieckie fundusze i umożliwia im inwestycje wojskowe.

R.K.: — *Tego rodzaju stanowisko amerykańskie ma jednak wielu przeciwników. Okazało się to wyraźnie w opozycji państw zachodniej Europy do sankcji ekonomicznych wobec bloku wschodniego.*

J.K.: — Nie ma na to innego rozwiązania jak to, które zastosował pierwszy rząd Reagana, który wprowadził własne ograniczenia handlowe i licencyjne, dyskutował na ten temat z członkami Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i próbował przekonać sojuszników Ameryki o słuszności takiego naszego stanowiska. Jest to jedyna metoda, aby tendencjom tym przeciwdziałać.

R.K.: — *Niektórzy członkowie rządu amerykańskiego, zwłaszcza odpowiedzialni za sprawy polskie urzędnicy Departamentu Stanu (dość zresztą niskiego szczebla), wydają się wierzyć, że w ostatecznym rozrachunku Jaruzelski jest polskim patriotą. Uważają oni, że w końcu w Polsce nie jest tak źle i że mogłoby być gorzej gdyby zabrakło Jaruzelskiego. Opinia taka, jak sądzę, skłoniła polityków w Waszyngtonie do zniesienia sankcji wobec Polski. Władza w Warszawie musiała spełnić pewne warunki (chodzilo przede wszystkim o zwolnienie większości więźniów politycznych), aby „znormalizować stosunki” ze Stanami Zjednoczonymi. Sytuacja ta najlepiej pokazała jak polityka poszanowania praw ludzkich wykorzystywana być może przez brutalnych i bezwzględnych manipulatorów. Najpierw się ludzi aresztuje, potem wypuszcza się ich, aby poprawić sobie nadszarpniętą reputację, a kiedy osiągnie się już zamierzony cel aresztuje się ich ponownie. Następnie, jeśli konieczne, wolno nawet zabijać i „sprawiedliwie” osądzać sprawców (jak to miało miejsce w przypadku morderców księdza Popietuski). Czy Pani współpracownicy w rządzie amerykańskim*

*ciągle jeszcze niedostatecznie dobrze rozumieją istotę systemu sowieckiego?*

J.K.: — Nie. Nie myślę, aby tak było. Uważam, że bardzo dobrze rozumie to Ronald Reagan, a także niektórzy członkowie naszego rządu. Problem, o którym Pani mówi, wynika natomiast z pewnej głęboko zakorzenionej skłonności do optymizmu w postrzeganiu sowieckiego systemu, tendencji widocznej w przeszłości w stosunku do hitlerowskich Niemiec, komunistycznego Wietnamu, czy Chin ludowych. Jest to pełen nadziei optymizm który nie pozwala na uświadomienie sobie brutalnej rzeczywistości przemocy w systemach totalitarnych. Skłonność ta do dziś istnieje u pewnej części członków rządu Stanów Zjednoczonych, ale nie w całym rządzie.

R.K.: — *Rok temu, w rozmowie z Georgem Urbanem, opublikowanej w londyńskim miesięczniku Encounter, mówiła Pani o roli zachodnich rozgłośni radiowych we wspieraniu ruchów opozycyjnych w bloku sowieckim. Czy widzi Pani jakieś inne pokojowe metody amerykańskiej pomocy dla narodów wschodniej Europy?*

J.K.: — Rolę taką może pełnić np. wymiana kulturalna i naukowa. Nie tylko rozgłośnie radiowe ale także szeroki dostęp do informacji i książek jest bardzo istotny. Ważne jest to wszystko, co może być pomocne w popularyzowaniu alternatywnych wizji rzeczywistości czy w ukazaniu przeciwnych totalitaryzmowi systemów i politycznych i społecznych. Ważna jest też możliwość podróżowania i szerzej otwarte granice. Są to wszystko środki nie do pogodzenia z monolityczną kontrolą, którą rządy totalitarne próbują narzucić społeczeństwu.

R.K.: — *Dlaczego zatem politycy amerykańscy nie przywiązują należytej wagi nawet do tak skutecznych środków, jak rozgłośnie radiowe? Czy nie sądzi Pani, że w dzisiejszej wojnie ideologicznej z Sowietaami rozgłośnie odgrywać powinny rolę niemalże strategiczną?*

J.K.: — Całkowicie się z tym zgadzam. Wielokrotnie starałam się o większą pomoc, o większe środki finansowe, i doskonalszą aparaturę techniczną dla utrzymywanych przez nas rozgłośni radiowych. Problem o którym tu mówimy jest jednak dużo bardziej skomplikowany. Uważam, że celem polityki rządu Stanów



Zjednoczonych wcale nie jest — i nie myślę aby być powinno — podżeganie narodów Europy wschodniej do wrogości wobec rządów, pod którymi przyszło im żyć. Mówiłam o tym tak wiele w wywiadzie dla *Encountera* ponieważ uważam, że może to być bardzo niebezpieczne. Aktywny opór w ustroju totalitarnym może dla poszczególnych ludzi pociągnąć za sobą najstraszniejsze konsekwencje. Przekonali się o tym przecież przywódcy „Solidarności”. Rząd Stanów Zjednoczonych nie może namawiać kogokolwiek do walki z władzą komunistyczną, jeśli nie jest gotowy mu potem realnie pomóc. Decyzje o oporze wobec jakiegokolwiek tyranii podejmować muszą ci, których to najbardziej dotyczy. Uważam, że możemy bardzo dopomóc w podtrzymaniu ducha tego oporu w narodach Europy wschodniej. Nie jest jednak w naszej mocy, aby uchronić tych którzy walczą z władzą komunistyczną przed konsekwencjami tej walki — w sytuacji kiedy ludzie ci znajdują się w rękach swego własnego rządu. Dlatego myślę, że decyzje co do aktywnego oporu wobec despotycznych rządów muszą być podejmowane indywidualnie, z pełną świadomością branego na siebie niebezpieczeństwa.

Byłam dosyć młoda w czasie kiedy wybuchło powstanie na Węgrzech. Wielkie było moje oburzenie, szczególnie wtedy, kiedy rząd Stanów odmówił zgody na wyjazd młodym Amerykanom, którzy chcieli przyłączyć się do walki węgierskich bojowników. Pamiętam też bardzo wyraźnie zarzuty wysuwane w tym czasie pod adresem Ameryki — że podżęgalismy powstańców węgierskich a potem nie udzieliliśmy im oczekiwanej pomocy. To bardzo poważne oskarżenie. Znalezienie się w takiej sytuacji świadczyć może tylko o moralnej nieodpowiedzialności, zarówno w sensie ludzkim jak i politycznym.

R.K.: — *Czy widzi Pani jakieś sposoby krzewienia przez Zachód idei demokratycznego kapitalizmu w krajach Europy wschodniej?*

J.K.: — Myślę, że jeżeli pojawi się w państwach komunistycznych ruch w kierunku rozwoju kapitalizmu to nastąpi to raczej od wewnątrz niż od zewnątrz. Pojawi się on od wewnątrz na skutek upadku socjalizmu. Brytyjski historyk, Norman Stone, przygotowuje właśnie dokumentalny serial telewizyjny dla BBC o upadku socjalizmu w Europie wschodniej. Fiasko socjalizmu jako systemu ekonomicznego w bloku sowieckim jest już dzisiaj oczywiste i kolosalne. Stwarza to pewnego rodzaju dynamikę i zmusza rząd państw komunistycznych do próbowania alternatyw. Jest niezwykle ważne, aby Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie nie pomagały rządowi sowieckich satelitów w kon-

tynuowaniu polityki, która nie tylko prowadzi do katastrofy gospodarczej ale jest również ściśle powiązana z systemem politycznych represji. Istotne jest abyśmy nie finansowali rządów Europy wschodniej przyznając im ciągle pożyczki i subsydia, czy prowadząc politykę handlową lub monetarną która zmniejszałaby ich problemy. Nie myślę aby było to w naszym interesie, a na pewno nie jest to w interesie narodów wschodniej Europy. Jeśli przestaniemy rozwiązywać za komunistów problemy ekonomiczne to wewnętrzna dynamika upadku gospodarczego może — tak jak to się dzieje na Węgrzech — doprowadzić do większego zakresu swobód i incjatywy w sferze gospodarczej. Demokratyczny kapitalizm wymaga oczywiście dużo większych swobód politycznych i społecznych, na które nie ma żadnych szans w systemie komunistycznym.

R.K.: — *Czy nie sądzi Pani, że to paradoks, iż w takim kraju jak Węgry opozycja polityczna jest bardzo słaba mimo stosunkowo dużych swobód w działalności gospodarczej?*

J.K.: — Sytuację taką można jednak utrzymać tylko na krótką metę. Szczerze mówiąc, wątpię, aby w jakimkolwiek społeczeństwie można było na dłuższą metę pogodzić wysoki poziom swobód w dziedzinie gospodarczej z niskim poziomem wolności politycznej. Podkreślam, że mam na myśli dłuższe przedziały czasowe. To prawda, że np. w Japonii czy w Niemczech przed drugą wojną światową raptownemu rozwojowi gospodarczemu towarzyszył bardzo niski poziom politycznych swobód. Uważam jednak, że w dzisiejszym świecie totalna kontrola nad społeczeństwami słabnie w miarę zwiększania się w tych społeczeństwach swobód gospodarczych. Decentralizacja sektora gospodarczego prowadzi przecież do powstawania alternatywnych ośrodków podejmowania decyzji a także władzy *per se*.

R.K.: — *Czy sądzi Pani zatem, że większe swobody ekonomiczne nieuchronnie prowadzą do politycznej decentralizacji?*

J.K.: — Szczerze mówiąc nie wierzę w historyczne konieczności. To my sami decydujemy o naszej historii. Niezwykle rzadko mamy do czynienia z sytuacją, w której nasze — nawet w ostatniej chwili podjęte — decyzje nie mogłyby zmienić biegu wydarzeń. Także proces o którym mówię nie jest nieuchronny lecz prawdopodobny. Prawdopodobne jest to, że na przestrzeni lat wzrastające swobody gospodarcze osłabiają totalitarną kontrolę nad



społeczeństwem, co doprowadzi do politycznej decentralizacji, która w rezultacie osłabi system politycznych represji. Tego co mówię nie uważam za dogmat. Mam jednak wrażenie, że tak właśnie się stanie.

R.K.: — *Dziękuję Pani bardzo za rozmowę.*

(Rozmowa miała miejsce 20 lutego i 13 marca 1985 roku w Nowym Jorku. Wywiad przeprowadził i jego tekst przetłumaczył z angielskiego — Robert Kostrzewa).

## KOMUNIKAT

### w sprawie przyznawania stypendiów i zapomóg im. Stanisława LAMA.

Od stycznia 1985 będą przyznawane stypendia i zapomogi dla osób studiujących historię literatury polskiej, mieszkających poza Paryżem. Stypendia te, ufundowane przez małżonkę znanego Księgarza, wydawcy i historyka Stanisława Lama, przyznawane będą przez jury ukonstytuowane w Towarzystwie Historyczno-Literackim, którego przewodniczącym jest sekretarz Towarzystwa dr Jerzy Mond. Podania wraz z planem pracy i studiów oraz życiorysem należy kierować do Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu (6, Quai d'Orléans, 75004 Paris).

## Polemiki

### Jałowe dyskusje

Wczoraj przy świątecznym stole wywiązała się znowu jedna z tych typowych, znanych nam wszystkim dyskusji. My, ludzie „stamtąd” (Irena, Zosia, Janusz i ja), staraliśmy się na przykładach własnych, osobistych doświadczeń życia w systemie totalitarnym przekonać „ich stąd”, że jednak zachodni system jest bez porównania lepszy. Bezskutecznie oczywiście. „Przecież Stany Zjednoczone też dążą do globalnej ekspansji”. Jak? „Technologicznie, finansowo, gospodarczo”. „A inwazja na Grenadę, a nieudana inwazja na Kubę za czasów prezydentury Kennedy'ego? Bezrobocie, przekupstwo, skandale polityczne, niedola starych ludzi pozostawionych własnemu, smutnemu losowi?” I tak dalej i tak dalej. Ich argumenty (jakże typowe) odzwierciedlają ich własne, równie ludzkie, osobiste doświadczenia, przemyślenia, obserwacje. To jest świat, który znają. Na nic nie zda się nasz argument „mniejszego zła”. Na nic powoływanie się na powszechnie znane fakty historyczne, na świadectwa typu „Archipelagu” Sołżenicyna. To wszystko prawda, ale przecież tu na Zachodzie jest również bardzo źle. Erika i Honoratę znamy od ponad 20-tu lat. On jest Duńczykiem, osiadłym w Australii, wykształconym, czytającym, myślącym. Wiele podróżuje. Zaangażowany w Amnesty International, w pracy dla krajów Trzeciego Świata. Niby wie i nie przeczy przytaczanym przez nas faktom. Pozostaje jednak nadal „krytycznie myślącym indywidualistą”. I chociaż dyskutuje bardzo spokojnie, kulturalnie i poważnie — w głosie jego daje się prawie wyczuć leciutki ton pobażania. Argumenty jego żony mają inny, na ogół bardziej lokalny charakter. Powołuje się na swoje australijskie „kolonialne” doświadczenia. Tu też jest przymot. Dlaczego np. w czasie wojny, pod wpływem nacisku społecznego, tysiące Australijczyków „musiało się zgłaszać” (jako ochotnicy!) do walki z Niemcami? „Przecież ta walka to była jednak



sprawa bardziej Anglii niż Australii". A stosunek do Aborygenów? Niezaprzeczone zjawiska faktycznej (społecznej) dyskryminacji. A manipulowanie gustami konsumentów przez wielkie koncerty, poprzez reklamę i inne sztuczki? Penetracja gospodarki Australii przez obcy kapitał? I tak dalej. Honorata, tak że wykształcona i znająca świat, w odróżnieniu od męża przyjmuje postawę typową dla lewicujących intelektualistów. Z tym, iż nie jest to w jej przypadku tylko irytująca, łatwa i modna poza. Należy ona bowiem (w odróżnieniu od cyników czy eskapistów) do ludzi uczuciowo zaangażowanych, których interesują i napawają prawdziwą troską losy jej kraju i współczesnego świata.

Jałowość takich dyskusji to nic nowego. Ile już razy obiecywaliśmy sobie, że nie damy się więcej wciągnąć w tego rodzaju rozmowy. Uwzględniając bowiem nawet przyjaźń, wzajemną życzliwość i dobrą wolę oraz umiarkowane poglądy Erika, nie sposób mu wyjaśnić lub przekazać choćby odrobiny z istoty naszych „totalitarnych doświadczeń”. Stwierdzaliśmy to wielokrotnie na przykładzie podobnych rozmów przedtem, z nim oraz z wieloma innymi „zachodnimi ludźmi”. Nie ulega kwestii, że mamy tu do czynienia z jakąś psychologiczną przeszkodą, którą w języku angielskim trafnie określa wyrażenie *mental block*. Trzeba to wszystko złożyć na karb pewnego podstawowego ludzkiego ograniczenia. Chodzi o jakieś bliżej nieokreślone i trudne do zdefiniowania, a przecież wszechobecne i widoczne na wielu przykładach granice intelektualnej percepcji. Istnieje niewątpliwie rodzaj doświadczeń, przez które trzeba po prostu samemu przejść, odczuć je na własnej skórze. Jedyny to sposób poznania i zrozumienia pewnych prawd czy zjawisk.

Na marginesie wczorajszej rozmowy zastanawiałem się jednak nad innym jej skutkiem. Dla nich każdorazowe zetknięcie się z naszym stanowiskiem (iż „system zachodni jest bez porównania lepszy”) musi być także źródłem wielkiej irytacji. Musi wywoływać niechęć i wewnętrzny bunt i prowadzić nieuchronnie do odrzucenia reprezentowanego przez nas poglądu. Rzecz bowiem w tym, iż przyjęcie naszych argumentów wymagałoby od nich, w ich odczuciu, zaakceptowania „jako dobrego” systemu, w którym się wychowali, w którym żyją i w którym — zupełnie słusznie — dostrzegają oczywiste i poważne wady. Jeśliby więc mieli zgodzić się z naszym wywodem, iż we współczesnym świecie istota walki sprowadza się do konieczności obrony zachodniego systemu przed niebezpieczeństwem totalitaryzmu, musieliby zrezygnować z postulatu i nadziei poprawy świata, który znają. Mieliby więc zignorować jego negatywne aspekty, które codziennie obserwują lub doświadczają na własnej skórze? Przyjęcie naszej tezy, iż „walka toczy się o większą stawkę czy na innym froncie” wymagałoby w ich pojęciu odrzucenia postulatu reformowalności kapitalizmu. W praktyce miałyby to dla nich oznaczać życiową kapitulację, której po prostu nie mogą, nie są w stanie zaakceptować. Efektem takich dyskusji musi więc być

z ich strony uczucie pobłażliwej niechęci wobec naszego „reakcyjnego” stanowiska, którego subiektywizm — jako, że wynika ono z naszych osobistych przeżyć — stanowić ma o jego słałości. Natomiast w ich przypadku brak podobnych („totalitarnych”) doświadczeń ma być gwarancją obiektywizmu ich poglądów, nieskażonych bakcyłem osobistego doświadczenia.

W dzisiejszych czasach, kiedy ludzie wyrastający na Zachodzie nie są już wychowywani w duchu tradycyjnych wartości, w dobie panowania powszechnego relatywizmu, jakie jest wyjście z takich jałowych dyskusji? Czy — nie bacząc na oczywiste dla nas niebezpieczeństwo samozniszczenia wolnego świata — mamy im życzyć, aby przeżyli to na własnej skórze?

Jerzy BONIECKI

Boże Narodzenie 1984

## Kościół a komunizm w Polsce

Zacznę od przedstawienia się. Jestem agnostykiem. Jestem publicystą politycznym — publikowałem swoje teksty w pismach związanych z ruchem korowskim i w pismach emigracyjnych. Nie utożsamiam się z lewicą; w największym stopniu utożsamiam się z myślą liberalną.

Występuje obecnie w Polsce renesans katolicyzmu. Dla większości ludzi wierzących wiara stała się bardziej żywa. Przeszła być sprawą prywatną, a stała się przedmiotem dumy. Stała się czynnikiem jednoczącym znaczną większość społeczeństwa. Papież jest charyzmatycznym przywódcą, uwielbianym przez Polaków. Wielu ludzi niewierzących nawraca się na katolicyzm.

Podobnie jak na okresie 1956, tak i na zryw „Solidarności”, najwięcej zyskał Kościół. Pomnożył ilość katolickich pism, powstawały kościoły, wielu intelektualistów i dziennikarzy zaczęło pisać w pismach katolickich zamiast w partyjnych, część niezależnej działalności oświatowej i kulturalnej odbywa się w kościołach.

Dla ludzi upokorzonych klęską „Solidarności”, bezbronnych wobec przemocy cynicznej i zakłamaną władzą, Kościół stał się schronieniem, nadzieją na pomoc, czystą wielką wspólnotą i instytucją, posiadającą moc z którą mogą się utożsamiać — w rozbitym społeczeństwie, pozbawieni państwa. Niewola i bezbronność wobec przemocy i kłamstwa strasznie upokarza. Katolicyzm i Papież są dla Polaków powodem do dumy, powodem do wyższości nad komunistami.

Ale jednocześnie bardzo wielu Polaków utożsamia się z pod-



ziemną „Solidarnością”. Oczekiwali od Kościoła związku z nią, poparcia jej walki. Kościół tego w zasadzie nie uczynił — Papież i Rada Episkopatu robiły to w ograniczonym stopniu, a Prymas wielokrotnie występował przeciw „Solidarności”. Wielu ludzi związanych z opozycją oczekiwało, że Kościół wystąpi ostro przeciw komunizmowi i komunistycznemu państwu, tymczasem przyjmuje on pozycję mediatora, mówi wciąż o porozumieniu i ugodzie. Liczne wypowiedzi Prymasa Glempa szokują bardzo wielu ludzi.

Jako niewierzący i nie odnoszący się bezkrytycznie do Kościoła członek opozycji spróbuję powiedzieć, co myślę o obecnej polityce Kościoła wobec komunizmu.

Uważam, że należy wyraźnie oddzielić linię polityczną Kościoła w Polsce od wypowiedzi Prymasa Glempa. Linia postępowania Kościoła w Polsce jest wypadkową nie tylko poglądów Prymasa, ale i postawy Papieża oraz postawy reszty polskiego Episkopatu, wśród której znajdują się zarówno zwolennicy poglądów Prymasa, jak i ich przeciwnicy. Akceptuję — wbrew wielu ludziom związanym z opozycją — linię polityczną Kościoła (choć oczywiście z zastrzeżeniami). Postępowanie Prymasa uważam za niesłuszne i szkodliwe.

Wielu ludzi Kościoła twierdzi, że Kościół jest ponad polityką i polityką się nie zajmuje. Jest to oczywiście nieprawda — Kościół zajmuje się polityką co najmniej od czasów Konstancyntyna i jako wielka międzynarodowa instytucja politykę prowadzić musi.

Jestem przeciwnikiem dominującego wśród opozycji marzenia, aby społeczeństwo podzieliło się na dwa zwarte obozy — władzy i jej przeciwników. Uważam bowiem tę koncepcję za fatalną i jako liberał ceniący bardzo pluralizm i jako politolog. Sytuacja takiego podziału byłaby normalna w wypadku wojny domowej — zbrojnej wojny. Ale wojny takiej nie było i nie ma, nie mieliśmy szans na wygranie jej, wygranie z Rosjanami; jedyną szansą na wyjście z komunistycznego szamba jest stopniowa, wspomagana rewolucyjnymi zrywami, ewolucja systemu — postępujące przemiany, erozja, rozkład pod naciskiem społeczeństwa. A ewolucji nie sprzyja sytuacja ostrego podziału i dwóch zwartych bloków, sprzyja jej sytuacja pluralistyczna w której występuje wiele form i wiele odcieni — zarówno w obozie władzy, jak i wśród jej przeciwników. Opozycja bierze sobie sama to, co może wziąć — kulturę niezależną. Ale dla dobra kraju potrzebne są reformy, czyli ustępstwa władzy. O te zaś jest o wiele, wiele trudniej w sytuacji ostrego napięcia, nienawiści, przepaści między władzą a jej przeciwnikami. Po stronie władzy są też ludzie pragnący pewnej liberalizacji gospodarczej, kulturalnej, rozwoju samorządności, i — chociaż są w mniejszości — sama swą obecnością częściowo hamują przykręcanie śruby. A jest to znacznie łatwiejsze, gdy istnieje coś pomiędzy władzą a opozycją, kiedy ktoś mówi o ugodzie i porozumieniu. Zróżnicowanie form opozycji i jej ostrości, istnienie instytucji stawiającej się w po-

zycji mediatora — jaką jest Kościół — instytucji nie odcinającej się zbyt ostro od władzy (jak np. DiP) sprzyjają osłabieniu nacisku władzy na opozycję, na niezależne życie społeczne. Oczywiście zarazem osłabiają także i nacisk opozycji. Ale w sytuacji, gdy władza ma o wiele większą siłę — siłę zbrojną i siłę swej pozycji w państwie — opozycja powinna unikać ostrej konfrontacji (poza spontanicznymi zrywami, jak Sierpień, których i tak nie jest w stanie zorganizować), nastawiać się raczej na nacisk ciągły, ale łagodniejszy, który może być bardziej skuteczny, niż ostre starcie. Czystki na uniwersytetach, w szkolnictwie, w samorządach fabrycznych, masowe uwięzienia, kapturowe mordy nie oplacają się władzy, ale jeszcze bardziej nie oplacają się opozycji. A do tego prowadzi napięta atmosfera nienawiści i brak usiłowań mediacyjnych.

Kościół, idący na umiarkowane kompromisy z władzą i nie występujący opozycyjnie jawnie i ostro, odgrywa bardzo pozytywną rolę. Gdyby występował ostro przeciwko władzy, zmuszałby ją do walki przeciwko sobie (bo przecież nie padłaby na kolana) i to ona musiałaby zwyciężyć, bo ma siłę fizyczną. Tyle, że byłoby to dla niej bardzo kosztowne — groziłoby wojną domową, ogromną falą wrogości społecznej, kolejnym skandalem światowym — a więc unika tego. Ale dla Kościoła i opozycji starcie takie byłoby jeszcze bardziej kosztowne. Oznaczałoby rozbicie Kościoła i na czas dłuższy koniec łagodnego traktowania opozycji. (Bo opozycja jest wciąż jeszcze łagodnie traktowana, wbrew temu, co sądzą niektórzy i jak na warunki państwa dyktatorskiego, bo w takim — wyjaśniam — jednak żyjemy). Jest o wiele lepiej gdy Kościół przypomina regularnie o istnieniu praw człowieka i ich niedostatecznym respektowaniu w Polsce, jeżeli pomaga więźniom i ubiega się o ich uwolnienie, jeżeli daje schronienie niezależnym wykładom i seminariom, hamuje represje i twardy kurs władz. Kościół idzie na kompromis z władzą nie mówiąc jej dobitnie, że jest zła i podła, i nie bije w dzwony — ale gdyby to robił, to co by to dało, i co mógłby zrobić więcej? A władze idą także na kompromisy wobec Kościoła, na których zyskuje nie tylko on, ale i opozycyjna część społeczeństwa. Dla Polski i dla opozycji bardzo pozytywne są nowe katolickie pisma, w których pisują dobrzy dziennikarze i opozycyjni intelektualiści, i bardzo potrzebne są wykłady po kościołach, więźniom potrzebna jest opieka.

Oczywiście do pewnych szczegółów polityki Episkopatu można mieć poważne zastrzeżenia. Wspólny komunikat Rady Episkopatu i rządu tuż po stanie wojennym miał fatalną wymowę ze względu na moment i treść (bardzo łagodny protest, potępienie sankcji gospodarczych).

Alain Besançon i inni krytykują Watykan za to, że nie potępia komunizmu jednoznacznie. Watykan tego nie robi nie dlatego, żeby papieże lubili komunizm, ale dlatego, że nie chcą narażać Kościoła w krajach komunistycznych na ostrą konfrontację i uważają, że znacznie korzystniejsza jest dyplomacja. I słusznie.



Komunizm w krajach sowieckiego imperium nie jest dziś aż takim złem, jak nazizm i stalinizm, o których absolutnie nie wolno milczeć. Ale jak się jest słabym, jak się nie ma ani jednej dywizji, to nie należy wydawać orędy do ludów Europy Wschodniej, a trzeba postępować, poczynać roztropnie. Kościół coraz to wypowiada się na temat praw człowieka i niemoralności reżimów dyktatorskich. Ale wciąż robi to za słabo — nawet encykliki brak w tych sprawach — a czyż jest temat ważniejszy moralnie? Ale robi. Jest to całkowite i ogromnie ważne *novum* w dziejach Kościoła. Datuje się od II Soboru Watykańskiego — jak znaczna większość tego, co się w Kościele dobrego dzieje (choć oczywiście jest to cezura nieco umowna). Jan Paweł II tę postawę popierającą prawa człowieka umacnia, i jest to chyba rzecz najważniejsza, jaką dotąd zrobił (przy całej konserwatywności jego pontyfikatu, wspaniałego duszpastersko, ale nie obfitującego w oczekiwane przez wielu zmiany).

Wiekami powszechnie obowiązywała w Kościele nauka św. Pawła, zgodnie z którą chrześcijanin ma się poddawać władzy, bo każda władza jest ustanowiona przez Boga, a ci którzy jej się przeciwstawiają, przeciwstawiają się Bogu i ściągną na siebie potępienie. Jest to nauka głupia i niemoralna, i całe szczęście, że Kościół z nią zerwał. Dawniej Kościół z reguły nie protestował, gdy ludziom łamano kości i gnojono ich w więzieniach; co więcej sam to bardzo skutecznie robił. Papiężom mogły się nie podobać wyczyny Filipa Pięknego czy Ferdynanda i Izabeli, ale firmowali je czym prędzej w imię racji stanu (czyli dla zwyczajnej korzyści). Papięże błogosławili Święte Przymierze, kochali Mikołaja I i zawierali konkordat z Mussolinim. Do demokracji odnosili się z wielką rezerwą. Dawniej w sprawie łamania praw ludzkich Kościół w zasadzie występował tylko wtedy, gdy zagrożone były jego własne prawa i własne interesy. Przeciwno komunizmowi występował przed wojną, ponieważ komunizm był wojującym ateizmem i niszczył siłą religię. W antyhitlerowskiej encyklice nazizm jest piętnowany za antykatolickie pogaństwo i za łamanie konkordatu, a nie za jakieś tam obozy czy prześladowanie Żydów. W zasadzie do II Wojny Światowej Kościół absolutnie nic nie miał przeciw dyktatorskim rządóm — przeciwnie wręcz wołał je od demokracji i chciał od nich tylko, aby mu gwarantowały specjalne przywileje, jako jedynej prawdziwej religii. Encyklika *Quanta Cura* i *Syllabus* z 2-giej połowy XIX wieku zawierają wściekły i pełen pychy atak na to, co dziś określa się mianem praw człowieka — na liberalizm polityczny, wolność druku i wolność religii (niekatolickich, oczywiście). Dziś, kiedy Kościół znalazł się w Europie Wschodniej w poważnej opresji, i kiedy idea praw człowieka w pełni zatriumfowała na Zachodzie, Kościół broni wolności sumienia. I bardzo dobrze. Uważam, że powinien — poprzez encykliki i teologię — uczynić sprawę praw człowieka fundamentalną częścią swej nauki moralnej. Powinien mówić światu, że demokracja jest najdoskonalszym systemem, jaki stworzył człowiek, a dyktatura sprawowana

wbrew większości społeczeństwa jest niemoralna i szkodliwa. Nie powinien natomiast wygłaszać encyklik zawierających bezpośrednią totalną krytykę rosyjskiego komunizmu, ponieważ odbiło by się to tragicznie na losie milionów wiernych w Europie Wschodniej, gdyż byłoby otwartym wyzwaniem. Uważam natomiast, że Kościół powinien bez osłonek potępiać łagry, więzienia i psychuszki dla dysydentów.

Jako jeden z powszechnie głoszonych frazesów krąży dziś po Polsce frazes, że Kościół posiada niekwestionowany autorytet moralny. Dla większości Polaków posiada (choć nie posiada go Prymas Glemp), ale nie dla wszystkich. Jest bardzo trudno określić, komu go przyznają ludzie. O niekwestionowanym autorytecie moralnym dawnego Kościoła nie sposób mówić. Nie można spalić żywcem setek tysięcy ludzi za wiarę i za spisek z diabłem, grozić piekłem wszystkim nieposłusznym, zwalczać wolność sumienia, milczeć o holocauście i jednocześnie być prawdziwym autorytetem moralnym. Kościół w Polsce był fragmentem Kościoła Powszechnego i stosunkowo spada na niego bardzo mała część winy. Ale dziś idealizuje się jego przeszłość, głosząc mit o jego jednoznacznie pozytywnej roli w naszej historii i wyolbrzymia się rolę, jaką pełnił podczas zaborów. Była kontrreformacja, która położyła kres wolności wyznaniowej, cofając Polskę w rozwoju i stając się jedną z przyczyn jej upadku. (Młodszy śpiewa dziś z płomiennym uczuciem Pieśń Konfederatów Barskich. Cat-Mackiewicz pisał, że Konfederacja Barska zgubiła Polskę). Był prymas-targowiczanie, który zażył truciznę, aby uniknąć szubienicy. (Watykan popierał wówczas Targowicę, tak jak później potępiał powstanie listopadowe). Oportunizm i bierność wśród kleru podczas zaborów były analogiczne, jak w reszcie społeczeństwa — aktywny opór i walka były dziełem nielicznych.

O prawdziwym autorytecie moralnym Kościoła można mówić — po raz pierwszy od wczesnego średniowiecza — od pontyfikatu Jana XXIII (a i to nie bez poważnych zastrzeżeń, skoro Kościół nie rozliczył się publicznie ze swych niegdysiejszych błędów, win i zbrodni). Przedtem bez wątplenia autorytet moralny przysługiwał wielu poszczególnym ludziom Kościoła. Kościół apriorycznie przypisuje sobie autorytet moralny, przypisuje sobie z góry świętość (zwalając winy na poszczególnych niedoskonałych ludzi, choć torturowała i paliła żywcem instytucja Kościoła, a nie poszczególni ludzie). Dla wielu ludzi nie jest to zbyt przekonujące. Proponuję bardzo proste kryterium dla moralnej oceny postępowania Kościoła — kryterium miłości bliźniego, niekrzywdzenia ludzi i pomagania im. Jezus w wielkiej scenie Sądu Ostatecznego (Mat. 25, 36-46) mówi, że wybierze jako swoich tych, co pomagają uwięzionym, głodnym, chorym, wygnańcom. Jako bezwzględny obowiązek moralny przedstawia więc pomoc pokrzywdzonym, a nie głoszenie Pisma czy udzielanie sakramentów. Poza tym nakazuje mówić prawdę: „Tak — tak, nie — nie”. Ludzie Kościoła często twierdzą, że Kościół jest instytucją ponadczasową i ma wyższe zadania (np. głoszenie Ewangelii), a



więc nie może się narażać i mieszać w sprawy bieżące, pomagając uciśnionym. Jak powiedziałem, zgadzam się z tym, że Kościół nie może i nie powinien *politycznie* występować przeciw dyktatorom. Ale powinien bezwzględnie bronić niesprawiedliwie uwięzionych i prześladowanych, i pomagać im (co oczywiście ma znaczenie polityczne), otaczać opieką społeczną biednych i chorych, i wspomagać — niezaangażowaną zbyt ostro politycznie — działalność społeczną i kulturalną, która gdzie indziej nie może się schronić. I powinien — zgodnie z Ewangelią — uważać to za działalność równorzędnie ważną jak działalność czysto religijną i nauczycielską.

Na ile Kościół wywiązuje się w Polsce z tego moralnego obowiązku? Na pewno niedostatecznie uwzględniła go w swej nauce i w swej teologii. W czasach stalinowskich sam musiał rozpaczliwie bronić się, nie sposób więc wymagać, aby wówczas pomagał innym. Adam Michnik w swej głośnej książce myli ową samoobronę z obroną praw człowieka — Kościół zawsze, kiedy działa mu się krzywda, walczył o prawa własne i na pewno sprzyjało to prawom człowieka, ale nie oznaczało, że Kościół jest szczególnym tych praw orędownikiem. W czasach Gomułki i Gierka Kościół w Polsce występował w obronie praw ludzkich i w obronie krzywdzonych, ale chyba jednak za mało i za cicho. Był może za ostrożny, nie zdawał sobie sprawy ze swych możliwości, nie miał takiej tradycji, nie chciał narażać się broniąc pokrzywdzonych. Zabrakło głośnego wystąpienia Kościoła w roku 1968 w obronie studentów i przeciwko rasistowskiej kampanii. Po roku 1970 nie troszczył się o rodziny zabitych, o los inwalidów. W roku 1976 Kościół występował do władzy po cichu, ale w akcję pomocy uwięzionym niewinnym robotnikom i lumpom się nie zaangażował. Uczynili to ludzie świeccy — katolicy i niewierzący, w tym paru księży. Kardynał Wojtyła udostępnił w Krakowie kościoły niezależnej oświacie, ale w Warszawie biskup Dąbrowski tego zakazał. Dopiero od stanu wojennego Kościół zajął się na wielką skalę pomocą uwięzionym i ich rodzinom i upominaniem się o wolność więźniów. Ma więc miejsce bardzo pozytywna ewolucja. Zdecydowały o niej nacisk opozycji, stanowisko Jana Pawła II i niektórych członków Episkopatu, szeregowych księży i świeckich katolików, i ogólna przemiana sytuacji w Polsce. Na pewno (jak zawsze w życiu) owa pomoc pokrzywdzonym mogłaby być większa. Wielu księży i niektórzy biskupi nie traktowali jej jako obowiązku moralnego, nie popierali jej, lub wręcz przeszkadzali (fatalnie było na Śląsku). To samo dzieje się z pomocą dla niezależnej oświaty i kultury. Można się spierać, czy trzech biskupów głoszących na PRON to dużo, czy mało — ale nie powinno być żadnego. Bo dziś — jak nigdy — jest jasne, że jest to udział w kłamstwie.

W Kościele jest wciąż wielka pycha. Ludzie Kościoła uważają, że skromność jest osobistym obowiązkiem, ale doktryna pozwala im ubóstwiać swą instytucję i wynosić ją ponad wszystko. Nie uczy krytycyzmu wobec niej. Kościół chce być autorytetem mo-

ralnym ponad światem, nie bacząc na to, że do tego nie wystarczy Ewangelia, że trzeba na ten autorytet zapracować.

W Polsce w opozycji jest wielu niewierzących — ale i wielu wierzących, którzy odnoszą się z dystansem do kościelnego aparatu; powszechna jest niechęć do Prymasa. Ludzie opozycji — w odróżnieniu od księży (poza zaangażowanymi w wystąpienia czy działalność opozycyjną) ryzykują wolnością, pracą, spokojnym życiem. Ci więc, którzy nie są ortodoksyjnie wierzący i którzy nie odczuwają silnej potrzeby psychicznej autorytetu i opiekuńczej instytucji, mogą nie godzić się na to, że Kościół posiada niekwestionowany autorytet moralny. Oceniają i będą oceniać Kościół i konkretnych członków Kościoła po ich działaniu. Legalna „Solidarność” bardzo silnie garnęła się pod opiekę Kościoła i wiary, ale byli to ludzie jeszcze niezahartowani w ogniu i owa masa, z której niewiele zostało po godzinie próby. Obecnie w ramach opozycji są ludzie i grupy identyfikujące się jednoznacznie z chrześcijaństwem, i zachowujące wobec religii i Kościoła (nie zaznaczany jawnie) dystans. I jest to sytuacja normalna i zdrowa (z punktu widzenia liberała).

Kościół stawia się ponad światem kultury i uważa, że świat ten upadł odchodząc od Boga. Dla mnie i dla niektórych moich przyjaciół katolicyzm jest jedynie jedną z konkurujących ze sobą w naszej kulturze wiar-idei. Uważam, że katolicy nie mają prawa narzucać swej moralności niewierzącym — jak obecnie usiłują to czasem robić poprzez referenda, korzystając z tego, że mają większość. Jako liberał jestem za rządami większości, ale i za obroną praw mniejszości przed większością. Już po II Soborze Watykańskim Paweł VI wzywał włoskich katolików do narzucenia całemu społeczeństwu podczas referendum zakazu rozwodów. Jan Paweł II wzywał do przeprowadzenia zakazu przerywania ciąży — i zrobiono to w Irlandii. Gdy chodzi o rozwody, to sprawa jest jasna. Nauka Ewangelii i Kościoła w tej sprawie jest absolutnie niemiarodajna dla niewierzących. Gdy chodzi o sprawę przerywania ciąży problem jest o wiele trudniejszy. Kościół traktuje przerywanie ciąży jako zabójstwo i jest to w pełni zrozumiałe. Tym, którzy chcą zabijać, usiłuje się przeszkodzić. Ale dla wielu niewierzących przerywanie ciąży nie jest zabójstwem — jest zniszczeniem życia, które dopiero zaczyna się rozwijać, a nie jest jeszcze człowiekiem. Uważam, że katolicy nie powinni narzucać swych przekonań tym, którzy tych przekonań nie podzielają, ale powinni pozostać przy propagandzie, opiece nad samotnymi matkami, organizowaniu adopcji. Nie wiemy, czym są narodziny i czym jest śmierć — niech więc każdy rozstrzyga w swoim sumieniu.

Stanowisko prymasa Glempa jest sprawą ogromnie kłopotliwą. Po stanie wojennym w licznych wypowiedziach wyrażał się nieprzychylnie o „Solidarności” i o działających w jej ramach ludziach niewierzących, wypaczał obraz „Solidarności” i obraz sytuacji w Polsce, wyrażał się tak, jakby racja była pomiędzy



„Solidarnością” a władzą (oczywiście trochę zawsze tak jest, ale w stopniu zupełnie innym, niż to wynikało z wypowiedzi Prymasa, zalecał wręcz niemoralne kompromisy, wypowiadał się w konkretnych sprawach bardzo niezręcznie. Nie ma sensu zbieranie tu tych wypowiedzi. Ale wystarczy przypomnieć, że wzywał świeckich katolików do wstępowania do OKON-ów, że wzywał nauczycieli do podpisywania deklaracji lojalności (aby gorsi nie przyszli na ich miejsce), że występował przeciw demonstracjom, że jego wystąpienie między innymi przyczyniło się do niepowodzenia strajku 11. XI. 1982, że w Brazylii mówił o marksistach i trockistach w „Solidarności”, że lekceważąco i złośliwie mówił o uwięzionym Wałęsie i o całym ruchu, którego przywódca siedzieli w więzieniu. W wielu wypowiedziach prymasa Glempa (i to zagranicznych) nieprzychylniej krytyce „Solidarności” — ruchu naprawdę wielkiego i pięknego mimo wszystkich skaz i błędów — nie towarzyszyła krytyka ekipy Jaruzelskiego i partii. W Brazylii Prymas wypierał się odpowiedzialności za przeniesienie ks. Nowaka, mówiąc, że nastąpiło to „na jego własne żądanie”; wypierał się też udzielonego wywiadu.

Staram się zrozumieć prymasa Glempa. „Trockiści” (tak określał zapewne korowców) — to dla niego puste słowo; nie studiował historii myśli politycznej. Kościół czuje się zagrożony w swym autorytecie przez autorytet ludzi, którzy się naprawdę poświęcają, a którzy są mu obcy. Jest to sprawa walki o rząd dusz, który Kościół chce dzierżyć niepodzielnie. To samo zapewne wpływało na stosunek Prymasa do całej „Solidarności”. Błędy „Solidarności” były rozpaczliwie widoczne dla obserwatora z zewnątrz; ale trzeba było zrozumieć, że były one nieuniknionym wynikiem masowego spontanicznego ruchu (działającego w tragicznej sytuacji politycznej i gospodarczej) i odnosić się do tych błędów życzliwie — jako do tragedii ludzi miotających się bezradnie, pragnących wolności — jak podczas niezorganizowanego buntu w więzieniu. Prymas stawał na rolę mediatorską i na kompromis z władzą — uważam, że to było słuszne, ale zabrakło mu chyba zimnego politycznego widzenia, że realnym celem takiej polityki może być tylko złagodzenie ostrości konfliktu, ostrości postępowania władzy i ślepej nienawiści jej przeciwników — nie zaś porozumienie czy nowa ugoda. Zabrakło mu zrozumienia, że ta władza nie ma żadnej racji — oprócz tej jednej, że posiada siłę — siłę własną i siłę Rosji. Prymas w toku pertraktacji przyjmował punkt widzenia i terminologię władzy (jak np. w sprawie „trockistów”). Jest to zawsze niebezpieczeństwo czyhające na ludzi kompromisu.

Zmarnowana została wielka szansa — że Kościół w Polsce, nie objęty konfliktem, zachowa się jak bezstronny i uczciwy obserwator i mediator, zachowujący czystość moralną. Ze powie obu stronom trudną prawdę — władzy, że postąpiła podle i musi jak najprędzej z tego się wycofać, a „Solidarności”, że jej zachowanie musiało spowodować atak, bo uprzywilejowani, posiadając siłę, nie oddadzą naraz tak wiele; i że teraz chodzi o to, aby

nienawiść jak najszybciej opadła i aby było jak najmniej aktów gwałtu, bo obie strony muszą ze sobą koegzystować w jednym kraju. (Dużo z tego było w wypowiedziach Prymasa, ale było podane w taki sposób, że mogło trafiać tylko do bardzo życzliwego obserwatora).

Dzisiaj najwięcej zależy od postępowania władz — od tego, czy znów zaczną zamykać na długie miesiące za drukowanie i kolportowanie książek. Może teraz — z perspektywy czasu — łatwiej będzie wielu ludziom zrozumieć linię Prymasa i linię Kościoła, a Prymasowi — „Solidarności” i niewierzących.

Marek TURBACZ

## Kościół a państwo

(NA MARGINESIE ARTYKUŁU MARKA TURBACZA)

Autor artykułu „Kościół a komunizm w Polsce” przedstawia się jako politolog o zamiłowaniu historycznych. Jako politolog mógłby chyba nieco precyzyjniej konstruować swe wywody i sądy. Przykładowo — pisze on, że „jedyną szansą na wyjście z komunistycznego szamba jest stopniowa, wspomagana rewolucyjnymi zrywami, ewolucja systemu — postępujące przemiany, erozja, rozkład pod naciskiem społeczeństwa”. W tym zdaniu występuje klasyczna *contradictio in adiecto*: erozja i rozkład nie mają nic wspólnego ze stopniową ewolucją systemu. Jest jeszcze bardzo wielu ludzi w Polsce, którym przez gardło nie chce przejść sformułowanie, że ten właśnie system, zwącający się socjalistycznym, w rzeczywistości zaś będący sowiecką formułą marksizmu, musi być po prostu unicestwiony, bowiem nie poddaje się procesowi ewolucji, chce zachować swą totalitarną niezmienną. Jest to beton i niech się nikt naiwny nie da złapać na piękne słówka o odmiennych postawach osób i grup wchodzących w skład najwyższej partyjnej egzekutywy. Stąd też i dalszy wywód Turbacza budzi poważne wątpliwości: „... ewolucji nie sprzyja sytuacja ostrego podziału i dwóch zwartych bloków, sprzyja jej sytuacja pluralistyczna, w której występuje wiele form i wiele odcieni zarówno w obozie władzy jak i wśród jej przeciwników”. Jest to trochę mówienie ślepego o kolorach, bowiem odmienności postaw i kierunków działania w partii absolutnie nie da się nazwać mianem pluralizmu. Są to najczęściej jednostkowe lub grupowe działania taktyczne w walce o „miejsce na górze”, ale nie kryje się za tym żadna ideologicznie ukształtowana odmien-



ność w stosunku do zasadniczej linii politycznej, wewnętrznej i zewnętrznej. Oczywiście można mówić o odmiennościach wynikających z odrębności poszczególnych liderów, co rzutuje na etapowość dziejów i Związku Sowieckiego, i PRL — każda kolejna ekipa wnosi swe odrębne właściwości, najczęściej wodzowsko określone przez osobowości kolejnych pierwszych sekretarzy, ale właśnie partia, widziana jako całość, pozostaje niezmienną formacją biurokratyczno-samoobronną, bazującą na urzędnikach i funkcjonariuszach. Czy można więc tu mówić o jakimkolwiek pluralizmie? Oglądaliśmy przecież w ciągu minionych lat skutki takich prób: każdorazowo partia wydalała (by nie użyć brzydszego określenia) wszelkie pluralizmu próbujące grupy. Następstwa: partia betoniała coraz bardziej, a opozycja wzbogacała się o cały bogaty wachlarz dysydencki. To przeciwstawienie pluralizmu i unifikującego procesu betonienia jest chyba najlepszym świadectwem obecnej sytuacji i stąd bierze się cała problematyka konfrontacji. Ale o tym za chwilę.

Historyczne zamięłowania Turbacza kazi chwilami spora schematyczność sądów. Historia to diabelnie skomplikowana dyscyplina, wyprana najczęściej z tej jednoznaczności, która pozwalałaby ferować proste wyroki: winny — niewinny. Przykładem są uwagi o kontrreformacji i Konfederacji Barskiej. Mniejsza o to, że autorytet błyskotliwego publicysty Cata-Mackiewicza nie może być poważnie traktowany z punktu widzenia historyków, chodzi o ważniejszą sprawę — wieloznaczności zjawisk. Można o Konfederacji Barskiej powiedzieć, że — na tle inteligencji i reformatorsko-oświeceniowych tendencji Stanisława Augusta — reprezentowała wsteczność i anarchię, które już co najmniej od wieku spychały Rzeczpospolitą w polityczną nicłość, ale jednocześnie nie sposób tejże Konfederacji odmówić tego odrodzenia patriotyzmu, który miał później prowadzić do wszystkich kolejnych zrywów niepodległościowych. Historyk winien analizować nie tylko fakty towarzyszące bezpośrednio zjawiskom, ale także cały cykl dalszych następstw. Podobnie kategoryczne stwierdzenie, że kontrreformacja cofnęła Polskę w rozwoju i stała się jedną z przyczyn upadku jest nie do przyjęcia. W innych krajach kontrreformacja umacniała właśnie państwa, stając się podporą różnych absolutyzmów, (między innymi habsburskiego czy francuskiego). Na upadek pierwszej Rzeczpospolitej złożyło się wiele czynników, o czym już szeroko dywagowali historycy polscy minionego stulecia. Jest chyba sprawą oczywistą, że sądy o katolicyzmie, Kościele czy w ogóle chrześcijaństwie nie tylko mogą, ale powinni wygłaszać niewierzący. Przykładem była książka Michnika, przyjęta na ogół pozytywnie w środowiskach katolickich, a dyskutowająca z jej tezami Tischnera była tego potwierdzeniem. Agnostyk jednak winien się ustosunkować serio do zagadnienia i zrozumieć pewne rzeczy nie w sposób schematyczny. Znow przykład: Turbacz pisze: „Wielu księży i niektórzy biskupi nie traktowali jej [tzn. pomocy pokrzywdzonym] jako obowiązku moralnego, nie popierali jej, lub wręcz przeszkadzali (fatalnie było na Śląsku)”. Uściślijmy: Śląsk to trzy wielkie i ważne diecezje, to trzech biskupów-ordynariuszy i wielu pomocniczych. Kto „przeszkadzał” pomocy: Gulbinowicz, Nosol czy Bednorz? Nie wolno rzucać bezpodstawnych zarzutów, bo neglizowanie prawdy znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie kłamstwa i jeszcze gorszych rzeczy.

Turbacz powołuje się też na najróżniejsze dogmaty i pisma Kościoła katolickiego. Pisze m.in., że ów Kościół realizował przez całe stulecia naukę św. Pawła, wedle której chrześcijanin nie powinien przeciwstawiać się władzy, bo każda ustalona jest przez Boga. Pomińmy określenie, że to „nauka głupia i niemoralna”, bo cóż można by powiedzieć o sposobie jej referowania przez autora? Należałoby wszelako pamiętać, że Kościół rzymski budował znakomity pragmatysta — św. Piotr, który wprowadził nie sformułował zasady, ale pozostawił ideową spuściznę właśnie przeciwstawiania się władzom świeckim, gdy te jej nadużywają. Walka z Cesarstwem to ogromny i jakże pouczający rozdział dziejów — warto się nad nim zastanowić! A co do tej części nauk świeckich św. Pawła, to też warto pamiętać, że w pełni realizował je bizantyński cesaropapizm, przetransplantowany następnie do Moskwy.

I już naprawdę nie wypada — zwłaszcza niewierzącemu — pisać takich zdań: „Kościół chce być autorytetem moralnym ponad światem, nie bacząc na to, że do tego nie wystarcza Ewangelia, że trzeba na ten autorytet zapracować”. Jest to po prostu zdanie, którego autor winien się wstydić. Więcej komentarza nie będzie.

Wydaje się, że autor artykułu o Kościele i komunizmie w Polsce — pomimo wyliczonych tu — a także pominiętych — gaf, wypaczeń i wręcz niedopuszczalnych sformułowań ma intencje szlachetne, i że należałoby się nad jego tezami zastanowić. Niestety, po dokładnym zapoznaniu się z tekstem czytelnik dochodzi do wniosku, że to raczej nie tezy, a dobre chęci. Turbacz nie wierzy w niebo, nie powinien więc wierzyć w piekło. Stąd niepotrzebne byłoby wypominanie mu, czym jest ono wybrukowane.

Całość artykułu, gdy ją zestawić z niezbyt logicznie przeprowadzonym wywodem, robi wrażenie niekoherentne. Autor stoi na stanowisku pokojowego, ewolucyjnego przekształcenia ustroju sowieckiego. Bardzo wątpliwa teza, sprawdzona na historii Związku Sowieckiego i satelitów negatywnie: ten ustrój jest nie-naprawialny. Równocześnie Turbacz pisze jednak o „erozji i rozkładzie pod naciskiem społeczeństwa”. Można by więc sądzić, że uznaje proces ewolucji za powolne niszczenie ustroju i ideologii. Cóż kiedy nagle wykrzykuje: „Ale jak się jest słabym, jak się nie ma ani jednej dywizji, to nie należy wydawać orędzi do ludów Europy Wschodniej, a trzeba postępować, poczynać ostrożnie”.

Wielu ludzi w Polsce uważa, że „Posłanie do ludów Europy Wschodniej” było jednym z najważniejszych dokumentów „So-



lidarności", jedną z tych manifestacji, które — być może — będą miały dla przyszłości (nie tylko Polski) bardzo duże znaczenie. Turbacz, choć rozdziela na lewo i prawo pochwały i nagany (a zwłaszcza nagany), równocześnie w swym sposobie myślenia jest w jakiś sposób porażony szczególnego rodzaju sowietyzmem, sowietyzmem w pewnym sensie *à rebours*, tzn. widzi jego zło, ale zarazem jest zafascynowany potęgą sekularną tej niby-ideologii. Czyż warto bowiem przypominać w tym miejscu, kto pół wieku temu pytał o dywizje, którymi dysponuje Watykan?

Nie wydaje się w tym stanie rzeczy możliwe podjęcie merytorycznej dyskusji z Turbaczem o przyszłość stosunków Kościoła i komunizmu. Autor musiałby bowiem przeczytać kilka prac, a na początek Cywińskiego „Korzenie tożsamości”. Wówczas dojrzałby, że Kościół — traktowany przez niego *en bloc* — wcale takim monolitem nie jest, że dzieli się (i to jest jego wielka zdobycz) na wiele warstw, płaszczyzn i poziomów. Monolityczność Kościoła to tylko jedna z fikcji sowieckiej propagandy, gdy rzeczywistość ujawnia niezwykle skomplikowaną strukturę Kościołów narodowych, podzieliły w obrębie kleru, ścieranie się autoritarności z kolegialnością itd.

Papież nie tylko nie dysponuje dywizjami, ale i pełnią władzy nad swymi przedstawicielami w poszczególnych krajach. O tym zdaje się nie wiedzieć ani Turbacz, ani zresztą znaczna większość Polaków. Autor artykułu nie jest też konsekwentny w tym, jakim zakresem obejmować pojęcie polityki. I tu dochodzi do głosu owo zsowietyzowanie intelektu, które *a priori* zakłada, że polityka jest domeną i monopolem państwowym i że to władza ustala, co jest, a co nie jest polityką. Turbacz zapomina więc, że polityką jest wszystko, co dotyczy życia społecznego, tym samym więc także spora część spraw jednostkowych jest też polityczna, bowiem przynależy do tej właśnie sfery społecznej. Jeśli tak rozumować, to czysto polityczną działalnością jest i działalność związkowa, już w samym swym założeniu, a także działalność Kościoła za każdym razem, gdy zwraca się ku problematyce pracy. „*Laborem exercens*” jest tyleż dokumentem teologicznym co politycznym.

I tu zaczynają się Turbaczowe niekonsekwencje, bo domagając się przez cały czas od Kościoła działalności politycznej, nagle — ni stąd ni zowąd — jakby za podszeptem dziennikarza z *Trybuny Ludu*, jeśli nie z *Żołnierza Wolności* — pisze: „... Zgadzam się z tym, że Kościół nie może i nie powinien politycznie występować przeciw dyktaturom”, a nieco dalej zaleca katolikom by „... pozostali przy propagandzie, opiece nad samotnymi matkami, organizowaniu adopcji”.

Politologia to taka młoda dyscyplina, która zrodziła się w wyniku zbiorowego spółkowania dyscyplin takich jak historia, jej kuzynki: historia doktryn politycznych i prawo, jak filozofia, socjologia i kilka dalszych. Odziedziczyła po nich pewien zasób wiedzy nieopogłębionej, a jako dziecko niezupełnie ślubne (ojciec

nieznany) nabyła sporo tupetu. To bardzo ładnie, że Turbacz poklepuje po ramieniu Jana Pawła II, wybacząc mu — za popieranie praw człowieka — „całą konserwatywność jego pontyfikatu”. Może jednak Turbacz ustaliłby przedtem semantyczne problemy. Konserwatyzm? No to co jest przeciwstawieniem: lewicowość? A może — *hospody pomyłuj* — postępowość? Tymczasem dziś te przemaglowane w tyglu nowomowy terminy nic nie znaczą. Czy coś wybiega w przyszłość a nie zostaje zatrzaśnięte w przeszłości, ocenić można tylko po dotychczasowych dokonaniach i po rozległości perspektyw na przyszłość. Mniej tu tu więcej obiektywnych sądów i... pragmatyzmu, droga politologio!

Z kolei Turbacz rzuca się na prymasa Glempa i bardzo go szarpie. Prymas objął swe stanowisko w okresie niezwykle trudnym, i do kierowania Kościołem na wezbranych wodach wojny jaruzelskiej przystąpił bez dostatecznego przygotowania. Od samego początku, a zwłaszcza od chwili ogłoszenia stanu wojennego, działalność, a zwłaszcza liczne wypowiedzi prymasa, stały się przedmiotem ostrej krytyki. Kardynał Glemp ma wielu przeciwników, szczególnie wśród inteligencji, a także w samym klerze. To co napisał dziś Turbacz napisało przed nim wielu, więc nie jest to już akt odwagi, ale akt tupetu ze strony kogoś, kto tak wyraźnie przedstawia siebie jako niewierzącego, bowiem autor w gruncie rzeczy domaga się od Kościoła tego, co Glemp właśnie robi.

O, politologio, politologio, ty ładna dziewczyno bez „Kinderstuby”!

Józef SZRETT

JANUSZ RAKOWSKI

„Z PIÓREM W MUNDURZE”

Francja-Szwajcaria 1940-1946

Dzieje 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Autentyczny pamiętnik pisany w miejscach postoju w czasie wojny i na internowaniu.  
Stron 230. Liczne fotografie.

Cena 70 F.F.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU  
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris  
Tel.: 326 04-42



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

## 15-1-85

W. Szczepankowski z Ministerstwa Handlu Zagranicznego oświadczył m.in., że w bież. roku ogólna ilość zboża, które PRL będzie importować wyniesie ok. 2 mln 800 tys. ton, z czego w krajach socjalistycznych zostanie zakupione 800 tys. ton, a w krajach zachodnich — ok. miliona ton. Zakupi się ok. 80 tys. ton ryżu (głównie w Chinach, Związku Sowieckim i w Egipcie, a częściowo w Jugosławii); pół miliona ton kukurydzy w Rumunii, Jugosławii i częściowo w krajach zachodnich. PRL importuje ponadto olej sojowy, słonecznikowy i częściowo tran. Jeśli idzie o mięso, to przewiduje się import kilkudziesięciu tysięcy ton. Pszenicę otrzymuje się ze Związku Sowieckiego w zamian za dostawy polskiego żyta. Ostatnio zawarto umowę z RFN na import mięsa w zamian za dostawę 10 tys. ton żyta.

## 15-2-85

Ogłoszono rezultaty konkursu na prace doktorskie i magisterskie poświęcone wiedzy o ZSSR oraz przyjaźni i współpracy polsko-sowieckiej. Organizatorami tego konkursu są Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich, redakcja *Nowych Dróg* oraz Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na konkurs wpłynęło 30 prac, z czego zakwalifikowano 28: 12 prac doktorskich i 16 magisterskich. Przyznano 21 nagród w pięciu dziedzinach: historycznej, politologicznej, literatury i kultury, ekonomicznej oraz pedagogicznej. Nagrody wręczał Wojciech Żukrowski, przewodniczący Rady Krajowej TPPR.

## 16-2-85

Według informacji prasy podziemnej p. Jagiełło, zamieszkały w Warszawie, nadał swemu dziecku imię Solidariusz. Mimo katorycznego sprzeciwu Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie uzyskał zgodę Trybunału Administracyjnego przy poparciu sekcji Polskiej Akademii Nauk, zajmującej się czystością języka polskiego.

## 26-2-85

W bież. roku PRL eksportuje do Chin 5.000 Fiatów 126 P, 10,5 tys. Polonczów, 5 tys. Fiatów 125 P oraz duże ilości Starów, Jelczy i Nys.

## 27-2-85

W Warszawie zmarł w wieku 82 lat Jerzy Kreczmar, reżyser i kierownik literacki seen polskich.

## 6-3-85

W Związku Sowieckim przebywa kilkudziesięcioosobowa grupa polskich działaczy chrześcijańskich, zarówno świeckich jak i duchownych. Odwiedzili oni Leningrad, Moskwę, Zagorsk i Kijów, zapoznając się z działalnością Kościoła prawosławnego oraz kulturalnymi i gospodarczymi przeobrażeniami ZSSR.

## 7-3-85

Zmarł w Puszczykowie (Polska) w wieku 91 lat Arkady Fiedler, pisarz i podróżnik.

## 8-3-85

Frédéric Castaing, francuski ekspert księgarski, który przebywał w Warszawie od 8 marca br. dla przeprowadzania ekspertyz, 12 marca br. przybył do Krakowa i został na lotnisku zatrzymany przez milicję. Znaleziono przy nim dokumenty dotyczące głodówki „dla obrony Kościoła, księży i więzionych”. Po 48 godzinach został zwolniony i natychmiast porwany przez „nieznanych sprawców”, którzy go torturowali przypalając ręce i brzuch papierosami. Następnie wyrzucono go z samochodu w okolicach Krakowa. Z pomocą przypadkowych przechodniów dostał się do szpitala w Krakowie, o czym zawiadomiono konsula francuskiego w Krakowie. Konsul francuski nie został przez władze polskie poinformowany o zatrzymaniu przez MO obywatela francuskiego. 15 marca br., korzystając z pomocy konsula, Frédéric Castaing wrócił samolotem do Paryża. Zamierza wytoczyć sprawę sądową. Cały ten wypadek świadczy o istniejącej nadal samowoli i bezkarności służb bezpieczeństwa i ma zapewne na celu zniechęcenie obywateli francuskich do udzielania pomocy „Solidarności”.

## 10-3-85

Ogłoszono szczegóły podwyżki cen zmodyfikowanych przez rząd PRL. Zdrożały mąka, kasze, ryż, makaron, chleb zwykły, mleko pełnotłuste, śmietana, sery twarde i topione, cukier, oleje jadalne wyższych gatunków, herbata, ryby dorszowate. Od 1 kwietnia br. zdrożeje węgiel, koks, energia elektryczna i gaz ziemny. Od czerwca br. — masło, smalec, słonina, mięso i jego przetwory. Zdrożeją także wyroby cukiernicze, ciastkarskie, przetwory owocowe oraz posiłki w gastronomii otwartej i w stołówkach. Zniesiono natomiast reglamentację mąki i przetworów zbożowych (z wyjątkiem kaszy manny). ■ Sąd Najwyższy postanowił darować Maciejowi Szczepańskiemu, Eugeniuszowi Patykowi i Zbigniewowi Liszykowi kary pozbawienia wolności i grzywny. W uzasadnieniu podano, że „Szczepański był niewątpliwie wieloletnim bardzo aktywnym działaczem politycznym i społecznym”.

## 11-3-85

Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat Bronisław Zieliński, wybitny tłumacz literatury anglosaskiej, zwłaszcza amerykańskiej.

## 14-3-85

Radio warszawskie podaje o katastrofalnej sytuacji z wodą w Zakopanym i w Nowym Targu. W Zakopanym wprowadzono ograniczenia w domach wczasowych i w hotelach do 50 % zużycia. Jeśli będzie spadać wydajność źródła, to wszystkie hotele zostaną zamknięte i wprowadzone kartki na wodę. W Nowym Targu sytuacja jest jeszcze cięższa i woda jest tam zdatna do picia dopiero po dwukrotnym przegotowaniu.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

## 24-1-85

Międzynarodowy Komitet Pomocy dla „Karty 77” przyznał doroczną nagrodę im. Jana Palacha filozofowi Ladislavowi Hejdankowi, kierownikowi niezależnego seminarium naukowego w Pradze. Nagroda ta została ufundowana w 1979 roku.

## 1-3-85

Osiem cywilnych lotnisk norweskich zostanie zamkniętych dla samolotów wschodnioeuropejskich począwszy od 1986 roku. Jak podał rzecznik rządu



norweskiego, Nils Morten, Norwegia posiada w pełni potwierdzone informacje, że samoloty pasażerskie krajów bloku wschodniego są wyposażone w elektroniczną aparaturę szpiegowską i za jej pomocą prowadzą działalność wywiadowczą. ■ W Galerie Plexus w Chexbres (Szwajcaria) miała miejsce wystawa obrazów Józefa Czapskiego.

### 2-3-85

W Algierii przebywa ok. 1.900 polskich specjalistów, zatrudnionych na kontraktach indywidualnych lub umowach zbiorowych. Na wyższych uczelniach pracuje ok. 400 polskich wykładowców. Algier jest zainteresowany zwiększeniem ilości polskich wykładowców na swych wyższych uczelniach, tak że jeszcze w bież. roku zostanie zaangażowanych dalszych 200 polskich profesorów i docentów.

### 22-3-85

W Bibliotece im. S. Petlury w Paryżu odbył się odczyt prof. Iwana Kozeliwca pt. „25-lecie miesięcznika *Suczasnist*”.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

24 lutego odbył się w Chicago zjazd „Czarnych Muzułmanów” (*Black Muslims*). Przewodniczył mu pastor Louis Farrakhan, przywódca tzw. „Narodu Mahometanckiego” — skrajnie nacjonalistycznego religijnego ugrupowania Murzynów amerykańskich. Pastor Farrakhan zyskał sławę w czasie kampanii przedwyborczej Partii Demokratycznej, wspierając swymi radykalnymi wystąpieniami jednego z kandydatów na prezydenta Stanów, Jessie Jacksona. Zjazd w Chicago przeszedłby prawdopodobnie bez echa, gdyby nie jedna okoliczność. W transmitowanym przez satelitę 40-minutowym przemówieniu płk Khadafi zaapelował do Murzynów służących w amerykańskim wojsku, aby stworzyli własną armię i zniszczyli Stany Zjednoczone. Pastor Farrakhan przyjął wezwanie płk. Khadafiego niezmiernie życzliwie. „Brat Khadafi jest człowiekiem, którego świat nie rozumie — powiedział — i którego biali przedstawiają jako złowrogie monstrum”. Przemówienie Farrakhana podjęła duchowna murzyńska Willie Barrow, p.o. kierownika organizacji PUSH, założonej kiedyś przy pomocy funduszy federalnych przez pastora Jessie Jacksona, z której pieniędzy obficie korzystali skrajnie radykalni działacze murzyńscy. Miss Barrow oświadczyła, że Khadafi jest jednym z najwybitniejszych przywódców świata. W odpowiedzi na te komplemety pułkownik powiedział do swych amerykańskich braci: „Macie siłę, bo macie żołnierzy. Powiniście użyć swej potęgi, bo walczyście o słuszną sprawę. Jesteśmy gotowi zaopatrzyć was w broń. Odbierzmy was pełnym zaufaniem. Będziemy walczyć ramieniem w ramię. Zwycięstwo nadejdzie wkrótce”. Z przemówienia Khadafiego wynikało jasno, że obiecuje on poprzez szmugiel broni z dostaw sowieckich zorganizować powstanie czarnej ludności w Ameryce. Pomimo znanej przedsiębiorczości pułkownika — któremu udało się zorganizować przewrót w Czadzie i dokonać kilku udanych zamachów terrorystycznych na zbiegłych libijskich dyplomatów — nie wydaje się, by ta nowa inicjatywa miała szanse powodzenia. ■ Kolejna misja promu kosmicznego „Discovery”, którą zaplanowano na początek bieżącego roku i która uwięzioną została sukcesem, miała zadanie przede wszystkim wojskowe. W związku z tym amerykańskie ministerstwo Obrony zwróciło się do prasy, by nie ujawniała informacji na ten temat. W efekcie znaczna ilość gazet amerykańskich ostro skrytykowała Pentagon za to, że ośmiela się ograniczać wolność prasy amerykańskiej. Ponieważ jednak dziennikarze amerykańscy wiedzieli bardzo niewiele na temat tego przedsięwzięcia, nie-

wiele mogli ujawnić. W każdym razie *Washington Post* i agencja prasowa Associated Press opublikowały następujące dane dotyczące zadań, wysokości orbity i kosztów „Discovery”. Oczywiście amerykańskie środki przekazu, które udostępniły te wiadomości czytelnikom, korzystały z „przecieków” z Pentagonu, za co jak zwykle odpowiedzialna jest niedyskretna administracja waszyngtońska. ■ Po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce prezydent Reagan odmówił odnowienia układu o wymianie naukowej z ZSSR, zawartego w roku 1972, który miał być przedłużony w roku 1982. W początkach grudnia 1984 roku Sowiety wysłały pojazd kosmiczny Wega I do badania pyłu kosmicznego w ognie komety Halleya. Wbrew zupełnie jasno sprecyzowanemu stanowisku Waszyngtonu okazało się, że przy wysyłaniu Wegi I w przestrzeń kosmiczną uczestniczyli naukowcy amerykańscy z uniwersytetów w Arizonie i Michigan. Co więcej, okazało się, że amerykańska agencja NASA sfinansowała badania, których celem było wyposażenie sowieckiego pojazdu w urządzenia do badania pyłu kosmicznego. Amerykański uczony Simpson oświadczył, że komunikował się często w sprawie Wegi I za pośrednictwem Instytutu Maxa Plancka w RFN, a później uzyskał zgodę na wyjazd do Moskwy celem nadzorowania montowania urządzeń. Nie twierdzi, że Stany Zjednoczone nie powinny uczestniczyć w sowieckiej inicjatywie badania pyłu kosmicznego w ognie komety Halley'a, która w świetle przytoczonych faktów nie jest imprezą sowiecką, ale sowiecko-amerykańską. Natomiast okoliczności całej sprawy dowodzą, że oświadczenie prezydenta Reagana o przerwaniu dalszej wymiany naukowej z Sowiecami było gestem propagandowym. W wypadku badania pyłu kosmicznego nie przyniosło to obronności Stanów Zjednoczonych żadnego uszczerbku, ale przy wielu innych okazjach może narazić tajemnicę wojskowe Ameryki na ciężkie szkody. ■ Pani Jean Kirkpatrick starała się po wyborze prezydenta Reagana w listopadzie ub. roku o pozostanie w służbie federalnej. Między innymi rozważano przez jakiś czas ewentualność powierzenia jej stanowiska doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Spotkało się to jednak z ostrym sprzeciwem doradców prezydenta. Tło tego sprzeciwu jest polityczne: pryncypialność p. Jean Kirkpatrick w zwalczaniu ekspansjonizmu sowieckiego jest powszechnie znana. Opozycji patronował sekretarz Stanu George Shulz. Sylwetka polityczna sekretarza Shulza nie jest dostatecznie przejrzysta, żeby móc zdecydowanie przeciwstawić go Jean Kirkpatrick. Wydaje się, że w kierowniczych kręgach administracji reaganowskiej wciąż jeszcze ścierają się środowiska, które traktują negocjacje z Sowiecami jako konieczność polityczną — choćby z uwagi na sojusze z krajami NATO — nie obiecując sobie po nich zbyt wiele, z ludźmi, którzy sądzą, że rozmowy z Sowiecami mogą doprowadzić do rzeczywistych wyników. Ci ostatni wierzą, że potrafia zabezpieczyć świat przed ekspansjonizmem sowieckim, wojną i postępującymi zbrojeniami supermocarstw. ■ Ostatnio z *Dziennika związkowego* w Chicago ustąpił redaktor Krawiec. Redaktor Krawiec zrezygnował z pracy w *Dzienniku*, bo przekroczył wiek emerytalny. ■ Organizacja Narodów Zjednoczonych uchwaliła 122-oma głosami przeciw 5-ciu przyznanie kredytów w wysokości 73 mln dolarów na rozbudowę Centrum Konferencyjnego ONZ w Addis Abebie, stolicy głodującej Etiopii. Przeciwno rezolucji głosowały delegacje USA, Anglii, Holandii, Belgii i Luksemburga. Za rezolucją wypowiedziały się wszystkie państwa afrykańskie. Ta skandaliczna i bezsensowna decyzja nie wymaga komentarzy. ■ Prezydent Reagan oświadczył, że w 1985 roku nie będzie ograniczeń sprzedaży zboża do ZSSR. Proponowane pierwotnie dostawy wynosiły 22 mln ton. Od czasów XIX plenum KC KPZS w roku 1952, na którym Malenkow oświadczył, że problem zbożowy został w ZSSR raz na zawsze rozwiązany, minęły już 33 lata. ZSSR sprowadza zboże nie tylko z USA. ■ 16 lutego odbyło się w lokalu Polskiego Instytutu Naukowego spotkanie dziennikarzy, naukowców i działaczy społecznych



w sprawie przyjęcia PRL do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Spotkanie zorganizowało kilka stowarzyszeń przyjaciół „Solidarności”. Między innymi był przedstawiciel Biura Solidarności w Brukseli dr Jerzy Milewski oraz przedstawiciel Solidarności w Lundzie Józef Lebenbaum. W dyskusji brali udział Richard Davies, b. ambasador USA w PRL, dr Jerzy Thieme, red. Jacek Kalabiński, dr Bartłomiej Kamiński, red. Gregory Wierzyński, Andrzej Błaszczyszki, Tadeusz Kontek, José Prince, reprezentujący Światową Konfederację Pracy oraz David Phillips. Wszyscy uczestnicy wypowiedzieli się przeciw przyjęciu PRL do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Jedynie przedstawiciel Biura Solidarności w Brukseli — reprezentujący stanowisko Lecha Wałęsy — uznał, że PRL powinna być przyjęta do MFN i że pieniądze uzyskane z Funduszu winny być wydatkowane na rolnictwo; tym ostatnim postulatem wywołał pewne zdziwienie, ponieważ statut MFN nie przewiduje żadnych dyrektyw wobec państw członkowskich, ustalających na jaki cel mają być przeznaczone kredyty. ■ Organizacja społeczno-polityczna „POMOST” wydała dwie 90-minutowe taśmy magnetofonowe z nagraniem uroczystości pogrzebowych ks. Jerzego Popiełuszki i ostatniej Jego mszy św. za Ojczyznę, odprawionej w Bydgoszczy na kilka godzin przed porwaniem. ■ Od początku procesu przeciw wykonawcom mordu na ks. Jerzym Popiełuszcze przytaczająca większość prasy amerykańskiej przyjęła wersję władz PRL, przekazaną — jak się później okazało — rzecznikom oskarżenia. Według tej wersji mord na ks. Popiełuszcze był pomysłem jako spisek, mający podważyć pozycję gen. Jaruzelskiego i jego ekipy. Dziwić się temu szczególnie nie należy, biorąc pod uwagę, że podobne przekonanie wyraził Lech Wałęsa (patrz *Kultura* nr 12/447, „OBSERWATORIUM”). Największy wpływ na czytelników prasy amerykańskiej wywarło w tej sprawie na pewno stanowisko Flory Lewis, dziennikarki o przerażającej powierzchowności sądów i braku zrozumienia dla problematyki Europy wschodniej, ale niezmiernie popularnej w kręgach liberalnych. P. Lewis zamieściła w *New York Times* z 30 listopada 1984 artykuł pt. „Ci nieprawdopodobni Polacy”. Tytuł należałoby raczej może przetłumaczyć jako „Ci niemożliwi Polacy”. Polacy są niemożliwi, gdyż w ich państwie zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia w kraju komunistycznym, a oni nie przyjmują jej z należytych zachwytem i podziwem dla władz. Oto postawiono pod sąd funkcjonariuszy bezpieczeństwa pod zarzutem mordu, a na Polakach nie robi to należytego wrażenia. To, że proces był zainscenizowaną komedią nie przychodzi Florze Lewis najwidoczniej w ogóle do głowy. Przy okazji autorka zamieszcza krótki panegiryk na cześć generała Wojciecha, którego chwali za to, że z taką surowością i żołnierską determinacją stara się ukrocić partyjny „beton” i samowolę bezpieki. ■ Mecenasy Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, w myśl uchwały krajowej dyrekcji KPA wręczył zasłużonym działaczom KPA nagrody za ich wieloletnią i ofiarną pracę dla Kongresu Polonii Amerykańskiej i realizacji jego celów politycznych i humanitarnych. — Nagrody w postaci statuetki orła na postumencie z napisem „Polish American Congress Appreciation Award” otrzymali: Kazimierz Łukomski, wiceprezes KPA, *for dedicated service as Chairman of Polish Affairs Commission*, Bonawentura Miękała, przewodniczący Komitetu Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce, były dyrektor ZNP i KPA, *for 40 years of dedicated service in particular support of ideals of Solidarnosc*, Jan Jurewicz, skarbnik Komitetu Pomocy, *for dedicated service and support of ideas of Solidarnosc*. ■ Rektor Akademii Medycznej w Krakowie, prof. dr Ryszard Jerzy Gryglewski został odznaczony Złotym Medalem Tysiąclecia Polski przez Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie w Nowym Jorku. ■ Leopold Tyrmand, znany pisarz i publicysta, ceniony za swój absolutnie bezkompromisowy stosunek do wszelkiego rodzaju komunizmów, zmarł nagle 19 marca 1985 roku na Florydzie. Żył 64 lata.

## KRONIKA FRANCUSKA

Organizacja „Agir pour la Pologne” zorganizowała koncert pianisty Olivier de Montigny. Przybyło około kilkuset osób, cały dochód przeznaczono na zakup lekarstw dla polskich szpitali. ■ Klub „Polonia — Nord” w Lille kontynuuje tradycyjne niedzielne odczyty poświęcone literaturze i historii Polski (adres: Maison Saint-Exupery, 7, rue des Fosses, 59800 Lille). ■ Przedłużenie kary aresztu wobec A. Gwiazdy i aresztowanie trzech innych przywódców Solidarności — W. Frasyniuka, B. Lisa i A. Michnika — wywołały mocne reakcje we Francji. Paryski Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarnosc” zwrócił się do francuskich central związkowych z prośbą o zainicjowanie akcji w obronie praw obywatelskich, wolności i pluralizmu związkowego w Polsce. Centrala związkowa CFTC oświadczyła, że amnestia w Polsce nie przyniosła niczego w sprawie wolności i zażądała wstrzymania przyjęcia PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego do czasu zapewnienia swobody działalności związkowej w Polsce. Działacze CFTC wydali również osobne oświadczenie w związku z aresztowaniami w Polsce. Francuska Partia Socjalistyczna zażądała uwolnienia przywódców Solidarności, André Bergeron, sekretarz generalny centrali związkowej *Force Ouvrière*, skierował list do prezydenta Mitterranda z prośbą o interwencję w sprawie aresztowań. Stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne” wezwało do wysłania listów protestacyjnych do ambasady PRL w Paryżu. 28 lutego przedstawiciele największych francuskich związków zawodowych — CFDT, FO i CFTC — uczestniczyli w manifestacji zorganizowanej przez Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji przed gmachem ambasady PRL. ■ Z okazji ukazania się w paryskim wydawnictwie Denoël książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Inny świat” po francusku oraz kolejnego wydania polskiego Księgarnia Libella zorganizowała okolicznościowe spotkanie, podczas którego autor podpisywał swoje książki. Książka ta została zaprezentowana w jednym z najlepszych programów telewizji francuskiej, „Apostrophes”, prowadzonym przez znanego publicystę Bernarda Pivot. W programie uczestniczyli m.in. Konstanty Jeleński i Gustaw Herling-Grudziński. ■ Ojcowie Palotyni zorganizowali kolejne spotkania. Jeszcze w lutym w Centre du Dialogue odbył się wieczór autorski Zofii Romanowiczowej, zaś w pierwszych dniach marca ks. prof. Józef Tischner z Krakowa przeprowadził trzy rekolekcyjne spotkania dla młodzieży. W połowie marca Bogdan Cywiński wygłosił odczyt na temat: „Kościół katolicki w Europie środkowej”, a w kilka dni później w dużej sali kościoła Saint-Pierre-du-Gros-Cailou miał miejsce wielki wieczór dla uczczenia Józefa Czapskiego, z okazji jego dziewięćdziesięciolecia. O życiu i twórczości Józefa Czapskiego mówili: Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty Jeleński i Wojciech Karpiński. W drugiej części wieczoru głos zabrał Józef Czapski. ■ W dniu 20 marca 1985 roku o godz. 18.10 w Kościele Polskim w Paryżu została odprawiona msza święta za duszę śp. Józefa Mackiewicza.

Wojciech SIKORA



## Listy do Redakcji

Bradenton, Fla., 26 lutego 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 448/449 numerze *Kultury*, p. Józef Szrett wygłasza opinię, że macierzyństwo jest „największym posłannictwem kobiety” (str. 181).

Hm. Niewątpliwie macierzyństwo to piękna rzecz.

Z równą dozą słuszności można by powiedzieć, że największym posłannictwem mężczyzny jest zapewnienie kobiecie możliwości rodzenia dzieci we względnie dostatku i w wolnym kraju, czego jak wiadomo już od osmiu pokoleń polscy mężczyźni polskim kobietom nie dostarczają.

Morał tego jest taki: zamiast wygłaszać opinie o tym, jakie jest największe posłannictwo grup, do których się nie należy, lepiej zająć się wypełnianiem swego własnego indywidualnego posłannictwa.

Z poważaniem

Sally BOSS

Lozanna, 25 lutego 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytałby mi się lepiej artykuł Pana Brzezińskiego, gdyby program „wyjścia z Jałty” obejmował co najmniej sześć punktów, przy czym pierwszy zredagowany byłby, na przykład, tak:

„Po pierwsze, byłoby stosowne, aby Stany Zjednoczone i Wielka Brytania — pomnie roli jaką odegrały w czasie Konferencji Jałtańskiej — postanowiły uroczystie oświadczyć, że decyzje podjęte w czasie tejże Konferencji nie są ani traktatem, ani umową międzynarodową; ponadto,

— postanowiły oświadczyć uroczystie iż interpretacja porozumień jałtańskich, która sugeruje ich zgodę na podział Europy na strefy wpływów, jest sprzeczna z tymi porozumieniami; ponadto,

— aby zapobiec dalszej fałszywej ich interpretacji, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania powinny powołać specjalną Komisję, która przeanalizowałaby teksty porozumień jałtańskich i dokonała oceny realizacji zobowiązań podjętych przez każdego z uczestników”.

Obecny punkt pierwszy artykułu, po słowach: „...byłoby stosowne by głowy...” miał dodane: „pozostałych” i dalej, jak w tekście.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów szacunku,

Maria KLECZYŃSKA

Paryż, 10 marca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Prosimy uprzejmie o zamieszczenie w *Kulturze* naszego listu-oświadczenia:

1 marca w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie odbyła się Msza św. za spokój duszy śp. Józefa Mackiewicza, wybitnego polskiego pisarza i publicysty, zmarłego w ostatnim dniu stycznia w Monachium. Po nabożeństwie urnę z prochami złożono w przykościelnym kolumbarium.

Mszę św. koncelebrował ksiądz Tadeusz Kirschke, jednym z księży asystujących był proboszcz Parafii św. Andrzeja Boboli ksiądz prałat Witold Jarecki. On też stał się negatywnym bohaterem owej uroczystości. Kilkakrotnie przerywając profesorowi Tymonowi Terleckiemu mowę pożegnalną zmusił wreszcie do jej urwania w połowie. Ksiądz Jarecki nie dopuścił do udziału w ceremonii pracowników zakładu pogrzebowego, po czym parokrotnie zwrócił się do zebranych, by „ktoś zechciał wziąć tę skrzynkę”. W rezultacie urnę przypadkowo niósł jeden z uczestników nabożeństwa. Niewiele brakowało, a do jej złożenia w kolumbarium doszłoby pod nieobecność żony Zmarłego i rodziny — ksiądz prałat bardzo się spieszył... Stosunek księdza Jareckiego do uroczystości był zdecydowanie nieprzychylny, ostentacyjne ziewanie przy ołtarzu miało wymowę bez mała symboliczną.

Bez względu na motywy, jakimi kierował się ksiądz Jarecki incydenty do których doszło w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie, stolicy powojennej polskiej emigracji, godne są najwyższego potępienia.

Cesio ALBERTI (Rzym), Jan CHODAKOWSKI (Londyn), Piotr IGLIKOWSKI (Londyn), Tadeusz KADENACY (Londyn), Anna KRAJEWSKA (Amsterdam), Ada LASKOWSKA (Londyn), Grzegorz MAŁKIEWICZ (Oxford), Anna MIETKOWSKA (Paryż), Andrzej MIETKOWSKI (Paryż), Agata SIKORA (Paryż), Wojciech SIKORA (Paryż), Grzegorz SOWULA (Londyn), Jerzy TARNOWSKI (Londyn), Leszek TRUCHLEWSKI (Paryż).

Londyn, 14 marca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Omawiając w *Kulturze* (nr 1-2, styczeń-luty 1985) nowy VIII tom *Pamiętnika Literackiego* autor AP popełnił zupełnie niezrozumiałą pomyłkę pisząc:

„Bieżący tom zawiera wykaz książek wydanych poza cenzurą w roku 1983 i nadesłanych do Biblioteki Polskiej w Londynie. Wykaz jest niepełny. (Nawiasem mówiąc, ten zawiera 114 pozycji, podczas gdy w ogłoszonym przez *Kulturę* wykazie wydawnictw niezależnych w Kraju ilość książek (nie czasopism) wydanych w tymże roku 1983 liczy 224 pozycje)”.

Informacja jest błędna a komentarz strzela w złym kierunku. Recenzentowi pomieszały się dwie różne rzeczy. Wystarczy zajrzeć do *Pamiętnika Literackiego*, tom VIII str. 124, by stwierdzić, że chodzi tam wyłącznie o „Wykaz książek wydanych w roku 1983 poza krajem w języku polskim, sporządzony przez Bibliotekę Polską w Londynie”.

Wykaz taki — zresztą niepełny nie z jej winy — Biblioteka Polska od dawna układa dla jury nagród pisarskich Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, SPK, RWE, *Wiadomości* i in. Jest on więc selektywny i uwzględnia jedynie książki nadające się do rozważenia przez jury wspomnianych



nagród. Wykaz obejmuje książki wydane na emigracji w danym roku i dostępne w Bibliotece Polskiej w Londynie a winą za to, że nie jest pełniejszy trzeba obarczyć autorów i wydawców, którzy nie dbają o wzbogacenie księgozbioru bibliotecznego i dopomożenie Bibliotece w jej zadaniach.

Korzystając z okazji niech mi będzie wolno poruszyć dwie sprawy, których w nawale zajęć nie zdążyłem już wyjaśnić, gdy przed rokiem toczyła się na łamach *Kultury* dyskusja dotycząca Biblioteki Polskiej w Londynie.

Do jej głównych zadań należy gromadzenie wszelkich wydawnictw emigracyjnych i polonijnych (książek, broszur, jednodniówek, czasopism, biuletynów, komunikatów, odbitek naukowych, skryptów, druków z zakresu dokumentacji życia społecznego, naukowego, kulturalnego, politycznego itp.), prace autorów polskich na obczyźnie oraz pisarzy obcych zajmujących się tematyką polską. W oparciu o te materiały Biblioteka przygotowuje i wydaje opracowania bibliograficzne a przede wszystkim „Bibliography of Books in Polish or relating to Poland, published outside Poland since September 1, 1939” (Bibliografia wydawnictw dotyczących Polski, wydawanych poza Polską od 1. 9. 1939), której tom IV (1964-1967) znajduje się właśnie w druku, zresztą dzięki życzliwej pomocy Pana Redaktora.

Bibliografia ta stanowi ważne, nieodzowne i cenione źródło informacji o autorach i publikacjach na tematy polskie a także o polskim dorobku pisarskim i naukowym. Znana jest szeroko, dociera do licznych ośrodków badawczych i bibliotek, korzystają z niej czytelnicy i naukowcy na całym świecie toteż w interesie samych piszących i firm wydawniczych powinno leżeć dostarczenie nam egzemplarza autorskiego, bez którego trudno zrobić opis bibliograficzny i zanotować książkę należycie w bibliografii. Stąd nasz nieustanny apel do autorów i wydawców, zamieszkałych i działających poza Krajem, by swoje prace, dzieła i utwory przysyłali łaskawie na adres Biblioteki Polskiej (The Polish Library, POSK, 238-246 King Street, London W6 ORF) co pozwoli na włączenie ich i wymienienie w naszych opracowaniach.

Biblioteka Polska w Londynie od dawna też gromadzi wydawnictwa niezależne, ukazujące się poza cenzurą w PRL. Dzięki wielu ofiarodawcom krajowym i emigracyjnym zbiór ten przedstawia się dosyć pokaźnie i należy z pewnością do najpoważniejszych na Zachodzie. Obejmuje on ok. 700 tytułów czasopism (ok. 4.500 egzemplarzy, w tym ponad 3.800 oryginałów) i ok. 500 druków zwartych (ok. 450 oryginałów). Stanowi to oczywiście tylko niewielką część imponującej produkcji wydawnictw krajowych „drugiego obiegu”.

Zapewne istnieją poza Londynem i poza Anglią zbiory podobne inne, nieraz nawet niemiejsze i bardziej regularnie uzupełniane stałym dopływem nowych pozycji. Sporo z nich jednak jest w posiadaniu osób prywatnych lub organizacji działających jedynie doraźnie a chyba większość znajduje się już w rękach obcych czy też trafić do nich może w przyszłości, nam zaś chodzi o utrzymanie możliwie najpełniejszej kolekcji w posiadaniu niezależnej, wolnej instytucji polskiej, której byt jest zapewniony, osiągnięcia niesporne i znaczenie ogólnie uznawane.

Z wielu instytucjonalnymi posiadaczami podobnych zbiorów współpracujemy blisko, biorąc udział w ustaleniach konferencji międzynarodowej odbytej w 1982 roku na uniwersytecie Virginia w Stanach Zjednoczonych, której celem było zajęcie się problemem lokalizacji, przechowania, użytkowania, wymiany, zabezpieczenia, udostępnienia i opracowania bibliograficznego tych materiałów. Zbiory w Bibliotece Polskiej w Londynie już służą naukowcom, pisarzom, dziennikarzom i studentom, są uporządkowane, zintwentaryzowane i skatalogowane, ale motywem niemniej ważnym jakim się kierujemy, jest ocalenie oryginałów tych druków, stanowiących świadectwo cenne, niezwykle i wspaniałe wciąż niestłumionych wolnościowych dążeń

naszego narodu. Stąd apel drugi — o przysyłanie do naszej Biblioteki wszelkiego rodzaju oryginałów wydawnictw niezależnych z okresu opozycji demokratycznej, Solidarności i obecnego Podziemia w Polsce. Niechaj w ten sposób świadectwo to będzie trwale przechowane i zabezpieczone na obczyźnie.

Z wyrazami poważania

Zdzisław JAGODZIŃSKI

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Piotr Paweł Ursyn. — Artykuły przyjęte do druku.

Z.S., Szwecja; T.F., USA; A.B., USA; T.W., RFN; B.F., RFN; A.E., Szwajcaria; W.J.K., Holandia; J.R.H., Kanada; K.O., USA; T.G., USA; M.B. w Kraju; S.S., RFN; J.B., USA; S.D., Włochy; A.K., Francja; J.L., Australia. — Z wierszy nie skorzystamy.

A.W., RFN. — Opowiadanie *Wejście* jest naszym zdaniem nieudane; motyw „nie ma się ochoty na nic” wymagałby trochę większego wycienienia.

P.P.L., Belgia. — Relacja z więzienia w Rawiczu wydaje nam się niezbyt ciekawa.

R.S., Kanada. — Nie wątpimy, że króciutkie opowiadanie o „egzekucji w koszarach” jest autentyczne, ale do druku się nie nadaje.

R.L., Francja. — Opowiadanie nie dorównuje zamieszczonemu felietonowi. M.B. w Kraju. — O próbie dziennika można niestety powiedzieć tylko tyle, że zapisy są dość banalne w treści i pretensjonalne stylistycznie.

R.S., USA. — Ma Pan dużo racji w swoim artykule, ileż już jednak razy na ten temat pisano!

J.R., RFN. — W sprawie *Vivaldiego* znajdzie Pan odpowiedź w jednym z poprzednich numerów *Kultury*. Obie nadesłane ostatnio „miniatury” nadawałyby się raczej do gazety, niż do miesięcznika.

J.K., USA. — Niektóre aforyzmy w Pana tomiku *Rzeczywistość* są zastawiające, w większości jednak odbywa się coś w rodzaju polowania na mechaniczny paradoks i mechaniczną grę słów. Zresztą, nie wydajemy zbiorów aforystycznych w Bibliotece *Kultury*.

A.J.K., USA. — Z „wiązańki aforyzmów” nie skorzystamy.

*Pełnomocnik autorów Z-L, Stany Zjednoczone.* — Przesyłkę drugą i trzecią materiałów „Okiem inżyniera” otrzymaliśmy. Są słabe i nie zamierzamy ich wykorzystywać. Mamy nadzieję, że zapowiedziane następne 6 felietonów będzie na poziomie pierwszej przesyłki.

A.W., Ottawa (Kanada). — Pana listu nie zamieścimy. Nie zamierzamy propagować nienawiści do narodu rosyjskiego.

W.D., Toronto (Kanada). — Listu nie zamieścimy. Sprawa historii obrazu Kossaka „Szarża czerkiesów na Krakowskim Przedmieściu” jest, naszym zdaniem, błaha i mało interesująca.

Jerzy Łapczyński, Toronto (Kanada). — List Pana przekazaliśmy redaktorowi B. Heydenkornowi.

Jan Żuchowski, Szwecja. — List Pana przekazaliśmy naszemu przedstawicielowi Norbertowi Żabie.

G. Sobkowicz, Chicago (USA). — Pana artykułu nie zamieścimy, gdyż tak, jak Pan sobie życzył artykuł Zbigniewa Brzezińskiego o Jącie został zamieszczony w podwójnym numerze *Kultury* styczeń-luty z bież. roku.



Jan Nepomucen Grabowski, Sztokholm. — W odpowiedzi na Pana list z 24 stycznia br. zawiadamiamy, że wiersze Adama Bąkowskiego zostały wyróżnione na konkursie ogłoszonym przez Klub Inteligencji Katolickiej w Krakowie i redakcję Znak.

Ks. Bernard Jarek. — Po pochwaleniu Kultury za zamieszczenie artykułu Zbigniewa Brzezińskiego „Przyszłość Jałty” atakuje Książkę redakcję za artykuł Wrzeszcza pt. „Józef semper fidelis”. List zawiera cały szereg określeń jak np. „p. Giedroyc dąży do osłabienia roli Kościoła polskiego”, „usiłuje oderwać ludzi od wspólnoty polonijnej dla swoich idei masonskich w oparciu o mniejszości narodowościowe Europy wschodniej”. List kończy się apelem, by zaprzestać „uprawiania rozbiorów od wewnątrz”. Listu nie zamieścimy.

### SPROSTOWANIE

P. Henryk Grynberg protestuje przeciwko temu, że w Indeksie Kultury 1984 jego opowiadanie „Ochotnik” zostało zakwalifikowane do działu „Artykuły i eseje”, gdyż powinno być umieszczone w dziale „Powieści i nowele”.

Polskie” — \$ c. 24,00 i ze sprzedaży płyt magnetofonowych, nagranych w czasie pogrzebu ks. Popiełuszki — \$ c. 144,00 — razem: \$ c. 366,25 ..... F.2.637,00

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę otrzymaną z Kongresu Polonii Kandyjskiej, Oddział Manitoba na „Solidarność” Podziemną w Kraju — \$ c. 955,00 ..... F.6.876,00

### WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Bezimiennie z Bad Nauheim (RFN) .....	F. 610,17
Bezimiennie z East Melbourne (Australia) — na oświatę niezależną w Polsce — \$ A. 8,50 .....	F. 60,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w Polsce .....	F. 200,00
F.H., USA — na prześladowanych w PRL — \$ 17,50 .....	F. 177,80
Maria Halstead, Santa Barbara, CA (USA) — na pomoc w lekarstwach i dożywianiu dzieci osób uwieczonych lub pozbawionych pracy w Polsce — \$ 215,00 .....	F.2.139,25
Anna Kaplar, Andresy (Francja) — na cele redakcyjne wydawnictw nielegalnych w Kraju .....	F. 780,00
Marek Kliszewski, San Leandro, CA (USA) — dla Rodziców ks. J. Popiełuszki — \$ 50,00 .....	F. 497,50
Jacek Kwaśniewski, Monachium — DM 10,00 .....	F. 30,50
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) — dla najbardziej potrzebujących w Kraju .....	F. 535,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 150,00 .....	F. 160,00

### WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Zbigniew Bernat (Region Włocławek), El Paso, TX (USA) — dla uczczenia 25-tej rocznicy działalności organizacji polonijnej The General Kasimir Pulaski Society of El Paso, Texas — \$ 50,00 .....	F. 497,50
Ewa Gieratowa, Bethleem, CT (USA) .....	F. 380,00
Grono Przyjaciół p. Kazimierza Cimoszki i Kongres Polonii Amerykańskiej, Oddział w Ann Arbor, MI (USA) — dla uczczenia pamięci Jego siostry śp. Wandy Cimoszko (nadesłał A. L. Dolata) — \$ 72,50 .....	F. 721,40
Wojciech Szczygielski, Zurych .....	F. 88,48

Aleksander Bąg, Calgary, Alta (Kanada) — \$ c. 500,00 z czego:	
— na NSZZ „Solidarność” — \$ c. 200,00 .....	F.1.440,00
— na pomoc dla walczących w Kraju \$ c. 200,00 .....	F.1.440,00
— na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 100,00	F. 720,00



Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłał dyr. K.P.A. i przewodniczący Komitetu — Bonawentura Migala i Jan Jurewicz, skarbnik) — \$ 2.500,00, z czego:

— na potrzeby „Solidarności” w Kraju — \$ 2.000,00 .. F.19.900,00  
— na fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 500,00 F.4.975,00

Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — \$ 75,00, z czego:  
— na NSZZ „Solidarność” — \$ 25,00 ..... F. 242,75  
— na fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 50,00 F. 497,50

Fundacja Centrum Informacyjne Polska 13 Grudnia (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December) w Amsterdamie — dla Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” na jej potrzeby organizacyjno-drukarskie — Flh 1.000,00 ..... F.2.697,96

U. M. Kamiński, Delft (Holandia) — dla uczczenia pamięci Józefa Mackiewicza — na Fundusz wydawniczy miesięcznika „Niepodległość” ..... F. 80,00

Stanisław Komorski, Binningen (Szwajcaria) — na Konfederację Polski Niepodległej — Frs 50,00 ..... F. 180,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2° trimestre 1985.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 3037.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1985</b>			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: Maria Rodomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles .....	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176. IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7 .....	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ..	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztowe. 12.14431. SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 .....	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
WIELKA BRITANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.400; półroczna — F.220.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

### NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.



TOM 403 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT SIEDMDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: J. Krajowca: *Czterdziestolatek*; J. M. Ołity: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984*; *Akt oskarżenia przeciwko ks. J. Popiełuszcze wraz z aneksem do Aktu*; *Rozmowa z J. E. Metropolitą Szeptyckim*; *Sprawa ukraińska*; J. Szendery: *W poszukiwaniu porozumienia*; J. Nowaka: *Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta*; T. Wyrwy: *Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich i in. oraz obszerny dział RECENZJI*.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 404 — ADAM MICHNIK

### Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.



TOM 405 — JAN MUR

### DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.